MAJ—CZERWIEC 1930

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM II

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 10-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 49-04.

T R E Ś Ć:

ULŻENIE CIĘŻARU.

Po jedenastu latach eksperymentalizmu socjalno-gospodarczego mnożyć się zaczynają w Polsce głosy stanowczej przestrogi i to głosy coraz poważniejsze, coraz bardziej fachowe, zarówno wśród rodzimych sfer gospodarczych, jak i ze strony życzliwych nam czynników zagranicznych. Oto najświeższa, zdecydowana i wymowna opinja amerykańskiego doradcy Banku Polskiego, p. C. Dewey'a, ujęta w artykule p. t. „Polands Economic Progress and Financial Policies", zamieszczona w nowojorskim „The Financial Diary" z marca r. b. — opinja, wyrażająca krótko, ale dobitnie to właśnie, czego nam w tej chwili najbardziej potrzeba do zapoczątkowania odrodzenia gospodarczego i tem samem do pierwszego przełamania niszczącego państwo kryzysu.

Podajemy ten znamienny artykuł w dosłownem tłumaczeniu.

POSTĘP GOSPODARCZY I POLITYKA FINANSOWA POLSKI.

Polska była terenem walk nietylko w ciągu czterech lat wielkiej wojny, lecz i przez dwa lata następne, w czasie przeciągających się zmagań z bolszewikami. W ten sposób musiała Polska wycierpieć zniszczenie wojenne przez sześć lat, a gdy wreszcie pokój zawitał znowu w kraju, cały rozmiar zniszczenia — według stwierdzonych obliczeń oficjalnie wyznaczonej komisji — wzrósł do sumy 1,815,000.000 dol. Potrzeba było kapitału nietylko dla odbudowy, lecz także dla zaspokojenia bieżących potrzeb przemysłu i handlu. Kapitału inwestycyjnego w nowem państwie polskiem, praktycznie biorąc, wcale nie było, a rząd, jedyny dyspozy-

tor kredytu przez swą władzę nakładania podatków, przystąpił z funduszami, uzyskiwanymi na tej drodze, nietylko do naprawy zniszczenia i rozwoju monopolów oraz przedsiębiorstw, odziedziczonych w szerokim zakresie po państwach zaborczych, lecz również do użyczania bezpośrednio kredytów przedsiębiorstwom prywatnym. Niema wątpliwości, że rząd obrał jedynie możliwą drogę do rozwoju gospodarstwa krajowego i skutki tych usiłowań były wybitne i znamienne.

Dług publiczny państwa polskiego wynosi obecnie około 460 miljonów dolarów, czyli w przybliżeniu 15 dol. na głowę. Wszystkie długoterminowe pożyczki zagraniczne osiągnęły w ciągu dziesięciu lat od chwili odzyskania niepodległości kwotę 461.500.000 dol., z czego 250.000.000 dol. z tytułu pomocy, udzielonej bezpośrednio po wojnie przez Stany Zjednoczone oraz niektóre państwa europejskie. Dalej sumę 36 miljonów dol. przeznaczono na umorzenie dawnego długu monarchji austro-węgierskiej, a około 57 miljonów zostało użyte w związku z planem stabilizacyjnym, pozostała zaś reszta 118,500.000 dol. mogła być przeznaczona na wewnętrzną odbudowę kraju. Uzupełnienie tych kosztów odbudowy czerpał rząd z zysków, pochodzących z inflancji marki polskiej i z normalnych państwowych dochodów, pochodzących z podatków, oraz z zysków monopolów państwowych i przedsiębiorstw.

Rząd polski trzymał się rozumnej polityki odbudowy materjalnej kraju głównie z oszczędności krajowych, nie obciążając swemi pożyczkami nazbyt rynków zagranicznych. Zaciąganie bowiem pożyczek zagranicznych w tym celu w przeszłości byłoby wymagało tak wysokiego oprocentowania, że stałoby się wielce nierentownem. Obecnie jednak, z punktu widzenia ogólnego gospodarczego dobrobytu i w perspektywie obniżania się kosztów oprocentowania na rynkach zagranicznych, dotychczasowa metoda (możliwego unikania pożyczek zagranicznych, p. R.) może ulec zmianie.

Stworzono zdrowe podstawy, na których oprzeć się może nawet wielki rozmiar tranzakcji, jakie mogą się rozwinąć w ciągu najbliższych lat. Taki rozwój nastąpić może jednak tylko pod warunkiem, że rząd przystąpi obecnie do redukcji swych rocznych dochodów na czas, zakreślony swym programem odbudowy gospodarczej *i dozwoli, że znaczna część tych dochodów z kraju, która była dotąd tak obficie wyzyskana na cele odbudowy, skierowaną zostanie do użytku gospodarstwa prywatnego.*

Wyrażenia „rząd“ używam tu w znaczeniu zbiorowem, w odniesieniu specjalnie do poszczególnych ministerstw. W nich bowiem ustalają się programy inwestycji kapitału. Te inwestycje mogą ulec redukcji tylko w razie, jeżeli każdy minister współdziałać będzie w hamowaniu nowych projektów odbudowy, za wyjątkiem tylko tych, które są istotnie niezbędne. Wprawdzie każda nowa instalacja może zasilić życie gospodarcze, jednak z punktu widzenia ogólnej sytuacji ekonomicznej byłoby rozsądniejszem unikać wydatków tego rodzaju i *przez zredukowanie ciężaru podatkowego dopuścić, aby przemysł krajowy zaopatrzył się w kapitał obrotowy i rezerwowy, które powstać mogą tylko ze wzrostu zysków.* Ustawiczny brak odpowiedniego kapitału obrotowego i zapasowego spowoduje takie skurczenie się rentowności, że zmniejszy się siła podatkowa kraju.

Przykład polityki rządowej, w tym kierunku ustalonej, powinien znaleźć naśladownictwo w prywatnem życiu gospodarczem, które starać się winno przedewszystkiem o użycie swych zysków na odbudowę kapitału obrotowego i zapasowego, a nie obracać ich na instalacje nieruchome, jak np. dodatkowe urządzenia maszynowe lub budowle fabryczne. Polska bowiem posiada na razie dość maszyn i budynków na obecne potrzeby, natomiast wzrost kapitału obro-

towego i dostatecznych rezerw spowoduje obniżenie kosztów produkcji. Zarazem rozwój gospodarczy pójdzie naprzód po równiejszej drodze, bez tylu depresji, wywoływanych ciasnotą gotówki.

Redukcja wydatków rządowych przynosi ze sobą redukcję potrzeb dochodowych państwa. Redukcja zaś potrzeb dochodowych oznacza zmianę systemu poborów i zmniejszenie podatków. Reforma systemu poborów i zniżka stawek podatkowych powoduje wzrost inicjatywy i zysków prywatnych. Ich wzrost zapłodni rozbudowę kapitału obrotowego i zapasowego. Wzrost zaś kapitału obrotowego i rezerw powoduje niższą stopę procentową, zwiększenie płac zarobkowych oraz większą siłę nabywczą ludności.

Charles S. Dewey

Słowa powyższe są tak jasne i wyraźne i odpowiadają tak dalece głębokiemu przekonaniu conajmniej olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego, że — zdawałoby się — nie wymagają żadnych dalszych komentarzy. Potwierdzają całkowicie naszą podstawową tezę, którą sformułowaliśmy już w poprzednim tomie tego wydawnictwa, a dawniej jeszcze na łamach innych organów prasy zachowawczej, a która ująć się da w dwóch punktach zasadniczych:

1) Skoro wszystkie dotychczasowe projekty i wysiłki odbudowy życia gospodarczego nietylko nie osiągnęły swego celu, ale nie mogły nawet na chwilę zatamować postępu chronicznego kryzysu, który doszedł już do rozmiarów wprost groźnych dla gospodarczej egzystencji państwa, to należy użyć ostatniego i — zdaniem naszem — jedynie skutecznego środka: *państwo, samorządy i oficjalne instytucje społeczne muszą ustąpić ze swych roszczeń podatkowych, stanowczo nadmiernych w naszych krajowych warunkach.*

2) Na podłożu dotychczasowego ustawodawstwa gospodarczego i fiskalnego nie dadzą się przeprowadzić żadne skuteczne reformy.

Dla wzmocnienia tych tez przytaczamy też znamienny urywek z niedawnego przemówienia p. Hipolita Gliwica, wicemarszałka Senatu i dyrektora Banku Handlowego w Warszawie, na walnem zebraniu akcjonarjuszy tego banku:

„Cała nasza konstrukcja fiskalna, cały nasz system podatkowy, są takie, że trudno liczyć — o ile się to nie zmieni — na przyciągnięcie z zewnątrz tak nam potrzebnych kapitałów, a jeszcze trudniej liczyć na postępowanie naprzód wewnętrznej kapitalizacji... Hamująco na kapitalizację wewnętrzną działa nasz system podatkowy, a szczególnie metody, zapomocą których podatki zostają ściągane“.

Zmienił się również w ostatnich czasach ton, którym naczelne sfery gospodarcze przemawiały do niedawna do czynników rządzących. W miejsce poklasku, uważanego za niezbędny dla uzyskania oficjalnej pomocy i kredytu, w miejsce conajwięcej bardzo nieśmiałej krytyki, występuje teraz ostry ton szczerego przekonania i śmiałego stwierdzania faktycznego stanu gospodarstwa krajowego, bez dotychczasowych obsłonek. Wyrazem tej zmiany są coraz szczersze dyskusje sfer gospodarczych ze sferami oficjalnemi i coraz lapidarniejsze stawianie postulatów. A w dyskusjach tych, np. w ostatniej wielkiej konferencji czołowych przedstawicieli sfer gospodarczych z ministrem przemysłu i handlu, przebija coraz silniej jedna nuta: konieczność redukcji świadczeń publicznych.

„Nie można niestety dostrzec na razie poprawy sytuacji gospodarczej“... bo „w dziedzinie podatkowej nic się nie zmieniło... Zło tkwi nietylko w tem, że ustawy podatkowe tworzone były pod kątem widzenia politycznym, lecz i w tem, że same metody pobierania podatków są zbyt drakońskie“.

Poszczególni ministrowie zapowiadają wprawdzie raz poraz zmianę polityki etatystycznej... „w praktyce jednak w dalszym ciągu daje się zaobserwować etatyzacja, szkodząca inicjatywie prywatnej“... „a w tych warunkach nie może być mowy o modernizacji i racjonalizacji przemysłu, albowiem żadna placówka przemysłowa nie jest pewna jutra“.

„Dotychczasowa polityka, przez uniemożliwienie tworzenia rezerw, doprowadziła przy obecnem przesileniu do zaniku środków obrotowych“.

„System podatkowy zniszczył całą masę placówek gospodarczych. Rząd wypowiada się przeciwko etatyzmowi, jednocześnie jednak instytucje państwowe konkurują nawet z handlowemi. Żąda się od sfer gospodarczych wytężenia wysiłków w kierunku wzmożenia eksportu, jednacześnie jednak władze skarbowe... ściągają od eksporterów podatek, nieprzewidziany wcale w kalkulacji“.

I t. d. i t. d. — opinja wszystkich sfer gospodarczych nietylko stała się pod tym względem jednolitą, ale już i wyraża się jednolicie w sposób zdecydowany. Wszyscy zgodni są w tem, że niemasz innego na razie środka wyjścia z impasu, jak stanowcze zerwanie z rujnującym państwo etatyzmem i niemniej zdecydowana redukcja ciężaru świadczeń publicznych. Nie trzeba tylko zapominać, że ciężar ten, tak nieznośny dzisiaj dla wszystkich, jak również niszczący etatyzm, nie są bynajmniej — jak twierdzi sejmokratyczna opozycja — wytworem reżimu pomajowego, ale tkwią w całokształcie ustawodawstwa socjalnego i fiskalnego, stworzonego przez rządy sejmowładczej demokracji w pierwszych siedmiu latach po odzyskaniu niepodległości.

Ale nietylko o te ustawowe ciężary chodzi. Zwiększa je jeszcze ciężar różnych ubocznych świadczeń, niby dobrowolnych, nałożonych jednak niemniej dotkliwie na wszystkie t. zw. klasy posiadające, czyli poprostu na właścicieli wszelakich warsztatów pracy, w postaci różnych przymusowych, czy niemal przymusowych składek gminnych i sa-

morządowych na nowe szkoły, drogi i t. d. Niech dla ilustracji stosunków jeden stanie przykład, jeden z tysięcy: skonstatowano, że w powiecie lubelskim te uboczne ciężary, nakładane „dobrowolnie" na tamtejsze ziemiaństwo, wzrosły z 3 zł. 60 gr. od hektara w roku 1925 do 25 zł. 20 gr. w roku ubiegłym, czyli mniejwięcej siedmiokrotnie w ciągu czterech lat!!

Niema tu już więc żadnego miejsca na złudzenia, ani na uczone ekonomiczne frazesy, którymi maskowaliśmy sobie do niedawna istotną głębię naszego kryzysu gospodarczego. Nie kryzys to żaden, bo w zubożałym kraju o prawdziwych kryzysach, jak je nauka ekonomji formułuje, mowy być nie może — ale chroniczny, postępowy paraliż życia gospodarczego, wywołany przedewszystkiem nadmiarem etatyzmu i ciężaru świadczeń publicznych. Repercusje zaś światowych konjunktur gospodarczych grają w tem stosunkowo tylko uboczną rolę.

Niechże więc oficjalne nasze czynniki wszelkich kategorji, a rząd w pierwszym rzędzie, zechcą raz nareszcie zrozumieć, że pierwszym, niezbędnym, kategorycznym nakazem chwili w zakresie sanacji gospodarczej jest znaczna redukcja świadczeń publicznych, w ich całokształcie, przyczem repartycja tych redukcji między podatki państwowe, samorządowe, społeczne i inne jest już kwestją obojętną dla płatnika — byle tylko ulżono mu ciężaru i mógł przez to przyjść nareszcie do jakiegoś swobodniejszego oddechu. Żadne teorje ekonomiczne, ani systemy polityki i dorywczej pomocy państwowej, żadne oszczędności inwestycyjne czy administracyjne, nie będą w stanie odrodzić gospodarstwa prywatnego, duszonego za gardło polipem etatyzmu, monopolów państwowych, a przedewszystkiem niszczącego ciężaru świadczeń pieniężnych.

To rozumie dzisiaj już każdy, to przebija coraz jednomyślniej z całej prasy i literatury polityczno-ekonomicznej, ze wszystkich oficjalnych i prywatnych konferencji gospodarczych. A przykładem świecą nam kolejno różne pań-

stwa zachodnie, które, aczkolwiek od nas absolutnie i relatywnie bogatsze, jednak w ostatnich czasach wstępują na drogę redukcji ciężarów podatkowych i — mimo wszelkich grasujących tam jeszcze formułek demokratycznego radykalizmu — popierać zaczynają na serjo, słowem i czynem, rentowność gospodarki prywatnej, jako istotną podstawę także skarbu i budżetu państwowego oraz jedyne, prawdziwie skuteczne lekarstwo na bezrobocie.

To przekonanie, realne, zdrowe i wolne od bolszewizujących uprzedzeń, winno ugruntować się ostatecznie w mentalności tych wszystkich czynników, w których ręku leży decyzja o gospodarczych i politycznych losach państwa. Jeżeli chce się skutecznie zwalczyć w Polsce socjalizm, jako „obcą agenturę", to trzeba przedewszystkiem wyeliminować z wszelkich rozważań gospodarczych perfidną jego tezę zasadniczą, że dla podniesienia dobrobytu mas koniecznem jest zniszczenie etatyzmem i podatkami wszystkich większych warsztatów pracy prywatnej. Rzecz ma się wprost odwrotnie i realizacja wszelkich postulatów demokracji w kierunku podwyżki płac, zmniejszenia bezrobocia, wzmożenia wytwórczości i samowystarczalności gospodarczej państwa, a w konsekwencji także i zapewnienia na przyszłość realności budżetu państwowego, da się osiągnąć tylko drogą znacznego zwiększenia prywatnych dochodów obywateli i prywatnej kapitalizacji, co da się zapoczątkować w danych warunkach tylko znacznem ulżeniem fiskalnego ciężaru. Inaczej budować będziemy coraz bardziej na próżni, wzmagając nędzę i ferment społeczny, o który załamią się każde rządy, a w końcu i suwerenność państwa!

Nie jest to postulat li tylko idei zachowawczej, ale bez żadnej wątpliwości wszystkich sfer społeczeństwa. Zapewne, ważną jest sprawa reformy konstytucji, na którą zaprawdę już zbyt długo czekamy. Ale jeszcze ważniejszą jest w istocie sprawa gruntownej reformy systemu fiskalnego, gdyż — pomijając już jej bezpośredni efekt gospodar-

czy — ona dopiero może wywołać w opinji publicznej także zmianę nastawienia w kierunku trzeźwego objektywizmu politycznego, na którego podłożu będzie dopiero możliwem ugruntowanie prawdziwie pożytecznych reform ustrojowych. Wszak najlepsza konstytucja, z najlepszym systemem władzy wykonawczej, ale z bolszewizującem ustawodawstwem gospodarczem, nie zapobiegnie progresywnej nędzy i anarchji!

DEMOKRACJA I JEJ KONSEKWENCJE.

Zjawisko dziwne, którego zbadanie wymagałoby osobnego studjum, niewątpliwie bardzo ciekawego: oto w momencie przeżywania się i upadku idei demokratycznej podnoszą się głosy i objawiają wysiłki w sferach, do niedawna tej idei wprost przeciwnych, za jej podtrzymaniem—niemal za wszelką cenę! Powstaje nawet w publicystyce zagranicznej specjalna teorja „demokratycznego konserwatyzmu“, której sztuczna tendencja kompromisowa już z samej nazwy jest widoczna.

Do niedawna konserwatysta był konserwatystą, a demokrata demokratą i — dobrze z tem było na świecie. Obecnie odnosi się wrażenie, że wszyscy, bez różnicy przekonań, chcą sztucznie galwanizować do życia coś, co się już w ogólnej ewolucji dziejowej przeżyło, co rolę swą spełniło i — jak wszystko stare na świecie — ustąpić musi miejsca nowym prądom i pojęciom.

Że się broni starzejąca demokracja ze wszystkich sił, że stara się kurczowo utrzymać w ręku ruiny, czy pozory swej niedawnej władzy, to zrozumiałe. Ale mniej jest zrozumiałem, dlaczego właśnie t e r a z niektórzy z jej zasadniczych przeciwników starają się ją nagle podtrzymać, zastrzykując i sugerując jej swe własne, bardzo nieraz szczytne hasła, których naprawdę demokracja nigdy nie wyznawała, a starając się jakgdyby zapomnieć o jej właściwej genezie, istocie i celach?

Aby uniknąć jakichkolwiek formalnych czy djalektycznych nieporozumień, zaznaczamy jednak wyraźnie, że występując przeciw demokracji, nie mamy bynajmniej na myśli prawnego ustroju demokratycznego w dzisiejszych państwach. Uznajemy, że ustrój ten, bez względu na szczegółowe różnice, a nawet bez względu na formę monarchiczną

lub republikańską, może być na dzisiejszym poziomie cywilizacji tylko demokratyczno-konstytucyjnym. Musi istnieć równość wszystkich wobec prawa, pewne współdziałanie najszerszych sfer obywatelskich w kształtowaniu państwowego ustroju, publiczna kontrola polityki i gospodarki władz państwowych i stworzenie każdemu obywatelowi zasadniczej możności, w ramach pewnego ładu i porządku społecznego, realizowania z korzyścią jego inicjatywy, zdolności wytwórczej i polepszenia swego dobrobytu. Są to wszystko utrwalone zdobycze cywilizacyjnego postępu, do którego w znacznej mierze, choć bynajmniej nie wyłącznie, przyczyniła się idea demokratyczna w ciągu swego mniejwięcej półtorawiekowego oddziaływania na opinję publiczną i ewolucję ustrojową państw. W tem więc znaczeniu—prawnego ustroju konstytucyjnego — nikt rozumny idei demokratycznej zwalczać nie może i nie myśli. Nikt przecież nie może dzisiaj myśleć o powrocie jakiegoś absolutyzmu, czy stosunków stanowych lub feudalnych. Można oczywiście i należy korygować stopniowo różne wadliwości demokratycznego ustroju, a zwłaszcza jego normy, wprowadzone zbyt pośpiesznie w różnych państwach pod wpływem bezkrytycznego radykalizmu. Niemniej jednak ustrój demokratyczno-konstytucyjny jest i pozostanie prawdopodobnie na długie czasy, w takiej czy innej formie, zasadniczą normą cywilizowanych organizmów państwowych.

Ale chodzi nam nie o prawne normy ustrojowe, nie o ich możliwe środki rozwoju czy naprawy, lecz o samą istotę idei demokratycznej, o jej genezę, głębsze cele i konsekwencje praktyczne w życiu publicznem.

Czem jest właściwie demokracja?

Demokracja — jak to już sama jej nazwa mówi: panowanie demosu, a więc najszerszych mas ludowych, czyli poprostu tłumu — była zawsze w przebiegu dziejów wyrazem rewolucji (gwałtownej lub spokojnej, organicznej) przeciw panowaniu jakiegoś wyższego, specjalnego autorytetu, wznoszącego się ponad tłum i niezależnego od tłumu. By-

ła objawem reakcji przeciw każdej władzy, każdej instytucji, doktrynie czy pojęciu, które nie pochodziły z woli tłumu (lub tak zwanej woli tłumu) i niosły ze sobą coś, co w takim czy innym kierunku swobodę tej woli materjalnie lub moralnie hamowało. Gdziekolwiek panowało przez czas dłuższy pojęcie takiego wyższego autorytetu, tam wszędzie prędzej czy później rodzi się demokratyczna reakcja i to bez względu na to, czy panowanie tego autorytetu wydawało dobre lub złe skutki. Buntuje się bowiem tłum zarówno przeciw tyranom, czy tyrańskiemu ustrojowi, jak i przeciw dobrym, twórczym, sprężystym rządom, które tę tylko w oczach wielu złą mają stronę, że strzegą ładu i porządku i niekompetentnych, niedojrzałych żywiołów nie dopuszczają do władzy.

Mamy więc w historji, z różnymi warjantami, zawsze to samo zjawisko: po okresie rządów mniej lub więcej absolutnych, czy absolutnie oligarchicznych, następuje demokratyczna reakcja, której najistotniejszą cechą jest zastąpienie wyższego autorytetu pojęciem (czy przynajmniej fikcją) woli najszerszych sfer ludowych.

Ale rozmiarów zjawiska czy prądu ogólno-światowego zaczęła nabierać demokracja — w najszerszem tego słowa znaczeniu — dopiero mniejwięcej od połowy XVIII-go wieku, jako reakcja przeciw absolutyzmowi w rządach, stanowości w ustroju społecznym i zbytniemu skrępowaniu swobody słowa, pióra, sumienia i twórczości cywilizacyjjnej jednostki, przy osiągniętym już wówczas wysokim przeciętnym poziomie kulturalnym ogółu. W tym stanie rzeczy idea demokratyczna stała się koncepcją bojową, dążącą (pod niejednym względem słusznie) do rozerwania tych więzów, którymi krępował coraz bardziej państwowo i społecznie dojrzewającego obywatela ówczesny ustrój absolutystyczny i stanowy.

Był to więc zaczątek okresu, jednego z wielu, jakie kolejno ludzkość przechodzi, a które składają się stopniowo na rozbudowę cywilizacji. Z każdego z nich coś pozostaje, to

mianowicie, co istotnie jest twórczem, reszta zaś przeżywa się, więdnieje i zanika, ustępując miejsca nowym prądom i pojęciom, które nowe zapoczątkowują okresy. Podobnie więc, jak wszystko płynnem jest w historji, nie da się zatrzymać i na wieczne czasy spetryfikować, tak płynnym jest każdy nowy okres cywilizacyjny, według prastarej zasady: Panta rei. Próżne też były zawsze i są starania sztucznego podtrzymywania czegoś, co się organicznie przeżyło. Zamarłe czy zamierające tkanki można prądem elektrycznym na chwilę zgalwanizować, ale niepodobna ich ożywić.

Po okresie grecko-rzymskiej kultury, której jedną z wybitnych cech była instytucja niewolnictwa, nastąpił okres feudalizmu i scholastycyzmu, potem okres ustroju stanowego, związanego z jednej strony z „oświeconym“ coraz bardziej absolutyzmem monarszym, a odrodzeniem pojęć, oświaty i sztuki na klasycznych wzorach z drugiej. Widzimy w kolejnem następstwie tych okresów stopniowe łagodzenie różnic społecznych. Wreszcie nastał okres demokracji, jako organiczny wynik i reasumpcja poprzednich dążeń ludzkości do ideałów równości, sprawiedliwości i wolności obywatelskiej. Okres ten, jak każdy inny, miał pewną rolę do spełnienia i należy przyjąć za pewnik, że jak miał swój początek, tak musi mieć i swój koniec, spowodowany hipertrofją i przeżyciem.

Geneza i ekspansja współczesnych zasad demokratycznych była więc nieuchronnem, logicznem i z wielu względów koniecznem następstwem całej poprzedniej ewolucji. Zrodziła się ta idea w powszechnym entuzjaźmie i w całym swym dalszym rozwoju na tym entuzjaźmie, na emocjach i porywających, jaskrawych hasłach się oparła. Stała się też synonimem postępu, ale nie normalnego, ewolucyjnego, kładącego z rozwagą kamień na kamieniu w rozbudowie gmachu cywilizacji, lecz postępu mniejwięcej rewolucyjnego, krzykliwego, biorącego często hasła za rzeczywistość i mierzącego rezultaty na zamiary.

Dokonała niewątpliwie wiele dobrego i to tak wszechstronnie, jak chyba żaden z poprzednich okresów ewolucji cywilizacyjnej. Krótko mówiąc: z poddanych uczyniła obywateli, z terytorjalnych posiadłości monarchów uczyniła państwa, których najistotniejszą podstawą jest patrjotyczne uczucie ich mieszkańców. Swą zasadą równości i sprawiedliwości usunęła dawne, ulegalizowane krzywdy społeczne, przesądy i okrucieństwa. Swą zasadą wolności obywatelskiej zapłodniła przedewszystkiem niebywały przedtem rozwój wiedzy, techniki i ogólnego, przeciętnego dobrobytu, który w czasie przywilejów i ciężarów stanowych był nie do osiągnięcia dla większości szerokich mas. Złagodziła obyczaje i to przedewszystkiem wśród warstw najwyższych, wykształciła (ona dopiero!) prawdziwe, nowoczesne pojęcia sprawiedliwości społecznej i humanitaryzmu. Nie trzeba zapominać, że 120 lat temu istniała w Warszawie jeszcze oficjalnie tortura, a resztki niewolnictwa włościańskiego istniały w Kongresówce jeszcze przed siedemdziesięciu laty. Że to należy dzisiaj w naszych pojęciach już do niepowrotnej przeszłości, jest w znacznej części zasługą idei i propagandy demokratycznej.

Jej też zasługą jest niewątpliwie na naszym polskim gruncie ostateczne wykształcenie polskiej idei patrjotycznej — państwowej i narodowej — przez przyciągnięcie do niej najszerszych warstw społeczeństwa. Dopóki dobro ojczyzny było w pojęciach identyczne z dobrem jednej tylko, najwyższej warstwy społecznej, tak długo o głębszem pojęciu „państwowości“ nie mogło być mowy. Dopiero podciągnięcie szerokich mas pod pojęcie obywatelstwa i zidentyfikowanie ich ogólnego dobra z dobrem zamieszkiwanego przez nie kraju wykształciło i skonsolidowało ostatecznie — Polskę, której dzisiaj nawet zabór czy rozbiór, przemocą dokonany, nie rozbije i nie zniszczy.

Dlatego ludzkość cała, a w szczególności Polska, zawdzięcza bardzo wiele okresowi idei demokratycznej.

Ale, odnosząc się nawet z największym entuzjazmem

do tego najbardziej twórczego okresu dziejów, który począł się w „prawach człowieka“, a kończy się koncepcją solidaryzmu międzynarodowego i wyeliminowania wojny oraz regularną żeglugą powietrzną, nie wolno przeoczyć właściwej genezy idei demokratycznej i jej ujemnych konsekwencji, które odbijają jaskrawo na odwrotnej stronie medalu.

Demokracja skruszyła więzy, ale jak? Zasadniczym, doktrynersko argumentowanym buntem przeciw koncepcji wszelkiego wyższego autorytetu i praw, z nakazu tego autorytetu płynących. O ile więc chodziło o autorytet jakiejś doczesnej, zmiennej władzy czy instytucji, krępującej istotnie swobodniejszy oddech i twórczość jednostki, to idea demokratyczna, krusząc ten autorytet, działała twórczo, dodatnio. Ale walka, wypowiedziana raz wszelkiemu wyższemu autorytetowi, krusząca z zasady wszelkie więzy, narzucone społeczeństwu z góry, nie mogła oczywiście w pewnem, ściśle określonem miejscu się zatrzymać. Sięgnęła wyżej i zaatakowała autorytet najwyższy, nadprzyrodzony, jako ten, z którego wszystkie ziemskie czerpią swą władzę i jako ten, który bezwzględnej swobodzie jednostek i folgowaniu ich zwierzęcym instynktom najsilniejszą moralną kładzie tamę.

Bunt przeciw Bogu i zasadom moralności, przez Niego ustalonym, był więc i musiał być w logicznej konsekwencji najistotniejszą podstawą idei demokratycznej, która też miejsce władzy nadprzyrodzonej wypełniła koncepcją najwyższej, bezapelacyjnej woli ludu, a na miejsce niewygodnej dla zwierzęcych instynktów wyższej moralności wprowadziła arbitraż rozumu. Moralność zeszła więc do poziomu konwencjonalizmu, tracąc w światopoglądzie demokratycznym wszelkie wyższe, niezależne od „woli ludu“ i ludzkiego uznania pobudki. Ma jej strzec, praktycznie biorąc, nie sumienie, lecz policja.

Ktokolwiek mówi więc o demokracji i jej korzyściach z prawnego, czy społecznego, czy gospodarczego punktu wi-

dzenia, nie powinien ani na chwilę zapominać, że sama istota demokracji — w jej nowoczesnem, realnem, praktycznem znaczeniu — nie da się w żaden sposób oddzielić od koncepcji zasadniczej walki z autorytetem Boskim i wyższem pojęciem moralności. W demokracji, we wszelkich jej przejawach i konsekwencjach, rozum ludzki — i to bynajmniej nie rozum elity społecznej, ale szerokich mas — jest wszystkiem i żaden głębszy hamulec instynktów zwierzęcych nie istnieje i istnieć nie może, poza szablą policjanta lub bagnetem uzbrojonego obywatela, wymierzonym notabene nie zawsze dla obrony moralności, choćby nawet tylko konwencjonalnej.

Kto więc opowiada się za demokracją w pewnej dziedzinie, ten, choćby chciał, nie może być eklektykiem, lecz musi w konsekwencji przyjąć w swym programie także cały balast racjonalizmu i materjalizmu, wraz z płynącą z nich w praktyce demagogją w każdym kierunku, zwalczającą w ostatecznym rezultacie wszelkie wyższe pojęcia i autorytety, poczynając od Boga, a kończąc na państwie, którego losy podporządkowuje najrozmaitszym utopjom, czy zakusom wywrotowym. Fikcją jest bowiem powiedzenie sobie: stąd dotąd jestem demokratą, a w innych dziedzinach zwolennikiem innych pojęć. *Jakiejś idealnej, utopijnej, eklektycznej demokracji nigdy na świecie nie było i nie będzie, jak długo człowiek jest człowiekiem. Istnieje tylko dana, rzeczywista demokracja. której istotą, zadaniem i celem jest wyeliminować Boga, a wstawić na Jego miejsce człowieka i to bynajmniej nie najkulturalniejszego człowieka, ale motłoch ludzki.*

Tę bowiem jeszcze praktyczną i wielce charakterystyczną cechę posiada demokracja, że ustrój państwa i byt wszystkich nieco wyższych warstw społeczeństwa usiłuje poświęcić i dostosować do potrzeb i poziomu kulturalnego

najniższej w danem państwie i w danym okresie warstwy społecznej. Jej kierunek więc jest zasadniczo wsteczny, djametralnie przeciwny prawom ewolucji: gdy bowiem ewolucja w przyrodzie i w cywilizacji dąży z natury rzeczy od form niższych do wyższych, a więc w kierunku uszlachetniającym, „arystokratyzującym", to tendencja niwelizacyjna demokracji usiłuje zepchnąć cywilizację wdół, do poziomu najbardziej zacofanego proletarjatu, występując zasadniczo przeciwko wszystkiemu, co się ponad ten najniższy poziom proletarjacki wznieść usiłuje.

Reguła ta była i bywa w różnych społeczeństwach rozmaicie realizowaną, mniej lub więcej jaskrawo, ale regułą pozostaje zawsze. Wywołuje wszędzie ruch na lewo, po równi pochyłej, który też, o ile nie napotka jakiegoś okolicznościowego, dość silnego hamulca, płodzi wreszcie komunizm i anarchję.

Jeżeli więc ktoś twierdzi, że jest wyznawcą zasad demokratycznych, czyli „ludowładczych", to stwierdza zarazem — o ile jest szczerym i konsekwentnym — że jest także wyznawcą racjonalizmu, materjalizmu i zasadniczej proletaryzacji społecznej. Jedno bowiem jest organicznie i praktycznie nieodłącznem od drugiego. Jeżeli zaś wyznawca demokracji w pewnej dziedzinie chce wywinąć się od jej konsekwencji na innych polach, to składa dowód, że albo jest nieszczerym oportunistą, albo marzycielem. I dlatego też wszelkie próby sztucznej regeneracji idei demokratycznej w pewnym, dowolnie przez pewnych autorów wytyczonym zakresie, są niebezpieczną fikcją, gdyż, mimo ich najlepszej woli, przyczyniają się oni do wzmacniania swym autorytetem światopoglądu nawskroś materjalistycznego, którego niepodobna posiekać dowolnie na lepsze i gorsze kawałki, ale tylko w całości trzeba przyjąć lub odrzucić.

Okres panowania i ewolucji idei demokratycznej, takiej, jaka się zrodziła i wykształciła w ciągu XVIII-go i XIX-go wieku, dobiega prawdopodobnie już do końca. Widać to po bezspornym uwiądzie starczym wszelakich, na-

zbyt już wybujałych doktryn, haseł, założeń, instytucji i norm ustrojowych demokratycznych. Wyzwolona przez nie z pod pewnego ucisku, ale w następstwie coraz bardziej przez nie krępowana, pauperyzowana i mechanizowana ludzkość dąży do obecnie—częścią świadomie, częcią jeszcze podświadomie—do wyzwolenia się teraz z kolei z tych nieznośnych więzów planowej mechanizacji i pauperyzacji oraz duchowej nicości, wyciągając ręce do idei wyższych, któreby mogły z jednej strony dać jej silniejsze moralne oparcie, z drugiej zaś wprowadzić w ustrój państwowy i społeczny, a w konsekwencji i w gospodarczy, pewne produktywniejsze zasady objektywizmu i zdrowego rozsądku.

Prąd ten zdaje się wzmagać na całym świecie, mimo wszelkich zewnętrznych pozorów panowania demokracji, utrzymującej się po wierzchu już tylko sztucznymi sposobami, a zwłaszcza fizyczną przemocą, ale już nie przekonaniem ogółu. A wiadomo, że niemasz takiej przemocy, któraby była w stanie oprzeć się à la longue nowym, prawdziwie twórczym i zdrowym ideom. Czuć na świecie jakiś świeższy powiew. Gdzie zaś jeszcze przestarzała demokracja się podtrzymuje, tam pogłębia się w groźnem tempie kryzys ustrojowy i gospodarczy, karykaturują się rządy i parlamenty, przychodzą do władzy z konieczności dyktatury, albo niszczycielski, krwawy bolszewizm, najwstrętniejsza, ale najbardziej pouczająca konsekwencja idei demokratycznej.

Jakież więc dla nas, Polaków, wynikają z tych refleksji praktyczne konsekwencje?

Przedewszystkiem ta, że dalsze losy ewolucji demokratycznej trzeba pozostawić jej naturalnemu, rozkładowemu procesowi i nie podtrzymywać jej jakimś anachronicznym oportunizmem w mylnem przekonaniu, że się przez to państwo zmodernizuje. Demokracja już odegrała swą rolę i nie jest w stanie nic pozytywnego dokonać. Jej twórcze pierwiastki wsiąkły w ogólny rozwój cywilizacyjny, a jej odpadki, z całym swym balastem doktrynerskim, trawią się same w sobie. Ich galwanizowanie jest więc równoznaczne

z hamowaniem postępu i podtrzymywaniem (choćby pośredniem) materjalizmu, ateizmu i różnych nowoczesnych koncepcji społecznego wywrotu. A nad tem niejeden umysł umiarkowany, usiłujący, dla jakichś względów romantycznego idealizmu lub politycznego oportunizmu, regenerować różne teoretyczne ideały demokracji w nadziei, że „stanie przez to na wysokości swego społecznego zadania i wielkich rzeczy dokona“, nie zdaje sobie dokładnie sprawy, iż działa na rzecz prawdziwie „gasnącego świata“, nawskroś sprzecznego z wiarą w wyższy autorytet i w wyższe, nadprzyrodzone zasady moralności.

I niemasz w tym względzie kompromisu, niemasz miejsca na dowolne koncepcje i fantazje. Nie wolno mieszać pojęć w powierzchownym entuzjaźmie. Kto wyznaje jakiekolwiek zasady religijne, kto wierzy w jakiś wyższy autorytet i prawa, z niego płynące, ten nie może być szczerym demokratą. Może conajwięcej sympatyzować z temi lub owemi demokratycznemi urządzeniami, o ile mu są lub wydają się być dogodne w danych warunkach. Ale szczery demokrata, wyznawca dyktatury ludzkiego rozumu i woli tłumu, jako najwyższego trybunału we wszystkich sprawach moralnych i materjalnych, nie może na serjo wierzyć w Boga, ze wszystkiemi konsekwencjami tej wiary, bo inaczej stanąłby odrazu w sprzeczności z najistotniejszą podstawą i założeniem demokracji. Jeżeli mimo to są doktryny czy partje demokratyczne, które nie głoszą negacji wiary, to jest to wynikiem pewnego kompromisu z ich strony. Chcą działać eklektycznie, wybierając z doktryny demokratycznej to, co im w danych warunkach jest na rękę, a pomijając lub przemilczając resztę. Ale tem się też tłumaczy demagogja tych stronnictw i brak u nich głębszych zasad etycznych i programowych. Takie stronnictwo, w danym okresie bardzo nawet umiarkowane, występujące nawet chwilowo w roli szermierza religji, zmienia się łatwo za podmuchem innej konjunktury w klikę nawskroś demagogiczną, licytującą się z innemi o najradykalniejszy kierunek. Dla-

tego to niemasz żadnej programowej ani ideologicznej trwałości w partjach demokratycznych, wyznających bez wyjątku jeden tylko naprawdę kierunek: utylitaryzm!

Stąd też cała dzisiejsza demokratyczna doktryna i polityka, pełna jest na każdym kroku oczywistych sprzeczności z własnemi zasadami, a jej rezultaty ustrojowe, społeczne i gospodarcze przeciwne są nieraz nietylko żywotnym potrzebom państwa i społeczeństwa, ale i jej własnym hasłom teoretycznym. Demokracja nie jest w stanie dotrzymać tego, co społeczeństwu obiecuje: ani dobrobytu, bo niszczy go w zarodku swą doktryną niwelacyjną i pauperyzacyjną; ani szczęścia i swobody, bo chcąc przeforsować swe postulaty, przeciwne prawom naturalnym, używać musi do tego przymusu i coraz większego etatystycznego skrępowania jednostki; ani prawdziwego wpływu na losy państwa, bo chcąc utrzymać się sztucznie przy władzy, musi wprowadzać dyktaturę klik partyjnych i system głosowania, równający się w istocie nominacji kandydatów do ciał reprezentacyjnych przez przywódców tych klik.

Trzeba nareszcie otworzyć oczy na fakt przeżycia się, skarykaturowania i zaniku demokracji i nie silić się na odradzanie czegoś — nawet w nomeklaturze — co już mija. Postęp idzie naprzód, demokracja oznacza w nim stanowczo stadjum już prawie przebyte i dlatego każdy, kto w jej imię walczyć jeszcze usiłuje, popełnia w istocie wstecznictwo, pomijając już to, że staje w obronie ateizmu i społecznego wywrotu, które tkwią nieodłącznie w samych zasadach demokracji.

Niepodobna nazywać jeszcze demokracją różnych pożytecznych zasad i urządzeń, które jej epoka wniosła w rozwój cywilizacyjny i które stały się już ogólną jego własnością. Wszak nie sama demokracja na nie się złożyła, ale cały długi poprzedzający rozwój cywilizacyjny, a w pierwszym rzędzie chrystjanizm. Fałszem np. jest przypisywanie demokracji wyłącznej zasługi ugruntowania pojęcia równości obywatela wobec prawa. Wszak zasada ta obja-

wioną została w sposób zdecydowany przez ewengelję, a ewolucja następnych wieków szła cała w kierunku stopniowej, praktycznej realizacji tej zasady, przytłumionej ciemnotą średniowiecza i innymi warunkami. W chwili wystąpienia doktryny demokratycznej realizacja tej zasady zrobiła już bardzo znaczne postępy i to bynajmniej nie pod hasłem ludowładztwa, ale ogólnego cywilizacyjnego rozwoju i wzrostu poczucia sprawiedliwości, tak, że filozofja demokratyczna czy rewolucja francuska dodały tylko jeden impuls więcej, ale nie stworzyły nic nowego. Dlatego też jest stanowczą przesadą zbytnie gloryfikowanie „zdobyczy wielkiej rewolucji", bo i bez niej doszłoby w sposób spokojny do tego, co ona okrucieństwem, gilotyną i gwałtem niepotrzebnie przeforsowała.

To samo możnaby powiedzieć o wszystkich innych słusznych, a użytecznych instytucjach i pojęciach, na których demokracja położyła też swą pieczątkę, ale nie pierwsza i nie ostatnia.

Dlatego też wyznajemy otwarcie, że dla korzystnego dalszego rozwoju stosunków nie uważamy za niebezpieczne tych wszystkich wyjałowionych, skarykaturowanych lub nawet krwawych wysiłków przebrzmiałej idei, która, załamując się pod żywiołowym naporem rzeczywistości, usiłuje przedłużać swe życie i swój gasnący autorytet za wszelką cenę; jaskrawa beznadziejność tych formuł, haseł i wybryków, choćby realizowana na tak olbrzymią skalę, jak w państwie sowietów, nie wydaje nam się nazbyt niebezpieczną, właśnie przez swą cechę wyraźnie absurdalną i odstraszającą. Za gorsze uważamy różne „cywilizowane" prądy międzynarodowe, płynące z zachodu, które wszystkie powstały na podłożu demokratycznego materjalizmu, ateizmu i etatyzmu, a które w Rosji spłodziły bolszewizm, a u nas podsycają wciąż rozprzężenie i paraliżują wszelkie pozytywne usiłowania naprawy. Ale najniebezpieczniejsze są te usiłowania pewnych sfer umiarkowanych, które, aczkolwiek w gruncie rzeczy przeciwne zasadom demokracji

w ich całokształcie, chcą jednak — dla względów oportunistycznych i nie zdając sobie sprawy z faktu jej gasnącego reżimu — podtrzymywać jej autorytet, zamiast w sposób szczery, jasny i zdecydowany przeciwstawić się z obowiązku jej akcji destrukcyjnej. Niepodobna walczyć skutecznie z nieprzyjacielem, przeciwstawiając mu się na jednym odcinku frontu, a kapitulując przed nim na innych.

Dziś stanęła rzecz tak: albo demokracja i jej wstecznictwo doktrynerskie, albo postęp prawdziwy, a z nim materjalne i moralne odrodzenie społeczeństwa. Innego wyjścia, ani kompromisu niema i złą przysługę oddają dobrej sprawie ci, którzy uginają się dziś jeszcze przed pozorami doktryny ludowładztwa, paktują z nią i szukają beznadziejnie kompromisu.

Zrobiliby lepiej, kierując wzrok nieco wdal przed siebie i przykładając rękę do renesansu tych wszystkich zdrowych, twórczych i wzniosłych zasad, których demokracja była w zarodku, a staje się z dniem każdym coraz więcej, jaskrawem zaprzeczeniem.

Mamy obecnie przed sobą wielkie, prawdziwie historyczne zadanie naprawy politycznego ustroju i gospodarczego odrodzenia państwa. Ależ oba te zadania są praktycznie niewykonalne pod sztandarem demokracji, gdyż wykonanie ich, szczere, sumienne, a skuteczne, zadałoby cios ostateczny wszystkim zasadom i praktykom demokracji, wykształconym w ciągu jej półtorawiekowego panowania! Nie uchwali też prawdziwie skutecznej reformy politycznej lub gospodarczej żaden parlament, wybrany na dotychczasowych, niwelacyjnie-demokratycznych zasadach, gdyż podpisałby tem samem wyrok śmierci na siebie. Łudzić się w tym względzie nie wolno.

Prawdziwie skuteczną naprawę ustroju politycznego i gospodarczego przeprowadzić może w danych warunkach tylko przewidujący, śmiały w swych poczynaniach rząd w zgodzie z opinją publiczną, która już oddawna uznaje piekącą potrzebę głęboko sięgających reform i gotowa jest po-

przeć każde twórcze, zdecydowane pociągnięcia w tym kierunku. Oczywiście nowe reformy muszą dać masom odpowiednie, szerokie prawa, ale nie dlatego, że się ich domaga w swych hasłach doktryna demokratyczna, lecz dlatego, że wymaga tego rozwój cywilizacyjny i podniesiony poziom obywatelski tych mas. Usunąć jednak i zniszczyć należy przytem różne szkodliwe fikcje, które stworzyła demokracja dla oszukania mas i oddania władzy nad niemi w ręce różnych klik, działających najczęściej na szkodę najszerszych warstw obywatelskich i państwa.

Do takich fikcji szkodliwych należy przedewszystkiem dzisiejsza sześcioprzymiotnikowa ordynacja wyborcza, przy której żadna rozumna reforma nie da się ani uchwalić, ani utrwalić. Skończyć trzeba z tą karykaturą „woli ludu“, która w rzeczywistości wyraża wszystko inne, oprócz istotnej woli mas głosujących. Dziwić się należy, że szerokie sfery ludności już dawno przeciw tej komedji demokratycznej energicznie nie zaprotestowały, a jeszcze bardziej, że inteligentne, umiarkowane sfery tak słabo dotąd reagowały na ten największy nasz absurd ustrojowy, jakgdyby obawiając się tykać jakiegoś tajemniczego amuletu!

I wogóle dzieło naprawy Rzeczypospolitej — w szerokiem tego słowa znaczeniu — nie może posunąć się naprzód pod firmą demokracji, lecz jedynie pod hasłem pewnej objektywnej refleksji i t. zw. zdrowego rozsądku, zgodnie z ogólnym prądem otrzeźwienia i oświecenia, który wiać zaczyna od pewnego czasu na całym świecie, krusząc z kolei pęta bezkrytycznych doktryn i różnych „praw nabytych“ demokratycznego okresu. Nie można stawiać nowego gmachu na starych, zmurszałych fundamentach!

A nadto jedną jeszcze stronę sprawy muszą uwzględnić ci, w których ręku znajduje się czy znajdzie dyrektywa naprawy ustroju w Polsce. Oto cały zbieg warunków geograficznych, etnograficznych, wyznaniowych i politycznych, w jakich Polska jest umiejscowiona, na granicy między wrogą jej istnieniu kulturą wschodnią, a niemniej wrogimi dla

niej zakusami politycznymi, gospodarczymi i moralnymi z zachodu, może Polska utrzymać swój byt niezależny i swą tężyznę państwowo-twórczą tylko w silnem oparciu o ideały religijne, a zwłaszcza o religję rzymsko-katolicką. Może sobie bez niej egzystować ostatecznie Francja, czy Anglja, czy Włochy, czy Niemcy — nie może bez niej utrzymać się na dłuższą metę Polska.

Nie miejsce tu na bliższe argumentowanie tej sprawy, jasne zresztą dla każdego, kto ma choć jakiekolwiek pojęcie o historji ojczystej i perspektywach przyszłości naszego państwa. A skoro tak, to nie wolno zapominać, że głębsze zrozumienie religji, jako przepisów nadprzyrodzonego autorytetu, nie da się pogodzić z głębszem oddaniem się doktrynie demokratycznej. Powierzchownie można godzić jedno z drugiem, ale gdy się głębiej sięgnie, djametralna sprzeczność występuje w całej pełni. Tu Bóg Najwyższą Dyrektywą i stworzone przez Niego prawa przyrody — tam tłum, motłoch i nieobliczalne jego apetyty i kaprysy. Jakże jedno z drugiem logicznie pogodzić?

I znowu nie trzeba mieszać pojęć i faktów. Nie trzeba mieszać ogólno-ludzkich, wzniosłych pojęć równości i braterstwa, które głosi ewangelja, ani ich odbicia w różnych enuncjacjach Kościoła (encyklika Rerum novarum, Kodeks socjalny i t. d.), z tem, czem jest naprawdę demokracja, z jej ateistyczną genezą i z jej demagogicznymi, niszczącymi rezultatami, które więcej, niż wojna światowa, zahamowały obecnie normalny rozwój cywilizacji.

Weźmy na przykład nasze swojskie stosunki. Szerokie masy ludowe w Polsce nie mają w sobie wcale wrodzonej mentalności demokratycznej. Każdy chce podnieść swój dobrobyt, powiększyć swe mienie, zdobyć wyższe stanowisko i wznieść się na wyższy szczebel kulturalnego poziomu. A już w pierwszym rzędzie chłop polski jest urodzonym konserwatystą i ma głębsze poczucie prawa i sprawiedliwości. Nie lubi politycznych czy gospodarczych eksperymentów i nie trudno pobudzić go do wyższych idei.

Aż oto przychodzi do tych mas idea demokratyczna, reprezentowana przez różne partje. Ten sam lud, w gruncie rzeczy zdrowo myślący i pracowity, zwolennik słuszności i Prawa (przez duże P pisanego), staje się momentalnie (na szczęście nie na stałe) wywrotowcem, chciwym przedewszystkiem na cudze mienie i wrogiem wszelkiej wyższej cywilizacji. Stronnictwa włościańskie wmawiają w chłopa, że postęp to rabunek cudzej ziemi, socjaliści nazywają postępem ogołocenie wogóle wszystkich ze wszystkiego, a karykaturujące praworządność i religijność stronnictwa prawicowe, endecja i chadecja, zwłaszcza ta ostatnia, licytują się niezgorzej ze skrajną lewicą w radykaliźmie, ilekroć zajdzie pokusa. To jest nasza demokracja, to jedyny realny a widomy skutek idei demokratycznej! I żaden inny w praktycznym rezultacie być nie może.

Demokracja powoduje prawdziwie janusowe, dwoiste oblicze w naszem społeczeństwie. Jedna jego strona, to spokojnie, rozumnie, produktywnie pracujący obywatel, który łatwo zrozumie i zgodzi się na każdą pożyteczną reformę w państwie, nawet gdyby ta reforma wymagała pewnego z jego strony poświęcenia. To jego oblicze „konserwatywne“, patrjotyczne, praworządne. Z drugiej strony tenże sam obywatel jest demokratą, zawistnym na cudzy dobytek i powodzenie, oklaskującym wszelkie bezkrytyczne formuły radykalizmu, zdolnym popierać najabsurdalniejsze pomysły.

Chodzi więc o to, aby tę pierwszą stronę naszego społeczeństwa wzmocnić i utrwalić, niszcząc stopniowo drugą, bo w demokratycznym nastroju społeczeństwo nasze nie będzie w stanie swej doniosłej a trudnej misji dziejowej wykonać. A w tym celu muszą przedewszystkiem oświecone, umiarkowane żywioły w społeczeństwie zdać sobie jasno sprawę z istoty i nieuchronnych konsekwencji doktryny demokratycznej i uświadomienie to w szerszych masach w sposób zdecydowany szerzyć. W przeciwnym razie niech się nie dziwią, że na skrzydłach demokracji penetrują bezkar-

nie do nas ze wschodu i zachodu wszelakie zgubne dla państwa, rozkładowe doktryny, prądy i organizacje i niech nie lamentują nad nikłym wynikiem dotychczasowych wysiłków naprawy stosunków ustrojowych czy gospodarczych.

Jan Bobrzyński

Na temat demokracji otrzymaliśmy nadto następujące krótkie, ale ciekawe uwagi, stanowiące niejako uzupełnienie powyższego artykułu i oświetlenie przedmiotu z innej jeszcze strony. Uwagi te, pochodzące od prawnika, zasługują — zwłaszcza w swej praktycznej konkluzji — na szczególne podkreślenie.

DEWIACJA A STAŁOŚĆ KIERUNKU JAKO RÓŻNICA EWOLUCYJNA MYŚLI DEMOKRATYCZNEJ A ZACHOWAWCZEJ.

Dla kierunków demokratycznych jest charakterystycznem, że cały szereg tych podstawowych ideałów, które stanowią rdzeń myśli zachowawczej, był w swoim czasie punktem wyjścia kierunków demokratycznych — jednakowoż w tych ostatnich uległy one takiej dewiacji, że doprowadziły aż do zupełnej ich antytezy i zwalczania.

Jako przykład pierwszy wystarczy wskazać ideał poszanowania autorytetu i wartości osobistej. Demokracja wyszła w swoim czasie z założenia, że o prawie człowieka do zajmowania stanowisk publicznych decydować powinna tylko jego wartość osobista. Stanowisko to było w swoim czasie słuszną reakcją przeciwko przywilejom stanowym i jako takie odpowiadało interesowi publicznemu, będąc wyrazem tendencji, aby dla dobra państwa można było wyzy-

skać jego najlepsze siły. Rozwój stosunków poszedł jednakowoż w kierunku, który, będąc zboczeniem od tego pierwotnego założenia, doprowadził do jego zasadniczej negacji. Systemy prawa wyborczego, niwelujące znaczenie osobistej wartości jednostki, a w szczególności doprowadzające do tego, że kandydaci do przedstawicielstwa narodowego znikają wogóle jako indywidualności, a stają się tylko uczestnikami katalogów list stronnictw wyborczych, — negację tę usankcjonowały. Silne refleksy tego kierunku pojawiły się w ustroju administracji publicznej, gdzie bezpośrednie wpływy stronnictw politycznych, decydujące przeważnie o obsadzaniu stanowisk, podważyły w sposób poważny zasadę wybijania się urzędników osobistą pracą i zasługą.

Natomiast myśl zachowawcza utrzymała i utrzymuje kult autorytetu osobistego i z drogi tej zejść nie chce i nie może. Nie może, bo jest on wogóle podstawą organizacyjną bytu i działalności ugrupowań zachowaczych. Stronnictwa zachowacze z natury rzeczy opierają się na wybitnych indywidualnościach swoich członków. Stronnictwa zachowacze nigdy nie mogą liczyć na ogarnięcie mas, a nawet wówczas, gdy chwilowo wskutek szczęśliwych konjunktur organizacyjnych udaje im się skupić „wielką“ ilość członków, to ta „wielka“ cyfra jest zawsze minimalną w stosunku do liczebnej siły stronnictw demokratycznych i na szali walk wyborczych liczbowo zaważyć nie może. Opierając swój byt i swoją siłę na j a k o ś c i, a nie na i l o ś c i, ugrupowania zachowawcze muszą zawsze utrzymać kult autorytetu i osobistej wartości jednostek w jego pierwotnej czystości, porzuconej i zaprzeczonej przez kierunki demokratyczne.

Podobnie też przedstawia się sprawa, o ile chodzi o obronę własności prywatnej. Kierunek demokratyczny w różnych swoich przejawach wyszedł w swoim czasie z założenia, że jednostce należy dać wolność pracy i zarobkowania i chronić jej warsztat pracy przed dowolnością

i zbytnią ingerencją ze strony władz publicznych, oczyścić go z więzów, krępujących jej swobodę. I tutaj demokratyzm w dalszym swoim rozwoju zboczył od pierwotnego swego założenia, doprowadzając do tak daleko idących wtargnięć w prawo własności indywidualnej i w wolność gospodarczą jednostek (nie mówimy tutaj oczywiście o ograniczeniach istotnie w interesie publicznym niezbędnych, np. zwalczaniu lichwy), że w wielu punktach doprowadził do negacji stanowiska pierwotnego. Natomiast myśl zachowawcza ideał poszanowania własności indywidualnej utrzymuje jako jedną z podstaw swojego programu zasadniczego.

Stwierdzenie tego faktu, że kierunki demokratyczne wykazały dewiację od swych pierwotnych założeń, podczas gdy myśl zachowawcza utrzymuje swoje ideały w czystości, napawa optymizmem na przyszłość. Ideały, właściwe myśli zachowaczej, są wrodzone naturze ludzkiej i zawsze będą miały wartość. Ugrupowania zachowawcze mogą, zależnie od chwilowych konjunktur, osiągać wpływ bezpośredni na sprawy publiczne lub też być od tego wpływu odsunięte. Ale ideały zachowawcze posiadają wartość niezmienną i dlatego też nawet w czasach największej wybujałości demokratyzmu w jego najjaskrawszych formach — zdrowa myśl zachowawczo-państwowa szeregu wybitnych jednostek będzie je pielęgnować i podtrzymywać. Dla stronnictw demokratycznych klęska wyborcza lub ubytek znacznej ilości członków oznaczają z reguły ich likwidację, podczas gdy dla ugrupowań zachowawczych czasowe odsunięcie od bezpośredniego wpływu na rządy państwa likwidacji oznaczać nie może, bo likwidacji nie podlega myśl o wartości trwałej!

Prof. Dr. Tadeusz Hilarowicz

O PRZESILENIU GOSPODARCZEM.

UWAGI — NIEPOLITYCZNE.

Każdy, kto czytuje naszą prasę codzienną i chciałby z tego źródła zaczerpnąć autentycznych informacji o stanie, przyczynach i skutkach obecnego przesilenia gospodarczego, znalazłby się w trudnej sytuacji. Prasa rządowa tłumaczy nam, że jest wszystko dobrze, że rząd ma program gospodarczy i postępuje wedle tego programu i że prawdopodobnie niedługo, w lecie lub na jesieni, przesilenie się skończy; prasa znowu opozycyjna maluje sytuację zazwyczaj w zbyt czarnych barwach. Jedna i druga operuje prawie zawsze poszczególnymi fenomenami życia gospodarczego i budżetu państwa, wyrwanymi z całokształtu i zgodnie ze swoim charakterem, tendencją i ideologją, z natury rzeczy bądź przecenia pewne chwilowe dodatnie zjawiska, bądź też wydłuża ujemne. Jedna i druga są jednostronne.

Celem tych uwag jest podjęcie próby scharakteryzowania obecnego przesilenia gospodarczego w sposób niejednostronny i absolutnie objektywny, apolityczny — w świetle prawdy, z pominięciem wszelkiej przesady w kierunku dodatnim i ujemnym i wszelkich momentów „sanacyjności“ i „antysanacyjności“ oraz klasowo-gospodarczych, na podstawie 1) bezstronnej analizy najważniejszych zjawisk natury gospodarczej i skarbowej, 2) zjawisk, wziętych z dłuższego okresu, bo życie gospodarcze idzie, a nie stoi w miejscu, wskutek czego momenty pewnej chwili —- t. zw. statyczne — mają znaczenie drugorzędne, o wiele pośledniejsze, aniżeli momenty t. zw. dynamiczne, t. j. rozwojowe; 3) będę dalej usiłował zjawiska pokrewne ze sobą logicznie wiązać — tak, jak one płyną razem na fali codziennego życia, odróżniając zjawiska główne, pierwotne, od pochod-

nych; 4) poczem, na podstawie tych analiz, spróbuję dać pewne ogólne, pozytywne wskazania, co należałoby, mojem zdaniem, uczynić, aby wyjść z obecnej sytuacji; sama bowiem jałowa krytyka do niczego nie prowadzi.

Sądzę, że tylko takie, na ścisłym materjale oparte uwagi, absolutnie objektywne, mają pewną realną wartość. Za teren moich rozważań biorę niniejsze pismo, które umożliwia takie spokojne, bezpartyjne, niezależne od konjunktur bieżącej polityki i partykularyzmu interesów gospodarczych wypowiedzenie się o problemach gospodarczych — bez narażenia się z miejsca na zarzut stronności, na który zgóry byłby narażony każdy, ktoby chciał wypowiedzieć się na ten temat w jakiemś bojowem piśmie partyjno-politycznem, czy klasowo-gospodarczem i to nawet wtedy, gdyby miał dobrą, nieprzymuszoną wolę i najszczerszy zamiar zająć stanowisko zupełnie objektywne.

Wobec obszernego tematu zamierzam rzecz przedstawić w sposób następujący:

I. Zacznę od uwag, dotyczących dwóch fundamentalnych instytucji życia gospodarczego, t. j. pieniądza i budżetu państwa, których obecna stabilizacja wzgl. równowaga stanowi niejako stos pacierzowy naszych stosunków gospodarczych.

II. Następnie scharakteryzuję w sposób ogólny obecne przesilenie.

III. Wreszcie wskażę to, co mojem zdaniem należałoby uczynić, aby przesilenie możliwie złagodzić.

I.

ZŁOTY I BUDŻET PAŃSTWA.

Polska posiada od bardzo niedawna stabilizację pieniądza i równowagę budżetu państwa. Są to wartości gospodarcze i polityczne pierwszorzędne. Traktowanie ich wskutek tego wymaga ostrożności

i oględności, a to tem więcej, że, jeżeli o pieniądz nasz chodzi, jesteśmy jedynym krajem, który miał to nieszczęście, że przeprowadził dwie reformy walutowe — w r. 1924 i 1927. Żaden inny kraj tego nie przechodził, tylko my jedni. Jeżeli też z jednej strony najzupełniej zrozumiałą jest troska wszystkich o pieniądz, o utrzymanie jego stałości, to z drugiej strony wynika stąd obowiązek nietylko niewyprowadzania zaraz ogólnych wniosków ujemnych z pewnych konkretnych niekorzystnych przejawów w tej dziedzinie, lecz także z drugiej strony i obowiązek niebagatelizowania ich, o ileby ich dynamika w dłuższym okresie czasu wskazywała na pewne niebezpieczeństwo. Innemi słowy — o pieniądzu i o równowadze budżetu należy m. z. rozprawiać w sposób rzeczowy i ścisły, bez zawodowego optymizmu i pesymizmu, które są tu zarówno nie na miejscu. Będę się przeto starał przedstawić te dwie rzeczy w świetle prawdy i w takiem naświetleniu, jak ja je widzę.

A.

Pokrycie złotego i Bank Polski.

Przed zaciągnięciem pożyczki stabilizacyjnej z r. 1927 wynosił zapas kruszcu i walut w Banku Polskim 770 miljonów zł. Z waluty tej pożyczki wpłynęło do B. P. 624 miljonów zł., tak, że w dniu 10 listopada 1927 stan kruszcu i obcych walut wogóle wynosił w B. P. 1.394 miljonów zł.

Dnia 31.12 1927 kruszec i pieniądze oraz należności zagraniczne, zaliczone i niezaliczone do pokrycia,

wynosiły w B. P. kwotę	1.414	milj.	zł.,
dnia 31.12 1928	1.334	„	„
dnia 31.12 1929	1.226	„	„
dnia 30.4 1930	1.111	„	„

Znaczy to, że odpływ wynosił:

a) w ciągu roku 1928 . : . . .	80	milj.	zł.,
b) w ciągu roku 1929	108	„	„
c) w ciągu pierwszych 4 mies. 1930 .	115	„	„

A więc — w ciągu pierwszych 4 miesięcy r. b. był odpływ większy, aniżeli w ciągu ubiegłego roku; w r. 1929 był większy — aniżeli w r. 1928. Czyli — dynamika odpływu wzrastała w całym tym okresie. A gdy waluta, którą B. P. uzyskał z realizacji pożyczki stabilizac. z r. 1927, wynosiła, jak wspomniałem, 624 miljony zł., odpłynęło zaś dotąd już 303 miljony zł., okazuje się, że prawie połowa waluty, uzyskanej z pożyczki stabilizacyjnej, już wyszła z Banku Polskiego.

Wiadomo, że od połowy r. 1929 mamy czynny bilans handlowy. Zdawaćby się wskutek tego mogło, że tak znaczny odpływ nie powinien mieć miejca. Wyjaśnia nam to dziwne na pozór zjawisko „Polska gospodarcza", wydawana przez ministerjum przem. i handlu. W zeszycie Nr. 16 z dn. 19 kwietnia 1930 czytamy, że „odpływ walut z Banku, mimo utrzymującego się czynnego bilansu handlowego, tłumaczy się w znacznym stopniu pewnym odpływem wzgl. mniejszym dopływem kredytów zagarnicznych, związanym z konjunkturalnem skurczeniem się produkcji i obrotów".

I cóż na to p. Dewey? W ostatniem swem sprawozdaniu za IV kw. 1929 mówi on, że „ażeby zapobiec tej zagrażającej sytuacji, B. P. zastosował politykę łagodnych ograniczeń kredytowych" (str. 28 przekładu polskiego). W tekście oryginalnym — angielskim — brzmi to tak: „To meet this impending situation the Bank of Poland adopted a policy of mild restriction of credit" (str. 19 oryginału). A skoro emisja banknotów i dyskontowanie weksli jest głównem zadaniem B. P., jasną jest rzeczą, że wskutek tego cała działalność B. P. ulega stopniowemu kurczeniu, co jest oczywiście niepożądane, ale konieczne, a o czem najwymowniej świadczy przedewszystkiem powolny spadek ogólnej sumy bilansowej Banku, która jest zwierciadłem skali działalności instytucji bankowej wogóle i tempa jej rozwoju. Ta ogólna suma bilansowa B. P., która po wpływie waluty z pożyczki stabilizacyjnej wzrosła z 900 miljonów do blisko 1,5 miljarda zł. i rosnąc stale, doszła z końcem r. 1928 do blisko

2.300 miljonów, a w ciągu r. 1929 oscylowała około 2.200 miljonów, spada w styczniu 1930 do 2.100 miljonów zł. — aby dojść w ostatnim czasie do 2 miljardów zł. Oczywiście zmniejszył się tem samem i obieg biletów bankowych w ubiegłych 4 miesiącach (I, II, III, IV 1930) — już mniejszy od obiegu II półrocza 1929. Zmniejszyło się również z tego powodu — i to bardzo nawet znacznie — dyskonto weksli: wynosiło ono dnia 30.4 1930 zaledwie 590.5 miljonów. Jest to niezwykle niska kwota portfelu wekslowego B. P., od sierpnia 1928 nie napotykana; portfel wekslowy B. P. wynosił rok temu, t. j. dnia 30.4 1929 — 697,5 milj., więc o 107 milj. zł. wynosi obecnie mniej; w ciągu roku 1929 portfel ten w przeważającej liczbie miesięcy przenosił kwotę 700 miljonów zł.

Dla należytego zrozumienia i objaśnienia powyższych cyfr i zmian, zaszłych generalnie in minus we wszystkich kierunkach działalności B. P. w ostatnich miesiącach i dalej zachodzących w miarę odpływu walut, należy zauważyć, co następuje:

1) Obieg pieniężny jest w Polsce najniższy w porównaniu z wszystkiemi europejskiemi państwami, za wyjątkiem jednej Bułgarji; wynosił bowiem u nas z końcem r. 1928 na głowę ludności zaledwie 52 zł., natomiast 156 zł. w Czechosłowacji, 202 zł. w Austrji, 181 zł. w Niemczech, 547 zł. we Francji i t. d., wskutek czego tak znaczna i stopniowa jego redukcja odbija się na stosunkach gospodarczych ujemnie, a to tembardziej, że Polska jest jedynym krajem, w którym obieg pieniężny, po wojnie w stosunku do stanu przedwojennego bardzo znacznie się zmniejszył (przeszło o 50%) i że ponadto nasz obrót bezgotówkowy jest minimalny: 11 razy mniejszy, aniżeli w Czechosłowacji, na głowę ludności, 20 razy mniejszy, aniżeli we Francji, biorąc pod uwagę tylko obroty izb rozrachunkowych, i t. d.

2) W marcu r. b., wobec braku odpowiedniego materjału wekslowego, wykorzystanie przyznanych kredytów,

ulegając dalszemu ograniczeniu, doszło do wprost nieprawdopodobnie niskiej sumy 56% sumy kredytów przyznanych, to znaczy, że prawie połowa kredytów, przyznanych przez B. P., jest przez klijentelę obecnie zupełnie nie wykorzystana — martwa, bo tak bardzo skurczyły się obroty gospodarcze, że mało jest odpowiedniego materjału wekslowego. Z drugiej jednak strony weksle protestowane w B. P. rosną; w swojem sprawozdaniu za marzec r. b. pisze B. P. na str. 3: „Odsetki weksli protestowanych w B. P. wynosiły 5.99%; jest to wysokość nienotowana w tym miesiącu od czasu istnienia Banku Polskiego".

3) Wreszcie, zwężają się i zmniejszają niemal stale rachunki żyrowe w B. P., a w nich i z nimi rachunki kas skarbowych, t. j. nadwyżki budżetowe skarbowe. Suma ogólna tych rachunków wynosiła w dniu 31.1 1929 z górą 550 miljonów zł., a w dniu 30.4 1930 już tylko ok. 300 miljonów zł. To jest — spadła o 250 miljonów zł. Co to znaczy? B. P. w jednem ze swoich miesięcznych sprawozdań objaśnia to tak: „Spadek pozostałości na prywatnych rachunkach żyrowych uznać trzeba za objaw ujemny, bo rachunki te są rezerwą kasową gospodarstw prywatnych, przedewszystkiem banków". Rachunki kas skarbowych (nadwyżki budżetowe skarbu), mieszczące się w ogólnych sumach rachunków żyrowych, a które wynosiły ok. 350 miljonów zł. w dniu 31.1 1928, spadły w dniu 30.4 1930 do 121 miljonów zł. W ten sposób zmniejszył się i zmniejsza pogotowie kasowe i gospodarstw prywatnych i państwa. O ile chodzi o państwo, to według informacji, udzielonych niedawno jednemu z dzienników przez p. Kierownika min. skarbu, nadwyżki budżetowe wynoszą u nas od r. 1926 do dziś około 600 miljonów zł.; jednak „większość tych zapasów uwięziono w życiu gospodarczem, przedewszystkiem w formie długoterminowego kredytu rolnego, kredytu budowlanego i lokat o charakterze specjalnym", tak, że suma wolnej gotówki, którą skarb dysponuje, wynosi obecnie ok. 140 miljonów zł., z czego w B. P. — jak wspomniałem —

było ulokowanych 121 miljonów zł. Suma nieduża. (Nr. 105 „Ilustr. Kurjera Codziennego“ z dnia 20.4 1930).

Oto odbicie przesilenia gospodarczego w B. P. Ogólne obroty, wyrażone w sumie bilansowej, zapasy walut obcych, dyskonto weksli, obieg biletów bankowych, rachunki żyrowe wogóle, w szczególności pogotowie kasowe Skarbu Państwa — wszystko to wykazuje spadek, zwężenie, coraz to większe. Wszystko jest z sobą oczywiście w związku i wykazuje od pewnego czasu jedną linję, niestety nie w górę.

Pożyczka stabilizacyjna miała wywrzeć w dwóch kierunkach dodatni wpływ na gospodarstwo społeczne Polski: 1) Pro foro externo — miała być kluczem, który miał na oścież Polsce wrota otworzyć dla dopływu zagranicznych kredytów. Tak zapewniano i stąd nazywano ją kluczową. Niestety ten klucz nietylko ich nie otwarł, ale — jak na to wskazuje zaznaczony wyżej odpływ walut z B. P. — zagranica wypowiada nam obecnie od kilku miesięcy „w znacznym stopniu“ kredyty towarowe. 2) Pro foro interno — pożyczka miała nam dać podstawę, wewnątrz kraju, do zwiększenia obiegu biletów bankowych i rozwinięcia szerokiej akcji kredytowej w dziedzinie krótkoterminowego kredytu. Niestety w obu tych kierunkach nastąpiło w ostatnich miesiącach — jak to widzimy z publikacji rachunków B. P. — znaczne skurczenie całej działalności B. P.; zwłaszcza obieg biletów, a przedewszystkiem portfel wekslowy, uległy poważnej redukcji.

Oczywiście, że działalność banku biletowego wogóle, we wszystkich kierunkach, jest, może i musi być refleksem tylko życia gospodarczego danego organizmu gospodarczego w danej chwili; ona jednak, jeżeli tak się można wyrazić, nie ma pierwotnego, samodzielnego charakteru: ona jest taka, jak ją życie gospodarcze w danym okresie czasu formuje. Jest więc zjawiskiem wtórnem — pochodnem. Tam, gdzie życie gospodarcze kurczy się, nie może oczywiście instytucja emisyjna rozszerzać się, iść w górę, gdyż ona tylko chłonie i odbija to, co to życie wytwarza. Instytucja

emisyjna jest bowiem tylko zwierciadłem stanu gospodarstwa narodowego. Najlepiej zorganizowany bank biletowy, najobficiej wyposażony w zapas kruszcu i walut w kraju, w którym linja życia gospodarczego się obniża, musi z konieczności nadążać za nią.

B.

Budżet Państwa.

A. W ostatnich latach mamy — jak wiadomo — budżet zrównoważony. Nadwyżki budżetowe wynosiły wedle sprawozdania generalnegeo preliminarza budżtowego na r. 1930/31:

za r. 1927/28 . . . . 214,6 milj. zł.,
za r. 1928/29 . . . . 168,2 „ „

zaś według publikacji Gł. Urz. Stat. (Wiad. St. z dnia 20.4 1930):

za r. 1929/30 . . . . 59,8 milj. zł.

Nadwyżki w ubiegłem trzechleciu budżetowem są, wykazują jednak tendencję dość znacznego spadku, zwłaszcza w ub. roku,

B. W prasie zazwyczaj jedni zestawiają osiągnięte w poszczególnych miesiącach nadwyżki i uważają to już za wystarczający objaw dodatni położnia skarbowego, natomiast inni porównywują wpływy miesięczne r. b. z wpływami r. u. i skonstatowawszy rzeczywiście w wielu miesiącach ich spadek, ciągną stąd generalne pesymistyczne w tym kierunku wnioski. Ileż takich „djagnoz“ niemal codzień przynosi prasa prorządowa i antyrządowa! Osobiście uważam obydwa poglądy za błędne, albowiem 1) dochody skarbowe są środkiem do celu — a nie celem samym w sobie; 2) w gospodarstwie państwowem dominują wydatki; 3) należy przeto porównać wydatki państwowe pewnego roku z wydatkami roku poprzedniego i tak samo dochody oraz wydatki pewnego roku gospodarczego wziąć w sto-

sunku do wydatków i dochodów roku poprzedniego, względnie lat ubiegłych. Sądzę, że tylko takie porównawcze zestawienia dają pewien pogląd na stan gospodarstwa państwowego, zwłaszcza, jeżeli uzupełni się go cyframi rozwoju (tendencji) wydatków i dochodów z dłuższego okresu. Wtedy obraz będzie już prawie całkowity. Spróbujmy to choć w części zrobić. Z tego założenia wychodząc, musimy skonstatować cztery następujące ważne, budżetowo ujemne fakty:

I. W ostatnich trzech kwartałach (sierpień 1929 — marzec 1930) były w 8 miesiącach wydatki budżetowe większe w porównaniu z wydatkami poprzedniego roku budżetowego o 82,6 miljonów, a tylko w grudniu 1929 były mniejsze o 15 miljonów zł., t. j. wzrost netto wydatków w porównaniu z ubiegłymi 9 miesiącami wynosił w 9 miesiącach r. 1929/30 kwotę 67,6 miljonów zł. Równocześnie natomiast dochody były w tym ostatnim okresie mniejsze o 71 miljonów zł. Wynika z tego, że ogółem pogorszenie bilansu budżetu państwa w okresie 1.8 1929 — 31.3 1930 w stosunku do takiegoż okresu roku poprzedniego wyrażało się w sumie 67,6 plus 71, t. j. 138,6 miljonów zł. Tendencja ta jest naturalnie niedobra — a mogłaby stać się groźną, gdyby nadal trwała. Jeszcze istnieją nadwyżki budżetowe, ale mają, jak widzieliśmy, tendencję spadku. Linja ich staje się zbieżną z linją odpływu walut w B. P.

II. W rozwoju naszego budżetu od chwili stabilizacji waluty można odróżnić dwa okresy:

a) Okres 1924 — 1926, który cechuje umiarkowany wzrost wydatków państwowych (1.539 miljonów zł. — 1.801 miljonów zł. i 1.852 miljonów zł.) i

b) okres następny, od r. 1927/28 do dziś, który cechuje niezwykły wzrost wydatków, zwłaszcza administracyjnych. Rozpoczyna ten okres brzemienny w następstwa rok 1927/28, w którym wydatki, określone budżetem na 1991,2 miljony zł., wzrosły — jak wiadomo — contra

legem do 2.554 miljonów zł. Budżet bowiem wydatków, uchwalony przez ciała ustawodawcze, został przez rząd przekroczony o olbrzymią sumę 563 miljony zł., w tem rzeczywiste wydatki na samą administrację, wynoszące 2.514,2 milj. zł., w porównaniu z budżetem, który je przewidywał w kwocie 1.976 milj. zł., wzrosły wbrew prawu, t. j. wbrew ustawie skarbowej, o 538 miljonów zł. W porównaniu zaś z rokiem 1926, w którym wydatkowano ogółem 1.852 miljony zł., a w tem na cele administracji 1.841,5 miljonów zł., wzrosły wydatki administracyjne w roku 1927/28 jeszcze więcej, prawie o 700 miljonów zł. W jednym roku! (Dokładnie o 673 milj. zł.). I — rosną dalej: bo oto w r. 1928/29 wynosiły wydatki ogółem 2.808 miljonów zł., a w r. 1929/30 już doszły do 2.971 miljonów zł.; wydatki zaś na administrację wynosiły w I wypadku 2.787 miljonów zł., a w II wypadku (1929/30) doszły do 2.939 miljonów zł.

I tak rozsadnikiem zła stał się w historji budżetu Polski w okresie stabilizowanego pieniądza, budżetowo i konstytucyjnie, t. j. ze stanowiska prawno-politycznego, bez żadnej wątpliwości, rok 1927/28.

III. Ślady czy konsekwencje tego faktu nosi na sobie niestety, wlokąc za sobą skutki błędu, popełnionego w r. 1927/28, także i budżet na r. 1930/31. Uważam go w poważnej części za nierealny, co wypadnie mi oczywiście szczegółowo uzasadnić.

Przedewszystkiem — uchwalone na r. 1930/31 wydatki budżetowe w sumie 2.940,9 milj. zł. są mniejsze od rzeczywistych wydatków roku poprzedniego (1929/30), w którym wynosiły 2.971 milj. zł., co wobec stwierdzonej wyżej tendencji stałego ich wzrostu czyni realność tej sumarycznej pozycji wątpliwą. Ale, pomijając tę zasadniczą, ogólną stronę ujemną budżetu 1930/31, uważam exempli gratia w szczególności następujące pozycje budżetu 1930/31 za nierealne:

1) Wydatki na emerytury rzeczywiste wynosiły w roku:

1928/29 — 122,904 tys. zł.
1929/30 — 150,666 tys. zł.

Budżet na rok 1930/31 przewiduje je w wysokości 111 miljonów zł. Ponieważ ilość i kwota emerytur, zwłaszcza wojskowych, znacznie wzrosła w ostatnim roku, uważam, że w tej pozycji budżet jest nierealnym, co najmniej o 50 miljonów zł.

2) Podatek majątkowy, który przyniósł w r. 1928/29 — 48,9 milj. zł., zaś w r. 1929/30 — 39,7 milj. zł., figuruje w budżecie na r. 1930/31 w kwocie 76 milj. zł. Jest to m. z. nierealne przewidywanie wpływu z tego źródła.

3) Przedsiębiorstwa państwowe wniosły do skarbu państwa w r. 1928/29 — 140,8 milj. zł., w r. 1929/30 — 111,1 milj. zł. W budżecie 1930/31 przewidziane są wpływy do skarbu państwa z tego źródła w sumie 180 milj. zł., co z uwagi na tegoroczną konjunkturę gospodarczą także budzić musi poważne zastrzeżenia i wątpliwości.

4) Monopole skarbowe dały w r. 1928/29 netto dochód w sumie 890 milj. zł., w r. następnym 1929/30 już mniej — 886 miljonów zł. Tymczasem budżet na obecny rok przęwiduje je w wyższej znacznie kwocie, mojem zdaniem, z wyżej podanej przyczyny również nieosiągalnej: 956,8 milj. zł.

5) Cła przyniosły w r. 1928/29 — 425 milj. zł., w r. 1929/30 już mniej, t. j. 395 milj. zł. Budżet przewiduje je na r. 1930/31 prawie w takiej samej kwocie — 386 milj. zł. Jest to mojem zdaniem błąd, albowiem od lipca 1930 mamy bilans handlowy czynny, wskutek czego od szeregu miesięcy dochody z ceł są mniejsze w r. b. w porównaniu z rokiem ubiegłym. I tak dochód z ceł wynosił np.:

w grudniu	1928 — 41	milj. zł.,	a w grudniu	1930 — 31	milj. zł.
w styczniu	1929 — 37	„ „	„ „ styczniu	1930 — 26	„ „
w lutym	1929 — 27	„ „	„ „ lutym	1930 — 22	„ „
w marcu	1929 — 32,8	„ „	„ „ marcu	1930 — 31,7	„ „
w kwietniu	1929 — 43,2	„ „	„ „ kwietniu	1930 — 23,7	„ „

Dochód z ceł nie powinien być szablonowo preliminowany, bo to nie jest podatek; tutaj nie można operować przecięciami wpływów miesięcznych czy rocznych, ale należy uwzględnić tendencję kształtowania się bilansu handlowego i to w dłuższym okresie. A tego widocznie nie zrobiono i stąd ta pozycja budżetu podlega krytyce, co uzasadniają zupełnie dostatecznie przytoczone cyfry wpływów.

Nie wchodzę już w realność preliminowania dochodów podatkowych. Powyższe tylko pozycje, które przytoczyłem, razem wzięte, dają w sumie ok. 300 milj. zł., które stanowią mojem zdaniem minimum nierealności budżetu, na r. 1930/31 uchwalonego.

IV. Najbardziej jednak ujemną stroną — najgorszym skutkiem gwałtownej ekspansji wydatków państwowych w r. 1927/28 jest, mojem zdaniem, to, że ona uniemożliwia redukcję ciężaru podatkowego i niezmiernie utrudnia reformę podatków, do czego rząd polski zobowiązał się w umowie o pożyczkę stabilizacyjną w r. 1927. Wobec bowiem tak ogromnego wzrostu wydatków, który zapoczątkowany został w r. 1927, z każdym rokiem trudniejszem staje się zmniejszenie ciężaru podatkowego, pochodzącego w pewnej części jeszcze z ery inflancji pieniądza. I podczas, gdy w wielu innych państwach po stabilizacji pieniądza zredukowano ciężary podatkowe, zreformowano systemy podatkowe, a w niektórych państwach obniżono nawet sumy wydatków budżetowych (Anglja, Czechosłowacja, ostatnio Włochy i Francja) — u nas jest wręcz przeciwnie: po stabilizacji pieniądza — zwiększono u nas wydatki, zwłaszcza administracyjne, do tego w tak jeszcze niepomiernie znacznych rozmiarach, że rebus sic stantibus redukcja ciężaru podatkowego wydaje się dzisiaj ideałem nie do zrealizowania, aczkolwiek życie gospodarcze pod jego obuchem ugina się i, jak zobaczymy w dalszym ciągu, a jak widzieliśmy już częściowo na obrotach B. P., w wielu kierunkach się kurczy.

To jest może najcięższa krzywda, jaką Polsce wyrzą-

dził rok budżetowy 1927/28. I to jedna także z przyczyn, dlaczego zagranica z nieufnością odnosi się obecnie do Polski. Gospodarujemy bowiem inaczej, jak inne państwa [1]).

II.

OGÓLNA CHARAKTERYSTYKA OBECNEGO PRZESILENIA.

I. Polska, od czasu ustabilizowania waluty, przechodzi obecnie drugie z kolei przesilenie gospodarcze. Pierwsze przechodziliśmy w r. 1925/26. Miało ono charakter zgoła odmienny od obecnego: Przesilenie r. 1925/26 było wywołane przedewszystkiem chorobą pieniądza, było w znacznej części niemal nieodzowną konsekwencją nieprzemyślanej pierwszej reformy waluty w r. 1924, przed której wprowadzeniem przestrzegał nas usilnie, niestety bezskutecznie, ówczesny doradca rządu polskiego p. Hilton Young. Złoty, wprowadzony w r. 1924, był tak wielką i ciężką jednostką pieniądza, że słaby organizm gospodarczy nie był w możności niemal fizycznie — jej unieść, tembardziej, że reformę waluty w r. 1924 przeprowadziliśmy własnymi środkami i bez żadnej rezerwy stabilizacyjnej. Była to jak gdyby wyprawa na wojnę—bez rezerw! W ten sposób załamanie się waluty—podobne do pęknięcia wrzodu—było dobrodziejstwem i ulgą dla gospodarstwa społecznego, którego znaczne ożywienie potęgował strajk górników angielskich, podczas gdy wojna celna z Niemcami, wypowiedziana w r. 1925, stworzyła korzystne warunki dla rozwoju wielu gałęzi rodzimego przemysłu; dobre ceny płodów rolniczych wzmagały siłę konsumcyjną ludności rol-

---

[1]) Innemi słowy: ogólna tendencja ustawodawstwa i gospodarki państwowej idzie u nas — w przeciwieństwie do wielu państw zachodnich — wciąż jeszcze w kierunku etatyzacji, socjalizacji i zniszczenia prywatnego stanu posiadania nadmiarem ciężaru świadczeń publicznych. (Przyp. Red.)

nej, a wreszcie nieduże stosunkowo wydatki państwa i nieznaczna ich ekspansja wzrostu (r. 1925 — 1.801 miljonów zł., r. 1926 — 1.852 miljony zł.) nie utrudniały ani kapitalizacji ani wogóle rozwoju gospodarczego — na co z naciskiem zwracam uwagę.

II. Jakże odmienne są cechy obecnie przeżywanego przesilenia, o wiele głębszego i cięższego w porównaniu z przesileniem 1925/26! Obecne przesilenie jest przesileniem nawskroś gospodarczem i to na całej linji: życie gospodarcze stopniowo zanika, maleje, co się w całem tego słowa znaczeniu odbija, jak w lustrze, w obrotach Banku Polskiego.

Najwybitniejszem, charakterystycznem znamieniem obecnego przesilenia gospodarczego jest spadek produkcji w Polsce. Wskaźniki ogólne produkcji przemysłowej, poprawione przez usunięcie wahań sezonowych: 1925 — 1927 = 100, zestawione przez „Instytut badania konjunktur gospodarczych i cen“ za r. 1928 i 1929, pozwalają skonstatować, że stałej prawie tendencji zwyżkowej produkcji r. 1928 (od 123, 3 w stycz. 1928 do 136, 2 w grudniu 1928) odpowiada prawie stała tendencja zniżkowa r. 1929 (od 136,6 w stycz. 1929 do 124, 9 w grud. 1929), która idzie dalej w dół w r. 1930 (styczeń — 116,6, luty — 108,3, marzec — 102,8). Ceny płodów rolniczych mamy niższe, niż na całym świecie i do tego tak zmienne, jak również nigdzie, co jest drugiem nieszczęściem dla naszego rolnika. Wydatki państwa rzeczywiste w r. 1927/28 — jak wiemy — skoczyły z 1.852 miljonów zł. w r. 1926 na 2.554 miljonów zł., a w r. 1928/29 doszły do olbrzymiej sumy 2.808 miljonów zł., t. j. w ciągu 2-lecia wzrosły poprostu o nieprawdopodobną kwotę miljarda! Same daniny państwowe — bez monopolów skarbowych — wzrosły w okresie r. 1926 — 1928/29 z 1 miljarda do 1.737 miljonów zł. Wszystkie niemal państwa obniżają je po reformie walutowej — tylko w Polsce rosną. Za budżetem państwa i wzrostem wydatków maszerują tą samą drogą — tylko

w szybszem jeszcze tempie — wydatki samorządu i ubezpieczeń społecznych; podczas bowiem, gdy wydatki państwa polskiego wzrosły w 5-leciu 1924 — 1928/29 z 1½ do blisko 3 miljardów, t. j. podwoiły się, to wydatki samorządów zdwoiły się już w 4-leciu (250 milj. zł. r. 1924 — 508 milj. zł. r. 1927/28), zaś w 3-leciu, więc jeszcze szybciej, wzrosły w dwójnasób świadczenia na cele ubezpieczeń społecznych (180 miljonów zł. 1924 — 377 milj. zł. 1926, według p. Jastrzębskiego).

Zasobne są u nas dziś w nadwyżki budżetowe państwo i instytucje ubezpieczeń społecznych, gdyż razem przenoszą one obecnie miljard zł.; samorządy rozwijają szeroką akcję inwestycyjną; etatyzm państwowy i samorządowy kwitną. Ubożeje więc coraz bardziej społeczeństwo. Zmniejsza się pole pracy dla ludzi prywatnych, spada nietylko produkcja przemysłowa, ale i kapitalizacja, rolnictwo staje się zawodem nieopłacalnym; rosną góry weksli protestowanych i rośnie bezrobocie. I bilans płatniczy kraju ulega poważnemu pogorszeniu i kursy naszych pożyczek na giełdzie N. Jorku są b. niskie, a już przedewszystkiem wprost nieprawdopodobnie — niesamowicie — lecą w dół na giełdach krajowych kursy akcji krajowych zakładów przemysłowych. Bilans płatniczy mieliśmy czynny w r. 1926. W latach 1927 i 1928 wzrost netto zadłużenia Polski wobec zagranicy oblicza p. Dewey w sprawozdaniu za III kw. 1929 (str. 12) na bardzo wysoką sumę 1.865,4 miljonów zł.; składają się na nią pożyczki prywatne, głównie towarowe, dalej pożyczki państwa i samorządów oraz pożyczki banków i instytucji kredytowych. Bilans handlowy od lipca 1929 mamy wprawdzie czynny, ale mimo to mamy znaczny odpływ walut i dewiz z B. P., o czem była już mowa. Smutna i przykra jest statystyka protestów wekslowych, które w ciągu ubiegłego 1½ roku wykazują stałą tendencję zwyżkową, wskazując na stopniowe zmniejszanie się zdolności płatniczej ludności. I tak zaprotestowano przeciętnie w 1 miesiącu:

w III kwart.	1928 —	235.000	szt. weksli na	48 milj. zł.
„ IV „	1928 —	290.000	„ „ „	71 „ „
„ I „	1929 —	401.000	„ „ „	85 „ „
„ II „	1929 —	468.000	„ „ „	103 „ „
„ III „	1929 —	476.000	„ „ „	108 „ „
„ IV „	1929 —	509.000	„ „ „	122 „ „

Tylko takie cyfry coś mówią; jest to tak wyraźna wymowa, że nie potrzebuje komentarza; wyrywanie i omawianie cyfr protestów wekslowych z jednego miesiąca lub kwartału czy dwóch nie ma mojem zdaniem wartości.

Wkłady w instytucjach kredytowych okazują ostatnio tendencję malejącą. I tak w r. 1927 wzrosły w porównaniu z r. 1926 o 682 miljony zł., w r. 1928 w porównaniu z r. 1927 już o 562,7 miljonów zł., a w r. 1929 w porównaniu z r. 1928 już tylko o niecałe 200 milj. zł. Wobec tego, że wkłady oszczędnościowe mamy minimalne (w Czechosłowacji np. są one 10 razy większe na jednego mieszkańca, aniżeli w Polsce), nic dziwnego, że i stan kredytów u nas jest o wiele mniejszy, aniżeli w innych państwach i, mimo rozrostu zapotrzebowania, o wiele mniejszy, aniżeli był przed wojną (12,7 miljarda zł. przed wojną — 4,9 miljarda zł. w połowie roku 1928. Sprawozdanie p. Dewey'a za IV kw. 1928, str. 30). Wobec spadku wzrostu wkładów zmniejszył się w konsekwencji także przyrost roczny stanu kredytów krótkoterminowych, który w r. 1928 wynosił 763,8 milj. zł. w porów. z r. 1927, ale już tylko 198,4 milj. zł. z końcem r. 1929 w porówn. ze stanem 31.12 1928. I tak w związku z centralnem, podstawowem zjawiskiem, t. j. z kurczeniem się produkcji przemysłowej i nierentownością produkcji rolnej, idzie zmniejszenie przyrostu wkładów bankowych, a tem samem automatyczne kurczenie się przyrostu kredytów, które oczywiście w coraz mniejszej stosunkowo ilości mogą być wobec tego udzielane.

Równocześnie z redukcją produkcji górniczej i przemysłowej nastąpił niezwykły, w ciągu poprzedzającego 5-lecia 1924—1929 tylko w 2 mies., t. j. w lutym i marcu 1926 za-

obserwowany, wysoki stan bezrobocia, dochodzący w marcu 1930 do blisko 300.000 osób. Nie są to bynajmniej wszyscy bezrobotni, ale tylko bezrobotni, zarejestrowani w państwowych urzędach pośrednictwa pracy. Znaczenie tych cyfr wyraża fakt, że w końcu stycznia 1930 było zatrudnionych w górnictwie, hutnictwie, przemyśle i w robotach publicznych około 750.000 osób; ilość więc bezrobotnych — i to tylko zarejestrowanych w państw. urzędach pośr. pr.— wynosiła w marcu 40% ogółu pracujących. Jakże odmienny był obraz w poprzednich latach! W marcu r. 1927 mieliśmy bezrobotnych ok. 200 tysięcy, w marcu r. 1928 — 178 tysięcy, a w marcu roku poprzedniego około 150 tysięcy. Obecnie, w tym roku, mamy ich o 100% więcej, jak w roku zeszłym. Nie tylko mamy ich więcej, ale, jak czytamy w ostatnim zeszycie „Konjunktury gospodarczej“ (Kwiecień. 1930, Nr. 4. Str. 122), zmniejszenie się bezrobocia w r. b. następuje dotąd nader opieszale: przecięcie bowiem spadku w ciągu 3 tygodni w marcu r. b. wynosiło 2½ tysiąca osób tygodniowo, podczas gdy w zeszłym roku liczba bezrobotnych zmniejszała się przeciętnie w tym samym czasie o 4 tysiące na tydzień. Nikły ruch budowlany tegoroczny, o wiele mniejszy od zeszłorocznego, zdaje się być tego przyczyną — w poważnej części. W związku z osłabieniem tętna produkcji przemysłowej i wymiany i ze wzrostem bezrobocia zmniejszają się znacznie, a w ostatnich miesiącach nawet prawie niepokojąco, ładunki kolejowe. Według obliczeń „Konjunktury gospodarczej“, biorąc pod uwagę wskaźniki, poprawione przez usunięcie wahań sezonowych: 1925 — 1927 = 100, otrzymujemy na podstawie protokułów Komisji Międzyministerjalnej dla sprawy przydziału wagonów takie wskaźnikowe cyfry ładunków kolejowych:

VII.	1929	136,4
VIII.	„	136,7
IX.	„	131,1
X.	„	127,9

XI.	„	. . . . .	125,6
XII.	„	. . . . .	121,6
I.	1930	. . . . .	110,3
II.	„	. . . . .	98,8
III.	„	. . . . .	94,2

Dla porównania podaję cyfry z I kwart. 1929 i 1928:

I.	1929	. .	127,5 —	I.	1928	. .	118,7
II.	„	. .	103,1 —	II.	„	. .	121,5
III.	„	. .	117,2 —	III.	„	. .	124,4

Cyfry ładunków I kwartału 1930 w porównaniu z I kwart. 1928 i cały „rozwój“ ładunków od II pół. 1929 przedstawiać się zaczynają niepokojąco.

Pożyczki polskie na giełdzie w N. Yorku notowane są stale najniżej w porównaniu z pożyczkami Belgji, Czechosłowacji, Finlandji, Francji, Jugosławji, Niemiec, Węgier i Włoch (Wiad. st. Gł. Urz. St. z 20.3 1930).

Wprost przykry i niespotykany w innych krajach jest stały spadek kursów akcji naszych krajowych przedsiębiorstw na giełdach krajowych w ostatnim czasie. Jeżeli przyjmiemy r. 1927 równy 100, to wskaźnik ogólny akcji 45 przedsiębiorstw wynosił przeciętnie

	w r.1928	—106,4
w styczniu	1929	— 97,14
w czerwcu	„	— 80,47
w wrześniu	„	— 74,50
w grudniu	„	— 67,58
w styczniu	1930	— 65,68
w lutym	„	— 55,83

Spadła więc w okresie prawie dwuletnim wartość akcji na giełdzie niemal o połowę! I tak maleje majątek narodowy, obniża się impuls akcji założycielskiej i ułatwia nabywanie portfelów akcji przez obce żywioły ze szkodą kraju, o czem prasa donosi od czasu do czasu. Tendencja ta trwa już 2 lata zgórą. I to w epoce stabilizacji pieniądza!

O ile chodzi o nasze wkłady bankowe, uważam za ubolewania godne dwa fakty, skonstatowane przez Bank Polski. I tak w sprawozdaniu B. P. za r. 1929 czytamy, że „ogromny odsetek wkładów w polskich instytucjach kredytowych stanowią wkłady w dolarach“ (str. 16), co zdaje się ujemnie świadczyć o stopniu zaufania ludności kraju do swego pieniądza; powtóre, że już w r. 1927, a więc zanim jeszcze ujawnił się w szerokim zakresie skutek słynnej „Instrukcji dla biur informacyjnych“, wydanej dnia 22 grudnia 1927 (Dz. Urzędowy Min. Skarbu Nr. 4/1928 — Warszawa 1.II 1928) przez ministerstwo skarbu, a zarządzającej rewizje prywatnych wkładów bankowych przez organa administracji skarbowej dla celów wymiaru podatku dochodowego — z górą 100 miljonów zł. oszczędności polskich było ulokowanych w bankach gdańskich (według miesięcznego sprawozdania B. P. p. t. „Położenie gospodarcze Polski w lutym 1928“, str. 2). Czytamy tam także, że portfel Banku Gdańskiego (Bank von Danzig), wypełniony jest mniejwięcej w 80% wekslami, pochodzącymi z obrotów gospodarczych z Polską. „Instrukcja“ wspomniana, polecająca organom skarbowym badanie także stanu dyskonta weksli, inkasa i t. d. prywatnej klijenteli w bankach dla celów podatkowych, w potężnej mierze wypłasza z kraju i wkłady oszczędnościowe i inne operacje bankowe ludności polskiej, która chce uniknąć niesympatycznej inwigilacji swoich interesów bankowych przez władze skarbowe, podczas gdy z drugiej strony, niemal równocześnie z powyższą „Instrukcją“ wydane w dniu 21 listop. 1927 (Nr. 97 dz. ust. R. P.) rozporządzenie ministra skarbu, znosząc nagle, wedle mego głębokiego przekonania o w i e l e z a w c z e ś n i e wobec zdemoralizowania ludności długoletnią inflancją marki polskiej i załamaniem się I waluty z r. 1924, wszelkie dotychczasowe ograniczenia obrotu dewizami i zagr. walutami oraz obrotu pieniężnego z zagranicą — i to natychmiast w dniu ogłoszenia tego rozporządzenia w dz. ustaw — otwarło na oścież drzwi i okna dla wywozu wszelkich walut

zagran. i dewiz z kraju, nawet pochodzących z eksportu. Zdaniem znawców, wielu ludzi tezauryzuje u nas obecnie oszczędności w domu albo lokuje je w obcych instytucjach kredytowych. W sprawozdaniu za wrzesień 1928 pisze B. P., że ta ucieczka wkładów polskich z instytucji bankowych polskich jest faktem, „który trwa i że mimo to, iż banki gdańskie oprocentowują wkłady na 3 % rocznie, wkładcy, dla uniknięcia kontroli skarbowej, lokują je dalej w bankach gdańskich, inni—rezygnują z procentów, przechowują kapitały w domu, względnie unikają banków, prowadzących solidnie księgowość, na korzyść drobnych domów bankowych". I znowu w sprawozdaniu za luty 1929 wraca B. P. do tego przedmiotu, konstatując, że w gdańskich instytucjach finansowych było z końcem r. 1928 wśród wkładów bankowych—47,6% „wkładów zagranicznych—p r z e w a ż n i e p o l s k i c h".

I tak oto sami, z własnej winy, bez potrzeby — ubożejemy w zagr. waluty i wkłady własne bankowe. Wprawdzie reskrypt p. ministra skarbu z dn. 17.IV 1929 L. D. V 5667/1 cofnął powyższe fatalne zarządzenie z r. 1927. Jeżeli się jednak zważy, że 1) rozporządzenie, wydane drogą administracyjną, może być tą drogą każdej chwili uchylone i 2) że i ten także reskrypt z r. 1929 przewiduje, w ostatnim ustępie, możliwość badania przez urzędy skarbowe wkładów bankowych prywatnej klijenteli — łatwo zrozumieć, dlaczego tak poważnie zmniejsza się u nas i to właśnie od r. 1928, roczny przyrost wkładów bankowych. Nic się w dziedzinie gospodarczej nie dzieje bez przyczyny. Czyż to nie my sami, naszemi zarządzeniami, powodujemy to zjawisko?

III. Uspakajają nas niektórzy, że przesilenie gospodarcze, które Polska przeżywa obecnie, jest zjawiskiem ogólno-światowem. Twierdzenie to jest mojem zdaniem tylko w pewnej, niedużej części prawdziwe. Chociaż bowiem w wielu kierunkach zachodzą u nas istotnie pewne ogólno-światowe przyczyny przesilenia, to jednak sądzę, że

prócz tych przyczyn (np. spadek cen wielu surowców przemysłowych i płodów rolniczych), wchodzą u nas w grę i to w przeważającej m. zd. ilości, także pewne przyczyny swoiste, których nie widzimy w innych państwach. I dlatego należy stanowczo wystąpić przeciw takim — w poważnej części błędnym mojem zdaniem i szkodliwym generalnym poglądom [1]). Ograniczę się do wskazania kilku takich swoistości, które w znacznej mierze przesilenie wywołują.

Polska cierpi na brak kapitału; w dzisiejszym kapitalistycznym ustroju gospodarczym jest to brak esencjonalny. Recz ogólnie znana. Co z tego wynika, a raczej winno wyniknąć? Najtroskliwsza opieka nad rozwojem i popieraniem kapitalizacji krajowej z jednej strony, z drugiej zaś takie stosunki z zagranicą, aby sobie zapewnić możliwie wydatny dopływ kapitałów z zagranicy i wytworzyć możliwie najlepsze odnoszenie się zagranicznych kapitalistów, zwłaszcza najważniejszego targu pieniężnego Stanów Zjedn., do Polski.

My tymczasem robimy wszystko — wprost przeciwnie! Francja jest krajem, związanym z nami przyjaźnią i sojuszem; ma w bród pieniędzy i najniższą dziś na świecie stopę oficjalną 2½% w dyskoncie (B. F.), więc najtańszy pieniądz, który pożycza Niemcom, Rumunji, Bułgarji, nawet Grecji, ale nie Polsce; mała Austrja otrzymuje 100 milj. dolarów pożyczki zagranicznej. Rząd polski zaś nie może otrzymać w ostatnich czasach pożyczki zagranicznej, a banki i prywatne zakłady przemysłowe coś, niecoś—naogół mało. Bo do Polski zagranica nie ma zaufania, a kredyt opiera się

---

[1]) Przyp. Red. Ten punkt w twierdzeniach autora uważamy sobie za obowiązek szczególnie podkreślić i zaakcentować. Wielu — nieraz wybitnych ekonomistów i polityków znajduje zbyt wygodną wymówkę dla panującego kryzysu gospodarczego w „konjunkturach światowych" i snuje na tem tle najuczeńsze, zarówno skomplikowane, jak dla ogółu mało przystępne dygresje, które jednak dotąd ani na jeden krok naprzód nie posunęły sprawy. Nie negując bynajmniej znacznego wpływu konjunktur światowych, twierdzimy jednak stanowczo, że wpływ ten byłby bez porównania znośniejszym, gdyby nie potęgował go cały nasz ustrój i nastrój wewnętrzno-krajowy, nawskroś antygospodarczy!

na zaufaniu. Dlaczego brak tego zaufania? Z wielu przyczyn. Stosunki nasze polityczne, a zwłaszcza stosunek władzy ustawodawczej do wykonawczej, zupełnie niezrozumiały dla Zachodu, nie inwitują zagranicznego kapitału do nas, gdyż warunkiem przyjścia jego do pewnego kraju jest, aby w tym kraju panowały ład, poszanowanie prawa, praworządność, a w ustroju demokratyczno-konstytucyjnym ponadto, aby panowały prawidłowe, zgodne z konstytucją, stosunki rządu z parlamentem. Kryzysowi gospodarczemu można przeciwdziałać w ustroju parlamentarnym w znacznej mierze środkami, których zastosowanie wymaga zgodnej woli władzy ustawodawczej i wykonawczej. Obniżka stopy podatkowej, zmiana ustawodawstwa podatkowego o ochronie lokatorów i t. d. nie są do przeprowadzenia tam, gdzie ciała ustawodawcze nie funkcjonują normalnie [1]). Niech każdy, kto objektywnie myśli, logicznemi kategorjami, odpowie mi na proste pytanie: Czy bez przyczyny nasze pożyczki zagraniczne notowane są najniżej na giełdzie N. Yorku? Czy bez przyczyny zagranica, a nawet bliska nam Francja, nie udziela nam kredytów? Czy bez przyczyny wypowiada się u nas w ostatnich miesiącach kredyty towarowe, co powoduje w dużym stopniu odpływ walut z B. P., a co konstatuje wspomniany na wstępie organ Min. Przem. i Handlu? W życiu gospodarczem nic się nie dzieje bez przyczyny. Zagranica mniej interesuje się tem, co mówimy w programach i co piszemy, natomiast o wiele więcej tem, co u nas jest i jak jest. Kapitaliści zagraniczni, to ludzie praktyczni, rzeczowi i rachunkowi. Al-

---

[1]) Słusznie! Ale czy ten nasz parlamentaryzm, demagogiczny, bezkrytycznie sześcioprzymiotnikowy, pozbawiony prawdziwego poczucia państwowego, a oddany przeważnie wymyślaniu i ustalaniu sposobów „legalnego“ obrabowywania jednych warstw obywatelskich na rzecz drugich lub — co gorsza — na rzecz doktrynerskich haseł, jest w stanie uzgodnić się z jakimkolwiek rządem i pozyskać zaufanie zagranicy dla naszej gospodarki? Stanowczo nie. I dlatego opinja publiczna — a w pierwszym rzędzie ekonomiści — powinni wielkim głosem wołać o jak najrychlejszą naprawę konstytucji i ordynacji wyborczej! Przyp. Red.

bo czy także bez przyczyny uciekają wkłady oszczędnościowe z Polski i czy bez przyczyny w kraju „ogromny odsetek wszelkiego rodzaju wkładów w polskich instytucjach stanowią wkłady w dolarach“ (dosł. ustęp Spr. B. P. za r. 1929)? Proszę mi wskazać kraj, w którym po stabilizacji waluty w tak wielkich, masowych rozmiarach podobne zachodzą stosunki!

W St. Zjednoczonych, Anglji, Francji, Czechosłowacji, Szwajcarji i t. d. obywatel, który dużo zarabia i duże płaci podatki, jest powszechnie szanowany; a w Polsce? Czyż bliżej i szerzej potrzeba się u nas nad tym przedmiotem rozwodzić?

Biorę inną dziedzinę. Zagraniczny kapitał idzie tylko do tych krajów, w których własność prywatna i inicjatywa prywatna są w pełni uznane i szanowane. Czy to zachodzi w Polsce? Ustawa o ochronie lokatorów w okresie powojennym — przejściowo była niewątpliwie koniecznością. Ale tylko jako coś tymczasowego. Dlatego w większości państw albo już w zupełności została zniesiona, albo w pozostałych (Niemcy, Francja, Hiszpanja, Grecja) częściowo. A nawet Austrja rozpoczęła już odwrót od socjalistycznego ustawodawstwa o ochronie lokatorów. Poza małą Łotwą jest Polska wśród większych państw jedynym dziś na całym świecie krajem, w którym ochrona lokatorów, w 12 roku po skończeniu wojny światowej, utrzymuje się i to nawet bez żadnej perspektywy zmiany w dalekiej chociażby przyszłości. Mamy dziś w Polsce tę anomalję, że wszyscy czekają na publiczne kredyty na budowę. Od tego zależy w Polsce budownictwo mieszkaniowe. Czyż to nie jest socjalizm? Ponieważ produkcja mieszkań zależy od ich ceny, t. j. komornego, sztuczne obniżanie komornego musi zaostrzać brak mieszkań. Prawa ekonomiczne są silniejsze od pragnień i programów P. P. S. czy B. B. S. i od papierowych programów rządu lub jego intencji. Życie tworzą zawsze tylko czyny, nie słowa. Inny przykład. System płac w państwowej służbie i państwo-

wych przedsiębiorstwach jest tego rodzaju, że dyplomowani inżynierowie — pisała o tem niedawno prasa zawodowa — obejmują posady konduktorów, że ludzie z wyższemi studjami stronią od służby państwowej, nietylko dlatego, że tam jutra są niepewni, ale i dlatego, że ludzie bez wykształcenia są stosunkowo lepiej płatni od tych, którzy ukończyli uniwersytety, politechnikę. Za państwem — idą samorządy. Oto przykład. W lipcu 1927 przeciętny zarobek dzienny stałego niewykwalifikowanego robotnika w gazowni miejskiej m. st. Warszawy wynosił 17 zł. i 98 groszy. Niewykwalifikowanego! To jest płaca starszego sędziego lub nauczyciela gimnazjalnego lub rotmistrza W. P. Proszę mi wskazać podobny przykład uposażenia ukończonego technika czy prawnika, który wstępuje do służby! Kiedyż on dojdzie do takiej płacy? I jak się to wszystko razem wzięte nazywa i jakie to skutki za sobą musi pociągnąć?

Inicjatywa prywatna jest tak w Polsce zasznurowana, tak krępowana najrozmaitszymi przepisami, nakazami i zakazami, że doprawdy zaledwie żyje, a raczej wegetuje.

Państwo nasze, zaciągając pożyczkę na stabilizację waluty w r. 1927, zobowiązuje się w najkrótszym czasie skomercjalizować koleje państwowe. Konsorcjum bowiem amerykańskie, które nam tej pożyczki udzieliło, nie mogło się w żaden sposób zgodzić na to, aby olbrzymie — największe przedsiębiorstwo w Polsce, o bezmiernej doniosłości dla całego życia gospodarczego, miało być prowadzone przez biurokratów — w sposób biurokratyczny Mija jednak już trzeci rok z rzędu, jak podpisaliśmy powyższe zobowiązanie, które było jednym z warunków udzielenia nam pożyczki stabilizacyjnej — o komercjalizacji jednak kolei nie słychać. Tak samo — jak i o reformie systemu podatków (bezpośrednich), do której przeprowadzenia również w r. 1927 zobowiązaliśmy się. Czy to wszystko nie stoi w ścisłym związku z niskim kursem naszych pożyczek na giełdzie nowoyorskiej, czy to wszystko wzmacnia nasz kre-

dyt zagraniczny, czy go ułatwia? Ingerencja władz państwowych we wszystkie przejawy życia prywatno-społecznego sięga w Polsce z biegiem czasu coraz dalej, głębiej i bezwzględniej, przedłużając w ten sposób duchowo ingerencję, której zawdzięcza Polska niezwykły poczet przedsiębiorstw państwowych, m. in. niedawno założoną państwową przetwórnię mięsną w Dębicy, budzącą — zdumienie u Amerykanów, zwiedzających Polskę, oraz niezwykle liczną rodzinę przedsiębiorstw monopolowo-skarbowych. Nawet i Kasy Chorych w Polsce, zamiast zająć się lecznictwem, chcą podobno zająć się wytwarzaniem specyfików i w ten sposób konkurować z prywatnym przemysłem farmaceutycznym! Nic dziwnego, że za tym arcywzorem z góry idzie dół — idą samorządy, z miastem Warszawą, stolicą państwa, na czele: miała ona przed wojną zaledwie pięć — dziś z dumą patrzy na swoich piętnaście — powtarzam piętnaście — przedsiębiorstw miejskich. Jakże one „prosperują"? Kto ciekawy, niech szuka informacji w sprawozdaniach budżetowych członków Rady stoł. miasta, drukowanych przez Magistrat i każdemu dostępnych. Dowie się stamtąd, jak one — prosperują, np. lombard miejski, m. zakłady zaop., piekarnia, gazownia, cegielnia, teatry i t. p.

Widziałem niedawno grupę obcokrajowców, którzy zwiedzali Warszawę. Trzeba było widzieć ich osłupienie, gdy spoglądali na szyldy kilkudziesięciu sklepów miejskich z herbem miasta, w których funkcjonarjusze miasta — na rachunek miasta sprzedają sardynki, śledzie, liście laurowe i t. d. Takich widowisk wszakże niema na całym świecie, aby państwo kupowało i biło wieprze i handlowało mięsem (Dębica) — a miasto śledziami, serem i krupkami i musztardą! Czy nasi szanowni etatyści nie zdają sobie z tego sprawy, jak oni Polskę przed całym światem ośmieszają i szkodzą kredytowi — opinji Polski?

Powstał ten etatyzm już od początku powstania odrodzonej Polski, to prawda, ale rozrósł się i rozkwitł bujnie w ostatnich latach — mimo znanej broszury p. A. Krzyża-

nowskiego i znanych konferencji u ks. J. Radziwiłła — w sposób szczególnie silny. Rozlał się obfitą strugą po całym obszarze państwa, wcisnął się w szczeliny życia gospodarczego i podcina korzenie prywatnej działalności i pracy gospodarczej — na nieszczęście kraju.

Bez traktatów handlowych z dwoma potężnymi sąsiadami od wschodu i zachodu, zniszczeni kapitałowo w wojnie i po wojnie, w znacznej mierze przez pierwszą nieszczęsną reformę walutową, obarczeni ponad siłę nadmiernymi ciężarami nietylko podatkowymi, ale i społecznymi, które uniemożliwiają prywatnym gospodarstwom tworzenie rezerw, a którym wydziwić się nie mógł prof. W. Kemmerer, który też słusznie mówi w swem sprawozdaniu, że system ubezpieczeń społecznych w Polsce „nie jest dostosowany do wytrzymałości kraju“ (ob. doskonały artykuł p. Wł. Kozłowskiego w „Przeglądzie ubezpieczeniowym“ zeszyt 1/1930 p. t. „Etatyzm w ubezpieczeniach“), a jest „tak ambitnym, że grozi zagładą swego ostatecznego celu, ograniczając rozwój i ruchliwość gospodarczą“ (str. 92 pol. przekładu tom 1), wobec postępującej pauperyzacji ludności i dekapitalizacji produkcji, a zarazem jej w znacznej mierze ekspatrjacji — wskutek zaznaczonych wyżej kursów naszych akcji przemysłowych, nie ciesząc się zaufaniem zagranicy, której rad (Hilton Young, W. Kemmerer) nie słuchamy i wobec której zobowiązań prawnych nie dotrzymujemy (umowa o pożyczce stabil.) — jesteśmy dziś dziwnym zaiste krajem, jeżeli się nie mylę, jedynym na świecie, w którym powiązanie elementów socjalistycznych z organizacją kapitalistyczną, a ustroju parlamentarnego de jure z quasi dyktaturą de facto, daje w rezultacie coś oryginalnego — niezwykłego, nigdzie nie istniejącego. Nasz obecny ustrój gospodarczy, tworzony już od czasu powstania państwa polskiego, ale potęgowany znacznie w ostatnim czasie, jest w swojej istocie czemś pośredniem między kapitalizmem i socjalizmem, co powoduje wieczną szarpaninę i brak jakichś jasnych, zrozumiałych wytycznych dla kalkulacji,

a nawet dla całego życia gospodarczego. Tego nigdzie gdzieindziej niema — dlatego u nas życie gospodarcze jest trudniejsze, zawilsze i o wiele cięższe, aniżeli np. we Francji, Czechosłowacji, Italji, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych lub Anglji. Wplątaliśmy całą naszą gospodarkę w jakąś sieć tysięcznych nakazów i zakazów, częstokroć z sobą sprzecznych, niewykonalnych lub nieżyciowych, bardzo często zmienianych. Czyż na takiem podłożu jest do pomyślenia normalne życie gospodarcze i prosta, jasna linja administracji państwowej? Tembardziej, że szereg naczelnych posterunków gospodarczych w administracji, instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych, powierzono jednostkom notorycznie bez rzeczowych kwalifikacji, t. zw. inteligentnym. Ponadto w okresie 1927/28 niepomiernie znaczny, jak wiemy, nagły — wprost olbrzymi wzrost wydatków administracyjnych spowodował, prócz notorycznego przerostu etatyzmu, 1) niepotrzebną, a nawet szkodliwą rozbudowę administracji, w której szereg stanowisk — średnich i nawet niższych — poobsadzano także nie pod kątem fachowości, ale pod innym zgoła kątem, a nadto 2) nieoszczędność w gospodarce państwowej.

Oto garść uwag o ważniejszych naszych, rodzimych przyczynach obecnego przesilenia gospodarczego, które też tylko w części, mojem zdaniem, jest wynikiem ogólno-światowych stosunków, przeważnie jednak, według mego głębokiego przekonania, wynikiem naszych błędnych ustaw, urządzeń i zarządzeń.

IV. Nie jestem już dzisiaj czynnym politykiem, odsunąłem się od życia politycznego i dlatego wydaje mi się, że mogę mieć zupełnie objektywny obecnie pogląd, nie związany z poglądem jakiegoś stronnictwa, na stosunki gospodarcze, które z zamiłowaniem zawsze śledzę i bieg ich obserwuję. Dodać mi jeszczej należy, że przy ich ocenie zapominamy zazwyczaj o jednej, arcyważnej rzeczy: błędne usta-

wy, jednostronne, tak samo jak i ujemne zarządzenia gospodarcze, im dłużej trwają, zapuszczają z biegiem czasu coraz głębsze korzenie, wzrastają w glebę życia gospodarczego i w dusze ludzkie coraz głębiej, przyczyniając stopniowo społeczeństwu coraz większe szkody. I wyplenienie zła z biegiem czasu staje się wskutek tego coraz trudniejsze.

Oto jeden z wielu przykładów. Włościanie zostali zwolnieni w Polsce od podatku od budynków na wsi, czego niema w żadnem innem państwie. Są w olbrzymiej ilości zwolnieni od podatku dochodowego, a w podatku gruntowym otrzymali tak wielkie ulgi, że go prawie nie płacą. Czy to nie wstyd, że płacili podatki zaborcom — a nie płacą i nie chcą płacić swojej Odrodzonej Ojczyźnie?! A gdy przed dwoma laty rząd wniósł w tej sprawie projekty ustaw do sejmu, wszyscy włościanie z wszystkich klubów mieli podobno głosować już w pierwszem czytaniu przeciw tym przedłożeniom, które nawet do komisji wskutek tego nie zostały odesłane i padły w pierwszem czytaniu! Oni uważają, że to ich „dobre już prawo nabyte“. Zaiste — niechlubna to karta w historji polskiego parlamentu! To samo odnieść-by można zapewne i do ewentualnych projektów zmiany obecnego ustawodawstwa o ubezpieczeniach społecznych. Tu już jest jednak niewątpliwie wina rządu, który na podstawie ustawy o pełnomocnictwach z dnia 2 sierpnia 1926 r. otrzymał od ciał ustawodawczych upoważnienie, między innemi, także „do uporządkowania świadczeń społecznych“ i mógł, zgodnie z zaleceniem Komisji zagranicznych znawców z prof. W. Kemmererem na czele, „uporządkować“ gospodarczo tę dziedzinę przez dostosowanie ciężarów, stąd wynikających, do „wytrzymałości“ gospodarstw, obciążonych świadczeniami publicznemi, a jednak nietylko zaniedbał tego uczynić, ale nawet wprowadził nowe ubezpieczenia i nowe świadczenia w tej dziedzinie.

III.

CO NALEŻY UCZYNIĆ, ABY ŻYCIE GOSPODARCZE WPROWADZIĆ NA NORMALNE TORY?

Polska odrodzona była już w niedługich tych latach swego istnienia tylekroć w różnych trudnych sytuacjach i wybrnęła z nich naogół szczęśliwie. Ażeby i teraz powiodło się nam obecne, coprawda głębokie i skomplikowane, bo strukturalne i konjunkturalne przesilenie gospodarcze opanować, pierwszym tego warunkiem jest, mojem zdaniem, prawdziwy i jasny pogląd na jego przyczyny. Zamiarem moim było przedstawić je w zarysie, objektywnie, sine ira et studio i bez przesady w żadnym kierunku. Mniemam, że jeden moment ułatwia nam w znacznym stopniu przedsięwzięcie środków zaradczych, to jest fakt, że przeważna część przyczyn naszego przesilenia nie ma, według mojego zdania, charakteru ogólno-światowego, lecz tkwi w nas samych, u nas: w naszych błędnych ustawach, instytucjach i w zarządzeniach naszych władz. Starałem się to wykazać i uzasadnić w drugiej części artykułu.

Co więc należałoby uczynić, aby życie gospodarcze wprowadzić na normalne tory?

Problem ten jest tak świetnie i wszechstronnie po ostatniej wojnie światowej w praktyce państw zbadany i wypróbowany, że o żadnych wynalazkach, o żadnych cudownych środkach nie może być mowy. Muszą to być wskazania stare — jasne, proste, dla każdego zrozumiałe, niewątpliwe, powiedziałbym — bezsporne.

Z a ł o ż e n i e m a k c j i n a p r a w y życia gospodarczego musi być przedewszystkiem wzgląd na podniesienie wytwórczości krajowej, na z a p e w n i e n i e j e j r e n t o w n o ś c i. Uważam to za centralny punkt i za podstawowe zjawisko pierwotne, z którego zlekceważenia wynika

cały łańcuch ujemnych, pochodnych zjawisk, jako to bezrobocia, protestu weksli, odpływu walut z B. P., kurczenia się obiegu biletów bankowych, spadku naładunków kolejowych i t. d. Jeżeli się wyjdzie z innego założenia, od końca i zacznie np. walkę z bezrobociem w pierwszej linji i t. d., to cel będzie — bo być musi — chybiony. Ażeby zaś produkcja była rentowną, musimy przedewszystkiem zmienić nasz obecny system podatków bezpośrednich, t. j. zredukować conajmniej o połowę obecną wysokość podatku obrotowego i uchylić — zgodnie z projektem p. ministra Czechowicza — progresję podatku gruntowego, przy równoczesnem podciągnięciu do opodatkowania tych wszystkich, szerokich warstw ludności, które na całym świecie płacą podatki i płaciły je dawniej zaborcom, a tylko Polsce — swojemu państwu — płacić ich nie chcą. Obecne ciężary podatkowe są tak nieznośne dla obłożonej nimi nielicznej warstwy ludności, że jeżeli ustawa ich nie zniesie, to uchyli je niezadługo samo życie, bo ludzie nie będą w stanie przez czas dłuższy płacić podatków w dotychczasowej wysokości.

Niech mi nikt nie powie na to, że w takim razie — to wszystko jedno. Tak nie jest, albowiem jeżeli życie łamać zacznie nieżyciowe ustawy, wtedy połamie się i zniszczy wiele gospodarstw i jednostek wytwórczych, z wielką szkodą dla nich i kraju, no i skarbu. I dodam jeszcze, że wielką prawdę, głęboką, stwierdzoną wielokrotnie wszędzie — także i w Polsce — zawierają znane słowa H. Younga, iż wysokie stawki podatkowe powodują zawsze małe wpływy dla skarbu państwa. Niskie bowiem stawki przez to właśnie, że są niskie, pobudzają życie gospodarcze, które wtedy rozwija się, co znowu powoduje zwiększenie wpływów skarbowych. Przypomnę tutaj walkę, jaką staczałem w poprzednim Sejmie i w Komisji Skarbowej o obniżenie stawek podatku dochodowego (nowela z r. 1925), a potem opłat stemplowych. Wynik obniżek okazał się z miejsca korzystnym — dla Skarbu państwa, bo wpływy się natychmiast zwiększyły. Tak samo musimy bezwzględnie przystąpić do redukcji

ciężarów społecznych. Mam wrażenie, że w opinji publicznej ta sprawa także już dojrzała [1]).

W ostatnich czasach do znanych powszechnie, a wyżej zaznaczonych powodów obniżki ciężarów podatkowych i społecznych — dołącza się jeden nowy powód, pierwszorzędnego znaczenia — o charakterze światowym. Znany angielski ekonomista John Maynard Keynes w jednym z dużych artykułów, drukowanym w angiel. prasie („London General Press“) w pocz. maja r. b., wywodzi, że szeroki ogół nie zdaje sobie jeszcze dokładnie sprawy z faktu, iż świat cały przeżywa obecnie okres „bardzo ciężkiego międzynarodowego spadku cen, który, jego zdaniem, historja zaliczy kiedyś do najgwałtowniejszych“. Wywody swoje popiera autor przykładami z życia. Do nas — do Polski, dochodzić już zaczynają odgłosy tego zjawiska. Jeżeliby istotnie tak było, wtedy nasze ciężary publiczne, jakie dziś leżą na naszej produkcji, zwłaszcza przemysłowej, uczyniłyby z czasem z nas jakąś wyspę, chronioną coraz wyższym, aż do absurdu, murem protekcji celnej.

Tak samo nasz najkrótszy w świecie czas pracy w przemyśle i handlu, per nefas rozszerzony na szpitale, na strażników, dozorców różnej kategorji i t. d., musi również ulec zmianie i zostać dostosowanym do miary innych państw, jeżeli naprawdę chcemy trwałego polepszenia stosunków gospodarczych i żyć w orbicie gospodarstwa światowego.

To jednak jeszcze nie wystarczy. Musimy równolegle z tem umożliwić kapitalizację w kraju, musimy położyć tamę emigracji naszych skromnych wkładów oszczędnościowych za granicę, p r z e z w y d a n i e u s t a w y, gwa-

---

[1]) P. Wł. Kozłowski w cyt. pracy p. t. „Etatyzm w ubezpieczeniach“ (Przegląd ubezpieczeniowy, zeszyt 1 ex 1930), podaje na str. 16 porównawcze obliczenie obciążenia podatkowego i społecznego w Polsce. Okazuje się, że wynosi ono 17 zł. w bezp. podatkach, a około 12 zł. wynsi koszt ubezp. społecznych na mieszkańca, t. j. obciążenie z tytułu ubezp. społ. dosięga u nas już 71% obciążenia podatkami bezpośrednimi, a 21% obciążenia z tytułu państwowych podatków, monopolów i opłat. Koszty rzeczywiste — w całości — administracji Kas Chorych oblicza autor na 14% ogółu ich wydatków.

rantującej tajemnicę dla wszystkich operacji bankowych i zamykającej drzwi organom skarbowym do rewizji tych operacji. Opłaci się to stokrotnie — jestem o tem najgłębiej przekonany. A to tak łatwo przecież zrobić!

Zapewnienie opłacalności rolnictwu, zwłaszcza hodowli zbóż, jest w dzisiejszej konjunkturze świata szczególnie trudne. W ostatnim czasie mechanizacja techniki rolnej w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Argentynie, dokonała w ciągu osatnich ośmiu lat prawdziwej rewolucji i spowodowała, jak czytamy w „Manchester, Guardian" z dn. 25 marca r. b., strukturalną przebudowę rolnictwa tych krajów. Produkcja zbożowa wzmogła się tam wskutek zastosowania na olbrzymią skalę traktoryzacji w sposób zupełnie nieprawdopodobny, wywołując olbrzymie zmniejszenie liczby robotniko-godzin w stosunku do powierzchni żniwnej, a w znacznej mierze i z tego jeszcze powodu, ponieważ, dzięki zastosowaniu maszyn w rolnictwie, możliwą stała się uprawa ziemi w tych okręgach, które dotychczas dla produkcji zbożowej były uważane za nieodpowiednie. Wskutek tego w okresie 1913 — 1929 obszar uprawy pszenicy zwiększył się w Kanadzie o 120% (4,5 do 10 miljonów hektarów), w Stanach Zjednoczonych z 22 do 28 miljonów hektarów, a w Argentynie wzrósł w tym czasie obszar uprawy zbóż z 6,2 do 8,5 miljonów ha. Z drugiej strony zapotrzebowanie zboża po wojnie w bardzo wielu krajach zmniejszyło się z powodu zmiany, zaszłej w sposobie odżywiania się ludności, gdyż rozpowszechnienie znajomości znaczenia witamin powoduje zastąpienie chleba jarzynami, owocami i mlekiem. Ważną rolę odgrywa tutaj także wprowadzenie 8-godzinnego dnia pracy, co wpłynęło w centrach przemysłowych wielu krajów na zmianę dawnego sposobu odżywiania mas robotniczych, którym zarządy wielu przedsiębiorstw dostarczają obecnie w jadłodajniach fabrycznych ciepłych obiadów, podczas gdy dawniej żywiły się one przeważnie chlebem. To też np. w Anglji i Niemczech spożycie mąki na głowę ludności spadło po wojnie, jak tam szacują,

o około 10%, a w St. Zjednoczonych nawet o 12 — 15% w porównaniu do stanu przedwojennego.

Jeżeli się do tego doda, że zapasy zbóż z roku na rok we wszystkich wielkich państwach, eksportujących zboże, ostatnio ciągle rosną (znawcy szacują zapasy niesprzedanego zboża, t. j. pozostałych zapasów, w tych krajach na dzień 1 sierpnia 1929 na 10,1 miljonów ton, wobec 6,2 miljonów ton, względnie 3,7 milj. ton, względnie 3,8 milj. ton, w trzech bezpośrednio poprzedzających latach) [1]) i to z dwóch głównie przyczyn: najpierw dlatego, że ekstensywnie uprawiane obszary w krajach zamorskich zostały po wojnie znacznie powiększone, a powtóre dlatego, że wydajność plonu z hektara po wojnie w wielu krajach europejskich i pozaeuropejskich, które prowadzą gospodarkę rolną intensywną, w porównaniu do okresu przedwojennego wzrosła — to nie trudno zrozumieć, że przyszłość naszego rolnictwa, które w dużej części kraju znajduje się na niskim poziomie, bez wydatnej pomocy ochrony celnej nie przedstawiałaby się korzystnie ani dla rolników samych, ani dla przemysłu, którego wytworów najważniejszym i najliczniejszym konsumentem w takim kraju, jak Polska, przeważnie rolniczym — jest rolnik.

Nakreślony wyżej w szkicu stan produkcji rolnej w świecie wymagać musi bardzo szczegółowo opracowanego programu natychmiastowej pomocy dla krajowego rolnictwa, które w Polsce jest największą i najważniejszą gałęzią produkcji i podstawą stanu gospodarczego całego kraju.

Następnie, jako ostatni w szeregu, musimy i my raz wreszcie przystąpić energicznie i szczerze do stopniowej likwidacji ustawowej ochrony lokatorów. Domów mieszkalnych nie możemy ciągle budować z publicznych tylko kredytów, które i tak już stopniowo w ostatnich latach się zmniejszają.

W ciągu ostatnich 6 lat wydaliśmy z tego źródła na ten

---

[1]) Ob.: „Die wirtschaftlichen Kräfte der Welt". Wydawnictwo Dresdner Bank, 1930, str. 17.

cel 341,9 miljon. zł., podczas gdy powinniśmy byli wydać, aby nadążyć za potrzebami mieszkaniowemi, 700 miljonów rocznie. Budujemy przeciętnie 18 tys. izb rocznie — a powiniśmy budować 120 tysięcy izb rocznie. Ale cóż! Budownictwo mieszkań w Polsce zostało z powodu naszego ustawodawstwa i naszych zarządzeń zetatyzowane. Jest na etacie Banku Gospodarstwa Krajowego! A wynik jest taki, że przy obecnych warunkach budownictwa przeciętny czynsz za jedną izbę wynosi 120 zł. miesięcznie. Pytam się ludzi myślących, którym ten kraj jest drogi: Dokąd Polska, tą drogą idąc, zajdzie? W Warszawie, przy ostatnich wyborach do Rady miejskiej, co czwarty głos, dany do urny — to był głos komunisty. Głosy unieważniono — ale ten stan rzeczy trwa i rozrasta się, bo człowiek, nie mogący zdobyć dachu nad głową, jest podatnym materjałem dla agitacji komunistycznej. I pytam się: dlaczego my, mając w około nas żywe, wypróbowane przykłady stopniowej likwidacji ustawowej ochrony lokatorów, wszędzie z doskonałym rezultatem, dlaczego my sami jedni, jedyni, ślepi jesteśmy na skutki, wynikające z petryfikacji takiej przejściowej instytucji, jaką jest z natury swojej ustawa o ochronie lokatorów? Ciągle tylko odbywamy konferencje i narady nad tą sprawą, jak i nad reformą podatkową! Ostatni czas, aby i w tej dziedzinie pójść za wzorem innych państw i zerwać z przymusową gospodarką i wywłaszczeniem z mienia właścicieli domów mieszkalnych, na czem żerują i tuczą się sublokatorowie i z czego z krzywdą ludzką korzystają — czy wiecznie? — lokatorowie! A dalej, w gospodarstwie państwowem musi wygnana z niego oszczędność, będąca dziś na emigracji, powrócić z wygnania. Bez niej — daleko nie zajdziemy. Wszak to jest najważniejszy czynnik w każdej gospodarce. Jemu zawdzięczamy w r. 1926 równowagę budżetu.

Czytamy w prasie, że p. kierownik ministerstwa skarbu „komprymuje“ wydatki budżetowe, że poszczególnym re-

sortom zakreśla w miesięcznych budżetach ciaśniejsze ramy od tych, które przewiduje budżet. Poczytuję mu to za zasługę. Jeżeli jednak sam rząd doszedł widocznie już do przekonania, że uchwalony budżet na r. 1930/1931 jest w pewnej części niewykonalny, byłoby, mojem zdaniem, bardziej może celowem i zrobiłoby zagranicą doskonałe wrażenie, gdyby rząd wystąpił do ciał ustawodawczych z projektem generalnej czy globalnej zniżki wszystkich wydatków publicznych — państwa i samorządu — na r. 1930/31 np. o 15, 20 czy 25%. W ten sposób uniknięto by długich i ciężkich sporów o indywidualne redukcje pozycji budżetowych poszczególnych resortów i wprowadzono uspokojenie umysłów, coby na psychikę ludności oddziałało, w obecnej zwłaszcza sytuacji, dodatnio. Powtarzam — budżet tak czy tak będzie w dużej części niewykonany; starałem się wyżej uzasadnić, że wogóle jest nierealny w znacznym stopniu. To, co obecnie tu proponuję, byłoby właściwie więc aktem raczej formalnym, ale miałoby szereg dodatnich konsekwencji i przez całą ludność byłoby przyjęte z zadowoleniem i ulgą.

Następnie, celem polepszenia pozycji polskiej zagranicą, należałoby raz wreszcie poważnie przystąpić do wykonania zobowiązań, wynikających z umowy o pożyczkę stabilizacyjną. Uważam, że niedopełnienie ich dotychczas z naszej strony w znacznym stopniu jest powodem, że zagraniczny kapitał stroni od Polski. Niewątpliwie najważniejsza i najtrudniejsza do usunięcia przyczyna tego ubolewania godnego faktu tkwi jednak w naszym stosunku swoistym władzy wykonawczej do ustawodawczej. Chociaż to temat nader drażliwy, muszę, zgodnie z zasadniczem mojem założeniem, wyrazić pogląd, że jeżeliby obecnie istniejący stan rzeczy dalej trwał, wątpię osobiście, czy na dopływ poważniejszych kredytów pod dogodnymi warunkami moglibyśmy liczyć. Czytelnicy, którzy czytają zagraniczne (kierujące) dzienniki, ale nie w streszczeniach P. A. T., przyznają mi, że moje domniemanie jest uzasadnione.

A wreszcie, zostaje jeszcze jeden nader trudny, ale konieczny zabieg operacyjny. Usunięcie etatyzmu. To nieszczęsne drzewo tak bujnie rozrosło się w Polsce wgłąb, wzwyż i wszerz, że może chyba drogą jakiejś specjalnej ankiety, złożonej z niewielu niezależnych znawców, publicznie drukiem ogłoszonej, na wzór słynnej ankiety angielskiej Komisji Geddesa, opracowanoby wraz z zamknięciami rachunkowemi stan rzeczywistej gospodarki i finansowych rzeczywistych wyników jawnych i niejawnych, t. j. w budżetach nie figurujących, przedsiębiorstw, zakładów, instytucji państwowych, np. Kas Chorych i t. p., ażeby drogą publicznej dyskusji spowodować następnie pożądane zmiany „na tym odcinku", jak to się od pewnego czasu mówi dziś w Polsce.

Do tej jednej, czysto sprawozdawczej funkcji tej ankiety dołączoną być winna druga, również czysto tylko sprawozdawcza jej funkcja: spis głównych kierowników i wyższych urzędników względnie prokurentów w powyższych zakładach, przedsiębiorstwach i instytucjach państwowych, tudzież we władzach centralnych i wojewódzkich (izbach skarbowych, dyrekcjach ceł i t. p., wogóle II instancji), z dokładnem podaniem ich studjów i *fachowego — teoretycznego i praktycznego — wykształcenia*, oraz wszystkich poborów, bezpośrednio i pośrednio z ich głównem stanowiskiem związanych. Może tą drogą udałoby się choć w części uwolnić Polskę od roju dyletantów, którzy zajmują stanowiska nawet kierujące w administracji i przedsiębiorstwach państwowych — wiadomo z jakim wynikiem.

To wszystko, co tu proponuję, to są rzeczy nie nowe, proste, dobrze znane, przeważnie w innych państwach wypróbowane, tak, że prawie aż banalne. Ale, według najgłębszego mego przekonania, tylko takie środki mogą istotnie i trwale uzdrowić nasze położenie gospodarcze. W Polsce obecnie potrzeba nietylko usunąć — zlikwidować przesilenie gospodarcze, ale przedewszystkiem z korzeniami wyrwać wiele złego ziela, które im dłużej w glebę naszą

wrastać będzie, tem trudniejsze będzie z biegiem czasu do wyrwania. Za rok będzie trudniej, aniżeli dziś, za dwa lata jeszcze trudniej. Albowiem wszystkie najważniejsze zjawiska w gospodarstwie społecznem Polski, t. j. w gospodarstwie publicznem, jak i prywatnem, wskazują w swym rozwoju i to od dłuższego czasu, linję, biegnącą w jednym stale kierunku: więc i obrót B. P., włącznie z odpływem walut, zmniejszenie obiegu biletów bankowych, portfelu wekslowego, rachunków żyrowych i t. d. i zmniejszejące się nadwyżki budżetu państwa przy wzroście wydatków, a spadku dochodów i rozpętanie etatyzmu w gospodarce państwowej i komunalnej, przeniesienie w stan spoczynku zasady oszczęd ności grosza publicznego, spadek produkcji przemysłowej, zanik ruchu budowlanego, wzrost bezrobocia, niepokojący spadek naładunków kolejowych i spadek przyrostu wkładów bankowych wzgl. oszczędnościowych i emigracja polskich wkładów oszczędnościowych z kraju, nieopłacalność produkcji rolnej i niezabezpieczenie jej przed konkurencją zagraniczną i brak zaufania zagranicą do Polski i spadek kursów akcji, wzrost protestów wekslowych i ogromnie szybki wzrost wydatków w gospodarstwach publicznych wszelkiej kategorji i zbyt wielkie ciężary podatkowe i społeczne — to wszystko, wyżej szczegółowo opisane i przedstawione w s w y m r o z w o j u n a p o d s t a w i e ś c i s ł y c h d a n y c h u r z ę d o w y c h. Wszystko to razem wzięte, tak, jak te wszystkie i inne zjawiska, życie łączy razem i niesie na fali codziennych trosk i kłopotów i zmagań z losem, w swojej syntezie i w swojej dynamice, ostrzega nas, że należy z tej drogi zawrócić; jeszcze jest czas do naprawy zła, ale ten czas codzień staje się krótszy, ponieważ te wszystkie zjawiska nie stoją w miejscu, ale idą — a w jakim idą kierunku, o tem nas pouczają cyfry urzędowej statystyki, które przytoczyłem. Wymowy tych faktów niepodobna nie zrozumieć i jeżeli nie należy tych objawów przeceniać i krzyczeć: „Idziemy ku katastrofie!“ — to bagatelizowanie ich, niewyciąganie z nich nauki i wskazań byłoby

wprost karygodną lekkomyślnością, której następstwa mogłyby być fatalne. Jeżeli bowiem mamy ok. 60% pokrycia kruszcem i dewizami obiegu pieniądza i natychmiast płatnych zobowiązań B. P., a w sumie ponad 1 miljard zł. i ponad 600 miljonów zł. nadwyżek budżetowych i budżet zrównoważony, to nie wolno twierdzić, że idziemy ku katastrofie, bo to nieprawda i to państwu szkodzi. Jest więc jeszcze dostateczny czas do naprawy, ale powtarzam: ten czas z każdym dniem, jak o tem nam mówią przytoczone cyfry dynamiki tych zjawisk, staje się krótszy.

Poprawa stosunków gospodarczych nie spadnie nam z nieba. Kto na to liczy, dozna z pewnością zawodu. Musimy i możemy sami wypracować tę poprawę i wyrwać kraj z ciężkiego, strukturalnego, a nietylko konjunkturalnego kryzysu. Ci, którzy myślą, że nam obecnie potrzebny jest tylko kredyt zagraniczny, są w błędzie. *Jeżeli podstaw naszych stosunków gospodarczych i politycznych nie zreformujemy, to zagraniczna pożyczka* — pomijając jej prawdopodobnie bardzo ciężkie warunki — *będzie miała skutek podobny do zastrzyku narkotyku: pomoże na krótki czas, a gdy narkotyk działać przestanie, wtedy choroba ujawni się w ostrzejszej jeszcze, aniżeli obecnie, postaci.*

Pisał niedawno szwajcarski „Der Bund“ z dn. 9 maja r. b., organ poważny, że państwo może albo gospodarstwo zabić, albo też może je hamować, albo wreszcie może kierować gospodarstwem „jeżeli uprawia zdrową politykę gospodarczą“. Co ma miejsce obecnie w Polsce, a co powinnoby mieć miejsce w interesie państwa i ludności, odpowiedź na to, niezbyt trudne i zawiłe pytanie, pozostawiam już czytelnikowi.

Jerzy Michalski

POLSKA A NIEMCY.

Artykuł ks. Janusza Radziwiłła, umieszczony pod powyższym tytułem w styczniowym numerze „Europäische Revue“, zaczyna się od stwierdzenia, że „jak każde zagadnienie międzynarodowe, może nawet więcej, niż którekolwiek inne, wymaga zagadnienie przyszłego układu stosunków polsko-niemieckich zupełnie spokojnego, objektywnego, ale też możliwie szczerego rozpatrzenia“. Tą też zasadą chciałbym się kierować w niniejszych uwagach.

Przedewszystkiem nie można mówić realnie o stosunkach polsko-niemieckich na płaszczyźnie panującego wciąż jeszcze na zachodzie poglądu, podzielanego niestety i przez wielu Polaków, jakoby Polska była państwem nowem, zawdzięczającem swoje powstanie traktatowi wersalskiemu, oraz narodem młodym, który się wyłonił dopiero z chaosu wszechświatowej wojny. Dlatego też nie można dość często powtarzać, że Polska jest jednem z najstarszych państw Europy i że wszystkie jej trudności międzynarodowe bynajmniej nie wynikają z „sztucznych granic“ lub z innych „mściwych postanowień jarzma wersalskiego“, lecz odziedziczone są po przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. O ile rozbiory Polski oznaczały klęskę Polski w walce z zaborczością dwuch, w tym duchu połączonych groźnych sąsiadów, o tyle jej wskrzeszenie jest znamieniem zwycięstwa, po którem dalsza ewolucja powinna, logicznie biorąc, iść wręcz w odwrotnym w stosunku do ostatnich dziejów przedrozbiorowych kierunku, czyli ponownie w kierunku mocarstwowego rozwoju i pokonania niebezpiecznych dla naszego bytu państwowego zagadnień międzynarodowych, wynikających z geograficznego położenia pomiędzy Niemcami a Rosją. Im trudniejszem jest to położenie, tem chlubniejszem staje się

spełnienie historycznych zadań Polski, naszej misji dziejowej, dla której nas właśnie wybrała Opatrzność, misji wschodniego bastjonu chrześcijaństwa i kultury zachodu, równocześnie broniącego Europy przed najazdem barbarzyńskiego wschodu i promieniejącego na tenże wschód duchem penetracji kulturalnej i ekspansji pokojowej. Nawet obecne, tak znacznie okrojone terytorjum Polski, czyni z niej mocarstwo, w dodatku uprzywilejowane ogromnym przyrostem naturalnym 30-miljonowej ludności, jakim, poza Włochami, żadne inne państwo w Europie poszczycić się nie może, oraz posiadające wszelkie warunki utworzenia takiego aparatu gospodarczego, któryby mógł rozrastać się i dorównać innym organizmom gospodarczym. Zadaniem więc Polski musi być, jeżeli chce spełnić swoją rolę historyczną i utrwalić się w miażdżącej słabsze organizmy walce o byt państw i narodów, prowadzenie polityki mocarstwowej, czyli, jak się nie lęka powiedzieć ks. Radziwiłł, imperjalistycznej, z jednej strony, oraz polityki utrwalania pokoju i cementowania współżycia i gospodarczej współpracy z wszystkimi innymi narodami, zwłaszcza z państwami naszego kontynentu, z drugiej strony.

Polska historyczna ma dwa wielkie okresy, w których znakomicie rozwiązała zagadnienie położenia pomiędzy światem germańskim a wschodnio-słowiańskim (eurazyjskim). Pierwszy okres, to czasy Bolesławowego mocarstwa, ogarniającego równocześnie zachodnią i wschodnią Słowiańszczyznę, wbrew dążeniom cesarstwa niemieckiego; drugi okres, to równoległe pokonanie przez Jagiellonów krzyżackiego państwa oraz pokojowe wchłonięcie Litwy i Rusi Południowej, okres, ukoronowany następnie — niestety na krótko — hołdem pruskim z jednej, a moskiewskim z drugiej strony. O ile zaś ostatnie dzieje przedrozbiorowe Rzeczypospolitej były charakteryzowane równoległem z upadkiem Polski rozwijaniem się Prus w potężne mocarstwo, które w sto lat po pierwszym rozbiorze Polski przeistoczyło się w cesarstwo niemieckie, potem w dzisiejszą Rzeszę, oraz

stopniową ewolucją państwa moskiewskiego z lennika tatarskiego, prawie zupełnie azjatyckiego, w mocarstwo półeuropejskie, którego zasadniczą orjentacją polityczną stał się coraz ściślejszy sojusz z Prusami, o tyle współczesne dzieje wskrzeszonej Rzeczypospolitej znajdują się pod znakiem ewolucji po części odwrotnej, a mianowicie osłabienie więzów prusko-rosyjskich i zrywania obecnej Rosji z tradycjami Piotra Wielkiego, a grawitowania jej z powrotem ku Azji. Przecież awangardą budzącej się Azji w walce ze „zgniłym zachodem“ pragnie być państwo Sowietów, wskrzeszające prastare pojęcie o „Eurazji“, tego kraju „ciemności“, dzielącego siedziby rasy białej od „żółtego niebezpieczeństwa“ Azji Mongolskiej. Coprawda, nazajutrz po wielkiej wojnie, a nawet jeszcze przed jej ukończeniem, odżyły tak w Niemczech, jak i w Rosji tradycje Piotrów i Fryderyków, Gorczakowych i Bismarcków, tradycje przymierza prusko-rosyjskiego, którego ofiarą już raz padła Polska. Obecnie miało ono ułatwić dokonanie porachunków z resztą świata, porachunków coprawda skrajnie z sobą sprzecznych, gdyż trudno pogodzić rewolucyjny pochód czerwonej komuny na podbój „zgniłego zachodu“ z imperjalizmem wielkokapitalistycznym Niemiec, dążących do hegemonji w Europie — lecz zgodnych w żądaniu obalenia traktatów pokojowych jako gwarancji pokoju, a zatem i ładu społecznego i gospodarczego w powojennej Europie. Niemcy zawarły z Rosją traktat gospodarczo-reasekuracyjny w Rapallo, który, wzmocniony następnie w Berlinie, zawisł do niedawna jak miecz Damoklesa nad koncernem europejskim, hamując mocarstwa w przestrzeganiu wykonywania traktatu wersalskiego, uniemożliwiając tak upragnione przez narody, zniszczone wojną i zagrożone nawałnicą przewrotową od wschodu, zcementowanie solidarności europejskiej wobec wspólnego dla cywilizowanych i chrześcijańskich państw niebezpieczeństwa. Przedewszystkiem zaś zmartwychwstała Polska znalazła się w ten sposób odrazu pomiędzy wrogiemi kleszczami, stawiającemi jej byt i przyszłość pod znakiem

zapytania wobec całego świata w chwili, kiedy zubożeni i wyczerpani przez wojnę, potrzebowaliśmy koniecznie pomocy materjalnej i kredytów od nieufnych bankierów świata.

Rzeczywistość jednak pokrzyżowała rachuby kontrahentów z Rapallo. Polska, wygrawszy zwycięsko walkę o byt w 1920 r. i uratowawszy Europę przed czerwonym upiorem, pomimo największych trudności wewnętrznych i zewnętrznych ostała się nietylko jako państwo, lecz wszedłszy do rady Ligi Narodów i zaszczycona ambasadami wszystkich mocarstw zachodnich, zajęła sama mocarstwowe stanowisko na wschodnim krańcu zachodniej Europy, wskrzeszając dawne tradycje jagiellońskie. Niemcy zaś, przekonawszy się pod światłem kierownictwem ś. p. Stresemanna, że orjentacja wschodnia grozi samym Niemcom przewrotem na tle gospodarczem i społecznem (którego próby w zaraniu republiki niemieckiej krwawo stłumiono), weszły zdecydowanie na drogę porozumienia z Zachodem. Na drodze tej istotne święciły tryumfy, całkowicie uzasadniające jej słuszność, począwszy od Locarna i wejścia do rady Ligi Narodów, a kończąc ostatnio na układach haskich i „likwidacji następstw wojny", tak jaskrawo uwydatnionej w zamianie odszkodowań wojennych, a więc kary i ekspiacji za winy Niemiec, na zwykły dług komercjalny, pozbawiony już kontroli nad Niemcami, którego wpłatę w dodatku ułatwiono dłużnikowi jedyną w swoim rodzaju w dziejach świata pomocą kredytową ze strony państw wierzycielskich. Zainteresowanie zwycięzców w rozwoju gospodarczym pobitej Rzeszy, w rozbudowaniu jej gospodarstwa do nienaturalnego i nieracjonalnego ogromu, celem obrócenia zysków na spłacenie długów, Niemcy umiejętnie i konsekwentnie wykorzystują na swoją korzyść. Bank reparacyjny jest faktem, który wnosi w stosunki europejskie zupełnie nowe, nieoczekiwane rezultaty, być może niebezpieczne dla Polski w przyszłości.

To pogodzenie się Niemiec z Zachodem, ten „zmierzch Rapalla", uwypuklony ostatniem zaostrzeniem się stosunków

między Berlinem a Moskwą, rozczarowaniem niemieckich sfer gospodarczych do stosunków handlowych z Rosją i koncesji sowieckich, prześladowaniem niemieckich kolonistów i inżynierów w Rosji oraz wzrostem rewolucyjnej działalności Kominternu w Niemczech, nie był bynajmniej równoznacznym z odprężeniem polsko-niemieckiem i ugruntowaniem się wzajemnego, polsko-niemieckiego poczucia przynależności do wspólnego frontu europejskiego w walce o ocalenie wspólnego dorobku cywilizacyjno-kulturalnego i praworządności gospodarczej na świecie. Przeciwnie, ugoda Niemiec z zachodem zrodziła niestety właśnie iluzje, podawane Niemcom na pocieszenie za wyrzeczenie się myśli odwetowych na zachodzie i za pogodzenie się z myślą, że jednak za szkody wojenne wypadnie zapłacić. Iluzjom tym dał wyraz przyjaciel ś. p. Stresemanna i znany polityk, baron von Rheinbaben, na obchodzie w Królewcu, oświadczając, że „celem polityki stresemannowskiej było najpierw dojść do załatwienia (Abschluss) na zachodzie, by potem mieć wolną rękę na wschodzie". Zdaniem jego w polityce zmarłego męża stanu „wszystkie rokowania sprzągnięte były zawsze z układami ze wschodem", gdyż „niema odrębnej polityki wschodniej dla Niemiec", przeciwnie, „polityka ta sprzęga się z polityką Niemiec w stosunku do wszystkich mocarstw zwycięskich". To też nie godzi się on na żaden układ z Polską, „za którym czaiłaby się obawa, iż stworzy niekorzystne warunki dla Prus Wschodnich". Przypomnieć należy, że tenże sam baron von Rheinbaben, polityk bardzo umiarkowany w porównaniu z nacjonalistami z pod znaku Hugenberga, wydał dwa lata temu książkę p. t. „Od Wersalu do wolności", w której kategorycznie żądał zwrotu Pomorza i polskiego Górnego Śląska, zrównania zbrojeń niemieckich z francuskiemi, ustalenia długu odszkodowawczego w wysokości umarzalnej w ciągu kilku lat i t. d. A przecież żądanie rewizji granic wschodnich, „Anschluss'u" Austrji, stanowczej ingerencji w sprawy mniejszości niemieckich zagranicą, znajdujemy i w książce

b. ministra Dr. Kocha, demokraty, przedstawiciela najbardziej poza socjalistami ugodowego w stosunku do Polski kierunku politycznego w Niemczech, który jednak cieszy się z „rozwiązania w Hadze rąk Niemcom na wschodzie“. Nawet taki dr. Koch nie może zrozumieć, że rozbiory Polski były krzyczącem bezprawiem, które wymagało całkowitej restitutio in integrum, że „korytarz“ jest odwieczną dzielnicą polską, podstępnie zagrabioną przez Fryderyka II, że nie wolno dopatrywać się w zaborze i rozbiorze Polski „zmiany i ewolucji prawa“!!! Cóż więc w takim razie dziwić się Hugenbergowi, Hitlerowi i całej tej kampanji zdecydowanych na wszystko, chociażby na sojusz z samym djabłem (Rosją), odwetowców, uprawiających wręcz nieprawdopodobną w swoim cyniźmie propagandę demagogiczną za nowym rozbiorem Polski, ryzykujących chociażby ponowny pożar wszechświatowy! Jakżeż słabe wydają się w porównaniu z tem głosy umiarkowane, przemawiające za koniecznością normalizacji stosunków polsko-niemieckich, zgodnie z „pierwszą Curtiusa (niem. min. spr. zagran.) a ostatnią Stresemanna wolą“, jak zaznacza berliński półmiesięcznik „Deutsche Stimmen“.

Niemcy, którzy w Locarno zgodzili się na zagwarantowanie granic nadreńskich, dotychczas wzdragają się przeciwko jakiemukolwiek układowi z Polską, któryby w ich oczach przesądzał zagadnienia (ich zdaniem otwarte!) rewizji granic polsko-niemieckich. Nacjonaliści niemieccy wogóle są zdania, że należy właśnie unikać starannie wszelkiej możliwości odprężenia z Polską, by stosunki wzajemne utrzymywać w stanie ustawicznego zaognienia i fermentu i tem łatwiej sprowokować w stosownej chwili konflikt z Polską i interwencję Ligi Narodów na zasadzie Art. 19 paktu Ligi, w kierunku zmiany traktatu (granic!), grożącego dalszą swoją egzystencją wywołaniem wojny!! Z polskiej strony natomiast uczyniono wszystko, co tylko było możliwe, by drogą stopniowych, drobnych porozumień z Niemcami spowodować najprzód odprężenie na poszczególnych

odcinkach, przygotowując tem samem pacyfikację całości problematu polsko-niemieckiego. Aczkolwiek bowiem zagadnienie to może i powinno być rozpatrywane w swym całokształcie, rozwiązać się ono da tylko stopniowo i bardzo powoli, przyczem w pierwszym rzędzie na terenie gospodarczym i kulturalnym, na którym wspólna praca i wytworzenie się splotu wzajemnych interesów musi z czasem doprowadzić do złagodzenia przeciwieństw politycznych. Dlatego też Polska tak chętnie skorzystała z zaleceń pierwszej konferencji haskiej i doprowadziła do tak upragnionej od lat wielu umowy wyrównawczej, likwidującej wzajemne pretensje finansowe.

Umowa ta, podpisana 31 października ub. r., wywołała silną, a nawet namiętną krytykę z obu stron. W Polsce, jak wiadomo, powszechne oburzenie w nieorjentującej się w arkanach dyplomacji i reagującej na wszystkie zjawiska czysto emocjonalnie opinji publicznej wywołał załączony do wspomnianej umowy układ polityczny, mocą którego Polska rezygnuje z przysługujących jej na podstawie pruskiej ustawy kolonizacyjnej (wywłaszczeniowej, antypolskiej!) praw do przejęcia po śmierci kolonisty jego posiadłości za drobnem odszkodowaniem. Ustawa ta, przeznaczona ongiś dla uniemożliwienia przejścia kolonji drogą spadku w ręce polskie, zwróciła się obecnie — o ironjo dziejów! — przeciwko Niemcom. Tego prawa, sprzecznego tak z zachowawczemi zasadami bezwzględnego prawa własności, jak i z tradycyjną tolerancją narodową Polski, zrzekła się Polska, okupując w ten sposób rezygnację Niemiec z bardzo poważnych pretensji finansowych, których Polska w żaden sposób dostatecznemi i wykonalnemi kontrpretensjami nie mogłaby zrównoważyć. W Niemczech umowa wyrównawcza niewielką tylko większością głosów przyjęta została w Reichstagu, przy znacznej abstynencji nacjonalistycznie nastrojonych posłów większości rządowej, głuchych na argumenty najmocniej skrępowanego względami na demagogję nacjonalistyczną rządu, przyczem i ta słaba

większość dała się tylko okupić zagwarantowaniem należytego odszkodowania dla „poszkodowanych“ umową obywateli Prus ze skarbu Rzeszy. Właśnie umowa wyrównawcza stała się w Niemczech przyczyną nieprawdopodobnej wprost w swojej prowokującej demagogji nagonki nacjonalistycznej na „ugodową“ politykę rządu Rzeszy, nagonki niewątpliwie popularnej w swej znacznej bądź co bądź części społeczeństwa niemieckiego. Pamiętamy wszak powodzenie niepoczytalnej kampanji Hugenberga i Hitlera za uchwaleniem drogą referendum ludowego t. zw. „ustawy wolnościowej“, odrzucającej a limine wszelkie odszkodowania wojenne i sprzeciwiającej się jakiemukolwiek krępowaniu suwerenności Niemiec umowami międzynarodowemi, opartemi o „zbrodniczy traktat wersalski“ i zawarte w nim „kłamstwo o odpowiedzialności Niemiec za wojnę“. Marzenia o odwecie, o rewizji granic, o poskromieniu znienawidzonej Polski, sprzęgły się w jedno z oporem przeciwko koniecznym dla realizacji planu Younga nowym podatkom i ciężarom publicznym.

Nie lepiej powiodło się, jak wiadomo, z zawartym ostatnio po tyloletnich, beznadziejnych już, zdawałoby się, rokowaniach, traktatem handlowym, którego osią stała się sprawa wywozu do Niemiec polskiej nierogacizny. Prawda, że sprawa ta przedstawia jedną z największych trudności dla niemieckiej polityki wewnętrznej. Z jednej strony bowiem jest Polska wymarzonym rynkiem zbytu dla szukającego możliwości eksportowych przemysłu niemieckiego, zwłaszcza wobec wzrastającego z dnia na dzień bezrobocia (obecnie 3 miljony); wielkie zaś centra przemysłu uginają się pod brzemieniem drożyzny, a więc chętnie widziałyby konkurencyjny dowóz wytworów rolnych z Polski. Z drugiej strony, rolnictwo niemieckie, a zwłaszcza ziemiaństwo, szczególnie w prowincjach wschodnich, znalazło się w sytuacji nieomal bez wyjścia z powodu nierentowności produkcji i „niskich cen“. Dlatego też opozycja przeciwko zawarciu układu handlowego z Polską tak łatwo mogła ope-

rować argumentami czysto gospodarczymi. W rzeczywistości, zawarty traktat handlowy stał się kompromisem, opartym o równowartość wzajemnych koncesji. Polska wszakże jest nietylko państwem rolniczem, lecz posiada wszystkie podstawowe elementy, by stać się z każdym rokiem coraz to potężniejszym organizmem przemysłowym, opartym przedewszystkiem o stale trwającą pojemność rynku 30-miljonowej rzeszy konsumentów. Zapewne, traktat z Niemcami nie mógł być korzystnym dla interesów naszego przemysłu elektrotechnicznego, konfekcyjnego i częściowo chemicznego (swoją drogą i tak już nawet w czasie trwania wojny celnej rugowanych niemieckimi wyrobami, dochodzącymi drogą okrężną przez inne państwa); w każdym jednak razie liczono na wyrównanie z plusem tej straty przez korzyści, osiągalne przez rolnictwo. Wszak rynek niemiecki, jak słusznie wskazał min. Kwiatkowski, a w poważnej części i zachodnio-europejski, jest znacznie mniej samowystarczalny w dziedzinie produktów spożywczych, niż my w dziedzinie produkcji przemysłowej, tak, że zdawały się otwierać przed naszymi rolnikami warunki swobodnego kształtowania się cen według poziomu rynków zachodnio-europejskich. Dla przemysłu surowcowego tembardziej otwierały się szerokie perspektywy, zwłaszcza wobec daleko trudniejszych warunków bytu polskiego przemysłu przetwórczego. Zdaniem ks. Kazimierza Lubomirskiego, prezesa rady naczelnej polskich organizacyj ziemiańskich, traktat handlowy właśnie z punktu widzenia interesów rolnictwa, wobec ujawnionej przez kryzys gospodarczy międzynarodowej współzależności różnych dziedzin gospodarczych, ocenić należy dodatnio w nadziei ożywienia stosunków handlowych z całym światem, chociaż dalekim jest on od zadowolenia wszystkich dezyderatów polskich, w szczególności wobec zakazu wywozu do Niemiec bydła rogatego. Również i polskie sfery handlowe zadowolone były naogół z traktatu, pomimo niebezpieczeństwa trudnej konkurencji z doskonale zorganizowanym i rozporządzają-

cym sprawnym aparatem kredytowym handlem niemieckim dla osłabionego ostrym kryzysem gospodarczym polskiego handlu. Jednakże właśnie wojna celna, zjawisko zasadniczo ujemne, miała te dla naszego życia gospodarczego dobre strony, że zmuszała nas do większej przedsiębiorczości handlowej i szukania własnemi siłami rynków zbytu. Pchała nas w kierunku doskonalenia tej właśnie części aparatu gospodarczego, która w nas zawsze była najsłabiej rozwiniętą, a mianowicie samodzielnego, wolnego handlu. A właśnie przedewszystkiem kryzys zbożowy, będący jedną z naszych największych trosk, dobitnie nam uwydatnił potrzebę wytworzenia dobrej organizacji wielkiego handlu, której brak tak żywo dawał się nam we znaki. To też dobrem omen na przyszłość zdawał się być zawarty prawie równocześnie z traktatem handlowym syndykat zbożowy polsko-niemiecki dla wspólnego handlu zagranicznego.

Zawarcie traktatu handlowego stało się, jak oświadczył minister Zaleski, „życiową koniecznością dla obu państw i narodów". Trzeba było „raz wreszcie skończyć z nastrojem drobnej kłótni sąsiedzkiej, gdzie atmosfera stosunków wzajemnych jest stale zakłócana drugorzędnymi incydentami".

Umowa handlowa polsko-niemiecka, podpisana dn. 17 marca, ma zasadniczo charakter umowy kontyngentowej, nie otwierającej wolnego handlu. Propozycje polskie zniesienia w obrocie wzajemnym wszelkich zakazów, zgodnie z przepisami konwencji genewskiej, nie zostały przyjęte przez delegację niemiecką, która w dziedzinie eksportu polskiego węgla i produkcji hodowlanej nie uznała za możliwe otworzyć granic dla wolnej wymiany towarowej.

Kontyngenty określone są w dwuch najważniejszych dla nas dziedzinach: węgla i trzody chlewnej.

Jak wiadomo, Polska otrzymuje prawo wywozu do Niemiec 320.000 ton węgla miesięcznie z uwzględnieniem salda węglowego, t. zn., że ilość ewentualnie wywiezionego węgla niemieckiego do Polski będzie zwiększała kontyn-

gent wywozowy Polski. Sposób eksportu węgla polskiego uregulowany jest przez specjalną prywatną umowę polskich producentów węgla z niemieckimi. Rząd polski zachowuje sobie jednak całkowicie wolną rękę i kontrolę nad sposobem wykonania umowy prywatnej, przez możność rewizji metody wymiany węgla między obu państwami.

W dziedzinie wywozu mięsa wieprzowego strona niemiecka przyznała Polsce roczny kontyngent wywozowy w ilości 200.000 sztuk, z progresją o 75.000 sztuk rocznie przez dwa najbliższe lata, aż do 350 tys. sztuk rocznie. Bita nierogacizna będzie mogła być dowożona drogą lądową, wyłącznie do fabryk przetworów mięsnych. Pozostałe postanowienia traktatu mają mniej istotne znaczenie.

Traktat ten spotkał się nietylko po stronie niemieckiej, lecz i po stronie polskiej, z nader namiętnymi protestami. Szczególnie prawo swobodnego osiedlenia na zasadzie wzajemności reprezentantów i agentów handlowych wywołało nader ostrą krytykę, pomimo dość przekonywujących wywodów p. Wł. Studzińskiego, który w polemice z prasą nacjonalistyczną wykazał, że trwający od wskrzeszenia niepodległego państwa polskiego stały odpływ elementu niemieckiego z naszych kresów zachodnich, przy równoczesnym fakcie słabej rozrodczości pozostałych Niemców, bitych całkowicie płodnością polską, nie wróży żadnych szans jakimkolwiek poważnym niemieckim tendencjom reemigracyjnym i nie przysparza argumentów tak licznym w Polsce pesymistom, wszystko zawsze w najczarniejszych barwach widzącym i we własne siły nie wierzącym, a tak chętnie drapującym się w płaszczyk ultrapatrjotyzmu. Pod tym względem panuje zupełna analogja w kampanji przeciwtraktatowej po obu stronach granicy. Wszak w Niemczech wielu uznało umowę z Polską za klęskę narodową, za „Locarno Wschodnie“, odbierające Niemcom wszelkie nadzieje na pokojową rewizję granic (!), ba, za czyniącą z Polski dopiero mocarstwo, zdolne do okupowania wschodnich prowincji Niemiec!!! Nie długo też trwało zadowolenie ludzi

dobrej woli, upatrujących w traktacie z Niemcami słusznie nietylko normalizację stosunków gospodarczych między oboma państwami, lecz również zapowiedź daleko idącego odprężenia politycznego oraz współpracy w koncernie europejskim i w Lidze Narodów nad zabezpieczeniem pokoju. Można wszak śmiało powiedzieć, że zawarcia tego traktatu oczekiwały nietylko Niemcy i Polska przez tyle już lat, lecz i cała Europa z niecierpliwością, względnie, jak się wyraził wybitny dyplomata, „z zapartym oddechem". Przecież spór polsko-niemiecki stał się największą przeszkodą na drodze ostatecznej pacyfikacji Europy i normalizacji stosunków międzynarodowych, będących alfą i omegą wszystkich wysiłków współczesnej dyplomacji poprzez wszystkie konferencje odszkodowawcze, rozbrojeniowe i ligowe. To też traktatowi w kuźniach dyplomatycznych całego świata, w środowiskach pacyfistycznych i wśród entuzjastów braterstwa narodów, przypisano wprost przełomowe znaczenie. Lepsze jutro w stosunkach polsko-niemieckich zdawało się nadchodzić, ku rozgoryczeniu tych wszystkich, którzy na wiecznej nienawiści polsko-niemieckiej wszystkie swoje rachuby polityczne budowali i budują. Ale... „es wär' zu schön gewesen, darum hat's nicht sollen sein"!

30 marca b. r. prezydent Hindenburg, po przyjęciu dymisji centrolewicowego gabinetu p. Müllera, socjalisty, powołał nowy rząd, obejmujący, poza dotychczasowemi mieszczańskiemi grupami koalicji rządowej (ludowcami, centrowcami, demokratami i katol. bawarczykami), jeszcze drobne partje gospodarcze oraz konserwatystów ludowych, będących secesją bardziej umiarkowanych elementów z niem. narodowej frankcji p. Hugenberga (prawicy). Pozatem wszedł do gabinetu — na wyraźne życzenie marsz. Hindenburga — p. Schiele, wódz agrarjuszy, złożywszy uprzednio mandat, piastowany z listy niem. narodowych. P. Schiele, zapewniając rządowi poparcie — aczkolwiek nieoficjalne — znacznej części niem. narodowych z hr. Westarpem na cze-

le, stał się decydującym rzecznikiem zupełnego zerwania grup umiarkowanych z socjalistami. O ile bowiem dotychczas wszelka koalicja z nacjonalistami, otwarcie głoszącymi program odwetu, była dla grup środka niemożliwością ze względu na konieczność przeprowadzenia ważnych umów z zagranicą, szczególnie haskich, zmuszającą je do kompromisów z socjalistami w polityce wewnętrznej, a, co je szczególnie bolało, także w polityce gospodarczej i społecznej — o tyle obecnie, po szczęśliwem mniej więcej przebrnięciu tych trudności, stały się te grupy środkowe skłonne do zaryzykowania niewątpliwie źle i nieufnie widzianej zagranicą współpracy z nacjonalistycznymi odwetowcami, w celu skierowania polityki gospodarczej od półmarksizmu i „radosnej twórczości" eksperymentalno-etatystyczno-socjalistycznej z powrotem na twarde tory realizmu ekonomicznego, nieznoszącego zbyt długo bezkarnego przerostu fiskalizmu i przeciążenia produkcji świadczeniami publicznemi i społecznemi, oraz krępowania kapitalizacji przez nadwyrężenie rentowności prywatnych warsztatów pracy. Energja nowego rządu zwróciła się, pod parciem przesilenia rolniczego i kół agrarnych, domagających się coute que coute zwyżek cen rynkowych, przeciwko układowi handlowemu z Polską, niwecząc niesłychanem podniesieniem wszystkich stawek celnych najgłówniejsze jego dla rolnictwa polskiego korzyści, bo naruszając zupełnie z takim trudem osiągniętą równowagę pomiędzy obydwoma państwami w zakresie wymiany handlowej.

Cel zamierzeń min. Schielego jest niewątpliwie prohibicyjny, chce on osiągnąć samowystarczalność; wszak już wywóz świń polskich do Niemiec stał się w warunkach nowych ceł niemieckich praktycznie niewykonalnym. Prasa niemiecka pociesza wprawdzie, że Polska nie jest jedyną ofiarą skierowanych przeciw wszystkim państwom niemieckich zarządzeń (sporo państw już zaprotestowało, nawet Austrja bardzo jest dotknięta), nie zmienia to jednak faktu, że Polska była w zakresie licznych artykułów rolniczych

jednym z głównych dostawców Niemiec i tem samem już z tego tytułu uderzona jest silniej, niż te państwa, których wywóz był mniejszy. Specjalnie, zdaniem p. ministra Janty-Połczyńskiego, niebezpieczne są te zarządzenia, „które wprowadzają ruchome premje wywozowe dla wszystkich niemal artykułów rolniczych. Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że polityka premji, tak pojętych, stanowić musi ciągłe niebezpieczeństwo dla wszystkich sąsiadujących z Niemcami państw i stać się musi źródłem ciągłych wahań cen na rynakch odbiorczych, które, jak wiadomo, zwłaszcza w zakresie żyta, są niewielkie i szczególnie łatwo podlegają wahaniom. Z tego punktu widzenia, nowa niemiecka polityka wręcz idzie w odmiennym kierunku od polityki stabilizacji stosunków gospodarczych, której rzecznikiem jest Liga Narodów. Tworzenie bowiem równowagi wymiany gospodarczej między krajami o strukturze przemysłowej i rolniczej przez ułatwianie zbytu nadwyżek produkcji krajów rolniczych, stanowi jedno z najdonioślejszych zagadnień współczesnego życia gospodarczego, co znalazło swój wyraz w protokule ostatniej konferencji ekonomicznej w Genewie. Oczywistem jest, że ostatnie posunięcia niemieckie w dziedzinie celnej idą w kierunku wręcz odmiennym od powyższych wskazań Konferencji Celnej“. Dlatego też Polska zaprotestowała nietylko w Berlinie, lecz i w Genewie.

Nadto pięcioletni program nowego rządu przewiduje specjalne zarządzenia, mające na celu wzmocnienie niemczyzny i podniesienie gospodarcze graniczących z Polską prowincji, szczególnie Prus Wschodnich. Prawicowe nastawienie polityki gospodarczej nie mogło się nie odbić i na innych „odcinkach“. Budżet wojskowy otrzymał więc zdecydowanie przeciwpolskie zabarwienie, przewidując bardzo znaczne wydatki na fortyfikacje pogranicza polskiego i na rozbudowę floty, wyprzedzającą inne państwa nowoczesnością techniczną, wydatki, mające na celu pozyskanie opinji pruskiej. Wywołały one w całej niemal prasie europejskiej, nie wyłączając niemieckiej prasy demokratycznej i pacyfi-

stycznej, bardzo zjadliwą krytykę, wskazującą na jątrzący w najwyższym stopniu i wymierzony zbyt wyraźnie przeciw Polsce charakter tych zarządzeń, wytrącających z rąk propagandy niemieckiej najlepszą jej broń, mianowicie możność ciągłego powoływania się na rozbrojenie własne i lojalność całkowitą wobec odnośnych postulatów traktatów pokojowych, w przeciwieństwie do wyścigów zbrojeniowych innych państw. W dodatku ukazały się ponownie rewelacje, stwierdzające trwanie kontraktów pomiędzy Reichswehrą a armją czerwoną. W takich warunkach — pomijając już konieczność rewizji stanowiska Polski wobec tylko co zawartego traktatu handlowego — stosunki polsko-niemieckie weszły w nowy okres, niekoniecznie usposabiający optymistycznie, zwłaszcza, że po ostatecznej ewakuacji Nadrenji liczyć się należy — w myśl niepisanego testamentu np. Stresemanna — z oficjalną prośbą „pokojowego" ataku na nasze granice na zasadzie art. 19 paktu Ligi Narodów. Preludjum odnośnem był już nieudany manewr niemiecki w Genewie w kierunku przeforsowania przy okazji zmiany art. 16 paktu Ligi politycznego arbitrażu pomiędzy państwami, czyli rozjemstwa, zastosowanego do samej istoty sporów, grożących wojną, chociażby ona była równoznaczna z powszechnem niezadowoleniem z traktatowo uznanych granic. Ten zamierzony atak na nasze granice wschodnie jest niewątpliwie pewnikiem, z którym poważnie liczyć się musimy, przygotowując się zgóry na jego odparcie, po którem dopiero może zaistnieje nadzieja pogodzenia się Niemiec z rzeczywistością.

Znany publicysta niemiecki, von Oertzen, ogłosił w „Vossische Ztg." cały szereg artykułów na temat stosunków polsko-niemieckich, owianych niewątpliwie najlepszą intencją przyczynienia się do rozjaśnienia chmurnej atmosfery sąsiedzkiej i wytłumaczenia nacjonalistom niemieckim całej nonsensowności ich nieprzebierającej w środkach kam-

panji przeciwko umowie wyrównawczej i układowi handlowemu pomiędzy Polską a Niemcami. W ostatnim artykule analizuje on psychiczne momenty wzajemnej nieufności obu narodów, stwierdzając przedewszystkiem jako przyczynę tego nastroju po stronie Polski politykę rewizyjną Niemiec, zaś jako przyczynę po stronie Niemiec rzekomą polonizacyjną politykę Polski względem mniejszości niemieckiej, tudzież obawę przed domniemanemi pretensjami nacjonalistów polskich do Prus Wschodnich. „Sprawa granic polsko-niemieckich uważana jest w Polsce za ostatecznie rozwiązaną; inaczej całkiem sądzą w Niemczech". Zdaniem autora nikt w Niemczech nie może oczywiście myśleć poważnie o rewizji granic drogą wojny. „Wszak tak Niemcy, jak i Polska są członkami Ligi Narodów i podpisały pakt Kelloga. O dyskusji z Polską na ten temat nie może być mowy, wobec tego, że oficjalni przedstawiciele Polski, a za nimi zwartym szeregiem cała bez wyjątku opinja publiczna, zgodnie uznają tożsamość wszelkiej rewizji granic z wojną. Wysuwanie więc tej kwestji na forum międzynarodowe byłoby bezcelowe". Pozostaje zatem, jak stwierdza von Oertzen, droga propagandy w całym świecie w kierunku uświadomienia go o niemożliwości pogodzenia się Niemiec z obecnym status quo na Wschodzie, by świat się przekonał, „że niemożliwość konsolidacji stosunków na wschodzie Europy nie jest winą Niemiec, lecz Polski... Jeżeli raz atmosfera taka będzie wytworzona, uda się niewątpliwie pewnego dnia wyzyskać polityczną konstelację światową na korzyść niemieckiej polityki wschodniej...". Tak sądzi autor, uważając, że dlatego właśnie leży na linji powyższej polityki niemieckiej jak najlepsze ukształtowanie stosunków z Polską, aby nikt nie mógł Niemcom zarzucić, iż ociągają się w tym kierunku.

Takie stawianie kwestji w piśmie demokratycznem i pacyfistycznem daje oczywiście dużo do myślenia. Jeżeli nawet umiarkowana opinja niemiecka tak kwestję stawia, jak p. von Oertzen, to niewątpliwie wytrąca ona wszelką broń

z ręki zwolennikom niezwłocznego i całkowitego rozbrojenia Europy po myśli rządzących socjalistów angielskich i niemieckich, skoro przecież demokrata niemiecki wyraźnie określił pogotowie wojenne Polski, a co za tem idzie, oczywiście i jej sojuszników, jako główną przeszkodę na drodze do ewentualnej „pokojowej“ rewizji granic. Autor przypomina raz jeszcze, że w Niemczech nikt nie myśli o rezygnacji z żądań rewizyjnych, że więc liczyć się należy na czas nieokreślony z niemożliwością całkowitej ugody polsko-niemieckiej, tak podstawowej i zasadniczej dla ostatecznej pacyfikacji stosunków w Europie i przygotowania coraz konieczniejszego jej zjednoczenia w interesie wymagań gospodarczych i w obronie przed wspólnemi niebezpieczeństwami, zagrażającemi coraz bardziej kulturze i cywilizacji Zachodu. W takich więc warunkach nie możemy oczywiście zrzec się wszystkich możliwych gwarancji, zabezpieczających nasz stan posiadania przed nieustanną zachłannością naszych sąsiadów.

Niemniej jednak dalecy jesteśmy od braku wiary w możliwość ułożenia się przecież wzajemnych stosunków w przyszłości. Przedewszystkiem, skoro trudno uwierzyć — na dość długą conajmniej metę — w sprowokowanie przez kogokolwiek w obecnych warunkach wielkiej wojny, trudniej jeszcze wyobrazić sobie możliwość międzynarodowej presji na Polskę w myśl życzeń niemieckich. Przecież czas pracuje niewątpliwie dla nas, przyzwyczajając świat coraz bardziej nietylko do istnienia mocarstwowej Polski, lecz i do historycznej łączności jej z Polską przedrozbiorową, tak, że w niezbyt odległej już przyszłości stuletni okres rozbiorowy wydawać się będzie słusznie przejściową okupacją, nie mogącą w niczem zmienić naturalnych naszych praw do ziemi, będącej przez tysiąc lat niepodzielnie w naszem władaniu. Przypomnijmy sobie przecież, że jeszcze w 1848 roku, w chwili wielkiego ruchu zjednoczeniowego narodu niemieckiego, żadnemu patrjocie niemieckiemu do głowy nie przychodziło zaliczyć ziemie b. zaboru

pruskiego, a więc m. in. słynnego „korytarza“, do ojczyzny niemieckiej. Trudno więc uwierzyć, by zaistniała „konstelacja światowa“, w którejby państwa, póki oczywiście hasłem oficjalnem pozostanie utrzymanie pokoju, zechciały uważać za przeszkodę na tej drodze państwo, broniące jedynie swojego i tak uszczuplonego, lecz bądź co bądź wielowiekowego stanu posiadania, dlatego tylko, że sąsiad jego uważa granice, poza które tylko przejściowo wychodził drogą najazdu, za niedogodne.

Główny zaś nacisk kładziemy na pokojowe znaczenie rozwoju stosunków gospodarczych. Niema lepszego pacyfikatora od wzajemnego zazębiania się interesów ekonomicznych. Współpraca zaś gospodarcza z Polską, tak pożyteczna dla pacyfikacji stosunków wzajemnych, niewątpliwie uśmiecha się niemieckim sferom przemysłowym i handlowym. Bo przecież, o ile wwóz polskich wytworów rolnych jest dla prawicy niemieckiej czerwoną płachtą, o tyle jest on w ośrodkach miejskich i przemysłowych upragnioną nadzieją złagodzenia drożyzny.

Pozatem, widząc w „Drang nach Osten“ specyficzny wyraz polityki pruskiej, nie tracimy nadziei, że w dalszym rozwoju stosunków wewnętrznych w Niemczech, w szczególności ustrojowych i gospodarczych, ewolucja ekspansyjna dążyć zacznie raczej w innym kierunku, bardziej podatnym do kompromisów, bez naruszenia naszych praw i powojennych podstaw zasadniczych równowagi europejskiej. „Tout comprendre c‘est tout pardonner“. Tę zasadę należałoby przedewszystkiem zastosować w stosunkach międzypaństwowych. Pragnąc zbliżenia polsko-niemieckiego, powinniśmy wczuć się w psychikę niemiecką i starać się oceniać różne zjawiska także z niemieckiego punktu widzenia. Tak powinno być wzajemnie. O ile więc żądamy od Niemców, by nauczyli się cenić nasze odwieczne i nigdy nie przedawnione prawo do Pomorza, zrabowanego nam bezprawnie przy pierwszym rozbiorze i stanowiącego integralną część naszego obszaru narodowego, oraz by się liczyli

z naturalnemi mocarstwowemi aspiracjami Polski, o tyle i my powinniśmy rozumieć naturalne niemieckie dążenia ekspansyjne i zjednoczeniowe. Zdecydowani zażądać dla Polski, z tytułu naszego udziału w Radzie Ligi Narodów, odpowiedniego wpływu na komisję mandatową, rezerwując dla Polski prawo do mandatu kolonjalnego w chwili, gdy któryś z nich będzie do dyspozycji Ligi, nie widzimy zastrzeżeń przeciwko analogicznym roszczeniom Niemców, niewątpliwie już zasłużonych i doświadczonych w dziedzinie pracy kolonjalnej. Nie jesteśmy też a priori przeciwni zadowoleniu, w granicach uprawnień traktatowych, praw do samostanowienia poszczególnych, zwartych części narodu niemieckiego. Nie może to jednak mieć nic wspólnego z ingerencją Niemiec w sprawy mniejszości niemieckiej w Polsce, nie będącej nawet nigdzie, w żadnym powiecie, a prawie w żadnej gminie, żywiołem dominującym (w przeciwieństwie do zwartych gdzieindziej terytorjalnie mniejszości). Troska zaś o rodaków zakordonowych dopuszczalną może być tylko na warunkach zupełnej wzajemności i bez uszczerbku dla suwerenności państwowej. Negując jakiekolwiek roszczenia, oparte o bezprawie rozbiorów, jesteśmy naogół rzecznikami praw dziejowych i naturalnych każdego narodu, nie znoszących tworów sztucznych i wszelkiego gwałcenia przyrody. Nie dziwiąc się więc niemieckim usiłowaniom odbudowania potęgi morskiej, domagać się musimy, by i Niemcy zrozumiały konieczność usadowienia się naszego nad Bałtykiem w sposób, odpowiadający warunkom mocarstwowego rozwoju Rzeczypospolitej i nie znoszący à la longue żadnego skrępowania w rodzaju pierwotnych Gdańskich usiłowań do zatamowania nam ujścia Wisły, czy wschodnio-pruskich pretensji do przejęcia roli dawnego Krzyżackiego państwa. Skłonni do uregulowania wszelkich spraw polsko-niemieckich à l'amiable, wykluczyć musimy zgóry fantazje pruskie, proponujące nam... Litwę wzamian za Pomorze, którego Polska potrzebuje, jak człowiek płuc. Minęły czasy, kiedy Zagłoba ofiarował królowi szwedzkiemu Ni-

derlandy. Zdaniem publicysty francuskiego „nie należy zapominać, że właśnie Prusy Wschodnie stanowią typowy przykład obszaru kolonizacyjnego, pozbawionego wszelkich więzów terytorjalnych, geograficznych lub gospodarczych z Rzeszą niemiecką. Pomorze pozostawało pod panowaniem niemieckiem przez zaledwie 294 lat, gdy do Polski należało przez 632 lata. Wskrzeszenie państwa polskiego, przyciągającego do siebie siłą grawitacji liczne żywioły słowiańskie, stanowiące część ludności Prus Wschodnich, niepokoi oczywiście Niemców i tem się tłumaczy prawdopodobnie fakt, że republika niemiecka chciałaby grać rolę państwa opatrznościowego dla Prus Wschodnich, tak samo, jak Fryderyk Wilhelm chciał być ojcem tego kraju — Landesvater“. Nic jednak nie zdoła powstrzymać naturalnej ewolucji dziejowej.

Słusznie też oświadczył ks. Radziwiłł na temat niemieckich pretensji rewizyjnych, że „przesunięcie słupów granicznych nie doprowadziłoby do niczego. Do realnych rezultatów dojdziemy tylko wtedy, gdy stracą one praktycznie na znaczeniu w stosunkach pomiędzy narodami. Nie mogę się tutaj wgłębiać w kwestję, jakiemi drogami to może być osiągnięte, wystarczy, jeśli zaznaczę, że, mojem zdaniem, przy obustronnej dobrej woli byłoby to możliwe. Owocna współpraca dwuch sąsiednich krajów, których interesy pokrywają się w wielu wypadkach i które przy objektywnej ocenie sytuacji ze sobą współpracować powinny, jest tylko możliwa pod warunkiem istnienia wzajemnego zaufania i pod warunkiem niepoddawania się konjunkturom spekulacyjnym, czy też względom taktycznym“.

Trzeba również pamiętać, że kampanja „korytarzowa“ nacjonalistów niemieckich budzi nolens volens i po stronie nacjonalizmu polskiego refleksje na temat możliwości usunięcia „przeszkody“ na drodze do wyeliminowania „możliwych przyczyn wojny“ — również w kierunku rewizji granic — ale właśnie Prus Wschodnich!

W dziele pacyfikacji stosunków polsko-niemieckich winni odegrać szczególną rolę katolicy. Co jak co, ale właśnie katolickie zasady o braterstwie narodów w Chrystusie, więcej od usiłowań Ligi Narodów i nierealnej jeszcze propagandy paneuropejskiej, powinny z obu stron granicy polsko-niemieckiej poruszyć umysły w kierunku walki z szowinizmem i dążenia do pojednania. One to powinny zdystansować hałaśliwą dziś agitację socjalistów i masonów, zgrupowanych w międzynarodówkach i ligach praw człowieka i obywatela, oraz wszelakiego rodzaju organizacjach pacyfistycznych. Apostołem takiego pojednania po stronie niemieckiej stał się dzielny bawarczyk baron Soden, tak przyjaźnie witany u nas w czasie jego zbyt krótkiego niestety pobytu w Polsce. Dzieło jego po polskiej i niemieckiej stronie kontynuowane jest przez szereg niezmordowanych działaczy i działaczek katolickich, odbywających perjodyczne, posłannictwem Wiary uświęcone zjazdy. Ostatnia zaś inicjatywa Ojca Świętego, wzywająca cały świat chrześcijański do wspólnej krucjaty modlitwy z powodu okrutnego prześladowania Wiary w Rosji, powinna przedewszystkiem działać pojednawczo na umysły polskie i niemieckie, pamiętne ongiś wspólnej obrony Chrześcijaństwa przed „burzą od wschodu“ na polach Lignicy i Wiednia. Takiem też było gorące życzenie kardynała Pacelli, b. nuncjusza w Berlinie, a obecnie sekretarza stanu. Trudno nie widzieć objawienia Opatrzności w tolerowaniu obłędnej polityki Stalina, która zdaje się zabezpieczać raz na zawsze świat przed niebezpieczeństwem niemiecko-rosyjskiego przymierza przeciwko podstawom pokoju europejskiego. Podkreślić tu należy, że trudności rządu niemieckiego powiększone zostały obecnie

niepokojącem ożywieniem się działalności komunistycznej. Ostatnia rewizja w domu Liebknechta udowodniła ponad wszelką wątpliwość planowe działanie komunistów na rozkaz Moskwy, subsydjowanie prasy komunistycznej, legalnej i nielegalnej, organizację „jaczejek“ w policji i Reichswehrze i t. d., przyczem charakterystyczna jest równoległość przygotowań zamachowych komunistów z wykrytemi ostatnio przygotowaniami przewrotowemi spisku hitlerowsko-stahlhelmowego. Masowa „kradzież“ broni w koszarach lipskich dużo daje do myślenia!

Ciągle powtarzające się awantury komunistyczne w Berlinie, Królewcu i Hamburgu, wywoływane głównie przez bezrobotnych, zostały krwawo stłumione i nie ulega wątpliwości, że i w przyszłości nie mogą one być groźne dla państwa. Jakkolwiekbądź, wzmacniają one, wbrew polityce nacjonalistów, kierunek przeciwsowiecki, coraz bardziej krytyczny wobec polityki Rapalla, uprawianej wciąż jeszcze głównie przez niemiecki przemysł wojenny w porozumieniu z Reichswehrą — kierunek coraz silniejszy obecnie w związku z poruszeniem, wywołanem orędziem Papieskiem i echem prześladowań religijnych w Rosji. Obecnie już i wśród nacjonalistów t. zw. zakon młodoniemiecki, a nawet część „Stahlhelmu“, są za udziałem Niemiec w froncie przeciwsowieckim. Jeżeli kierunek ten weźmie górę w społeczeństwie niemieckiem nad probolszewickiemi sympatjami odwetowców, będzie to niewątpliwie zasługą wspomnianej obłędnej polityki Stalina, prowokującej nietylko cały świat chrześcijański, lecz zrażającej nawet tych, którzy mimo wszystko sprzyjali z tych czy innych przyczyn państwu sowieckiemu. Niemniej jednak nie należy się łudzić, by poruszenie uczuć chrześcijańskich, a szczególnie katolickich, w umysłach niemieckich mogło doprowadzić, przynajmniej w obecnem pokoleniu, do znacznego złagodzenia ich nastawienia przeciwpolskiego, skoro na zainicjowanej ostatnio przez kardynała Pacelli‘ego, tego wielkiego zwolennika zbliżenia polsko-niemieckiego, konferencji polityków katolic-

kich, francuskich i niemieckich, w Berlinie, strona niemiecka przy każdej okazji operowała materjałem propagandowym, mającym uzasadnić konieczność rewizji „krwawiącej granicy“, jako warunku wstępnego zbliżenia francusko-niemiecko-polskiego.

Praca dla ugody polsko-niemieckiej nie jest rzeczą wdzięczną. Po tej i tamtej stronie granicy stokroć więcej poklasków zbierają ci, którzy miast łagodzić przeciwieństwa, dolewają oliwy do ognia. I pomimo zdecydowanie negatywnego naszego stanowiska w stosunku do nieprzejednanego nacjonalizmu polskiego, budującego wszystkie swoje przesłanki polityczne na ugruntowaniu przepaści pomiędzy obydwoma narodami, musimy jego wybryki uważać za łagodne, a nawet zrozumiałe, w porównaniu z orgjami nienawiści i szowinizmu, szalejącemi po stronie niemieckiej przy każdej okazji w stosunku do Polski. Rozumiemy, że Niemcy, jako strona pobita w wielkiej wojnie, więcej mają w sobie żalu i rozgoryczenia od nas, jako strony zwycięskiej, w upojeniu wskrzeszenia państwa łatwiej zapominającej krzywdy niedawnego jeszcze ucisku pruskiego; jednakowoż pretensje Niemców do ziem odwiecznie polskich i tylko przejściowo nam zabranych, dowodzą zupełnego braku poczucia historycznego i zrozumienia sprawiedliwości dziejowej. Jest to niestety typowy objaw wiary w wyższość siły nad prawem. Cóż jednak oczekiwać od tej zaślepionej nienawiścią części społeczeństwa niemieckiego, która posła niemieckiego w Warszawie, p. Rauschera, zwymyślała od zdrajcy i sprzedawczyka za podpisanie układu z Polską, która z tej samej przyczyny sędziwego i zapewne niezmiernie dla Niemiec zasłużonego starego żołnierza, jakim jest obecny prezydent Rzeszy, marszałek von Hindenburg, zmieszała z błotem i która zaprotestowała w Lidze Narodów przeciwko nadaniu nagrody Nobla „za pokój“ autorowi „Im Westen Nichts Neues“ za to tylko, że zmiażdżył aureolę wojny, tak systematycznie gloryfikowanej przez zwolenników odwetu i nowych zaborów!

Zadaniem zwolenników pokoju po polskiej stronie musi być szukanie porozumienia przedewszystkiem z temi sferami i ugrupowaniami niemieckiemi, które szczerze się przeciwstawiają agitacji nacjonalistycznej i odwetowej, a przyszłość Niemiec budują na współpracy pokojowej z innymi narodami Europy. Na szczęście i w obozie nacjonalistycznym powstała nowa organizacja, t. zw. zakon młodoniemiecki, odrzucający bezwzględnie, jako zbrodnię, wszelki kontakt z Sowietami. Należy im właśnie ze wszelkich sił dopomóc, nie przejmując się chwilowem niepowodzeniem i unikając starannie wszystkiego, co mogłoby zrażać objawy dobrej woli po stronie niemieckiej i sparaliżować wysiłki tamtejszych pacyfistów pesymizmem. Niemcy muszą uwierzyć, że tylko ścisłe wypełnianie umów międzynarodowych zabezpieczyć im może korzyści, wynikające z „likwidacji następstw wojny".

Trzeba sobie wogóle, rozważając stosunki polsko-niemieckie, zasadniczo odpowiedzieć na pytanie, czy się chce pokoju z Niemcami i wierzy w jego urzeczywistnienie, czy też nie. Sen. Stanisław Kozicki, redaktor działu zagranicznego „Gazety Warszawskiej", odpowiada z całą stanowczością „nie" i z tego wniosku wyciąga najdalej idące konsekwencje. Uważa on wogóle wojnę za normalny i stały, nieunikniony sposób regulowania zatargów zasadniczych pomiędzy narodami, antagonizm zaś polsko-niemiecki uważa za tradycyjny, odwieczny „front" Rzeczypospolitej, którego zaniedbanie na rzecz „misji wschodniej" zarzuca Jagiellonom i Wazom. My jesteśmy — i w tem zasadnicza pomiędzy naszym a jego światopoglądem różnica — wręcz przeciwnego zdania, co zresztą bynajmniej nam nie przeszkadza przemawiać za koniecznością najdalej idącej czujności i ostrożności, aby być przygotowanym na wszelkie możliwe niespodzianki, póki odwet (przygotowywany jawnemi i tajnemi zbrojeniami) nie przestanie być realnem i pociągającem hasłem potężnego odłamu niemieckiej opinji publicznej. Wierzymy

jednak, że w końcu pokój między Polską a Niemcami zostanie ugruntowany i że naturalna ewolucja stosunków wewnętrzno-niemieckich zmierza, acz powoli i wśród wielu łamańców, w kierunku współpracy i solidarności europejskiej, której nieodzownym warunkiem jest ugoda polsko-niemiecka. A ugoda taka, mojem zdaniem, winna być koniecznym wynikiem dziejowego posłannictwa obu narodów, które w okresie Jagiellonów zdołały (za wyjątkiem Krzyżaków-Prusaków) właściwie pojąć i rozgraniczyć swoje posłannictwo w obronie i w krzewieniu chrześcijaństwa i kultury zachodniej. To też „frontowi na zachód“ p. Kozickiego przeciwstawiam front na wschód — w oparciu o Europę i Zachód; im słabszym więc będzie ten wschód, tem lepiej dla nas — to też nie podzielam troski p. senatora o niepodzielność Rosji, o ile wskutek chaosu i anarchji i innych, od nas niezależnych, lecz przewidzialnych przyczyn, miałaby się kiedyś rozpaść na swoje części składowe. A na to musimy być przygotowani.

Wogóle ta wspólna przynależność do Europy, coraz bardziej się kurczącej w okresie rekordowego rozwoju współczesnej techniki i coraz bardziej narażanej na wspólne niebezpieczeństwa, tak ze strony czyhającej na zagładę kultury i cywilizacji Eurazji, jak i ze strony wzbogaconej kosztem starego świata Ameryki, dławiącej rozbitą Europę swoją bezwzględną polityką gospodarczą, stokroć niebezpieczniejszą od wszystkich wzajemnych „gróźb“ ekonomicznych państw europejskich, prędzej czy później musi doprowadzić do zepchnięcia sporów polsko-niemieckich na drugi plan, a przez to samo do ich zlokalizowania i unieszkodliwienia. Nie będę się w tem miejscu rozwodził nad Briandowską koncepcją gospodarczej, ani nad Coudenhove'owską politycznej Paneuropy (Stanów Zjednoczonych Europy), jako przedwczesną w okresie powszechnej wojny celnej i w warunkach konieczności zabezpieczenia rodzimej produkcji przed zachłannością krajów wielkokapitalistycznych i wielkoprzemysłowych. Niewątpliwie jednak poczucie so-

lidarności Europy i świadomość wspólności interesów w stosunku do krajów pozaeuropejskich krzepnie z dniem każdym, torując, poprzez sojusze regjonalne i rozbudowę sieci układów handlowych, drogę do stopniowej wspólnej formy zagwarantowania sobie pokoju i równowagi gospodarczej. To też, zdaniem naszem, spór polsko-niemiecki jest sporem wewnętrzno-europejskim, obchodzącym żywotnie Europę całą, zainteresowaną jak najbardziej zamianą jego na trwałe porozumienie — sporem, do którego wara komukolwiek wciągać czynniki pozaeuropejskie!

Takim czynnikiem jest i pozostanie przedewszystkiem Rosja, dziś ojczyzna czerwonej, światoburzącej komuny, ongiś lenno tatarskie i groźna zawsze dla Europy „barbarja septentrionalna", ów starożytny kraj ciemności, stanowiącej wraz z t. zw. Azją Północną odrębny kontynent, Eurazję, o odrębnej psychice i kulturze, przejściowo tylko, sztucznie i powierzchownie przez Piotra Wielkiego i jego następców „europeizowaną" i to przy pomocy pruskich instruktorów — aż wreszcie odruch „robotniczego i chłopskiego narodu" zmiótł z powierzchni raz na zawsze wszelkie europejskie naleciałości. Rosja, taka czy inna, pozostanie zawsze największym, najniebezpieczniejszym naszym wrogiem, bo nie tylko materjalnym, lecz i moralnym. Pod zaborem pruskim siły odporne i rozwojowe narodu skrzepły, pod rosyjskim natomiast ulegały coraz gorszemu procesowi zatruwania dusz i demoralizacji społecznej. „Jak już Polska ma umrzeć", powiedział ktoś, „to lepiejby była pochowana w pruskiem mauzoleum, niż by miała się rozkładać w cuchnącem bagnie Eurazji" *). Im bardziej roz-

*) To, oczywiście przejaskrawione twierdzenie, maluje doskonale najgłębszą, zasadniczą różnicę programową między naszym obozem konserwatywnym a narodową demokracją, różnicę, której niestety wielu jeszcze nie pojmuje, dziwiąc się, dlaczego nie staramy się o porozumienie z tak „prawicowem" stronnictwem, jakiem jest nar. demokracja? Porozumienie to, pomijając już inne względy, dlatego właśnie jest niemożliwem, bo narodowa demokracja wybiera — z dwojga złego — eurazjatyckie bagno! *(Przyp. Redakcji).*

luzmią się więzy rosyjsko-niemieckie, im więcej natomiast wzmocni się współpraca Niemiec z Ligą Narodów i Zachodem, im groźniej niebezpieczeństwo czerwone, dzięki obłędnej polityce Stalina, zagrażać będzie całej Europie, której polityka od tylu już lat stara się wciągać Niemcy w swoją orbitę za cenę wielu ustępstw, byleby przeciąć raz na zawsze nici Rapalla, im prędzej się scementuje na zewnątrz wspólny front europejski, tem większe są szanse pomyślnej dla nas ugody polsko-niemieckiej. Chodzi przecież i o to, by „krucjata gospodarcza" po ewentualnem załamaniu się Sowietów (o którego przyśpieszenie zresztą, z punktu widzenia polskiej racji stanu, bynajmniej nam nie chodzi) nastąpiła wspólnemi siłami we wzajemnem porozumieniu, byśmy nie ryzykowali ponownego wygrywania atutu rosyjskiego przez innych... naszym kosztem.

Dlatego też zadanie odprężenia i następnie zacieśnienia stosunków polsko-niemieckich musi być rozwiązane w najściślejszej harmonji z odprężeniem i zacieśnieniem stosunków francusko-niemieckich. O ile sojusz polsko-francuski ma rację bytu, jako gwarancja przeciwko wszelkim ewentualnym zakusom odwetowym ze strony Niemiec, o tyle winien on być również dostosowany obustronnie do możliwości zbliżenia obu kontrahentów z Niemcami. Wszelka poprawa atmosfery politycznej między Berlinem a Paryżem winna niezwłocznie odbić się korzystnie na atmosferze między Berlinem a Warszawą — i nawzajem. Przyjazny wpływ Paryża lub Warszawy w Berlinie musi mieć większe walory od nacisku. Niemcy winny wiedzieć, że front Polska — Francja contra Niemcy może się w każdej chwili, zależnie tylko od dobrej woli Berlina, zamienić w trójporozumienie Polska — Francja — Niemcy, że natomiast jednostronne próby porozumienia z jednym z kontrahentów, dla uzyskania wolnej ręki w stosunku do drugiego, będą zgóry skazane na niepowodzenie. Oto naczelny postulat naszej polityki i logiczna podstawa sojuszu z Francją.

Do tego jednak potrzeba, obok intensywnej i żmudnej

pracy, także głębokiej wiary i płomiennego optymizmu. Idziemy ku coraz lepszej przyszłości — mimo chwilowych przeciwnych niekiedy pozorów. Jeżeli jednak chcemy osiągnąć nasze wielkie cele historyczne, musimy skoncentrować ku nim cały wysiłek i energję społeczeństwa. Biernością i fatalizmem istotnie daleko nie zajedziemy. To też kończę słowami p. ministra Zaleskiego: „Nie bawiąc się w odgadywanie przyszłości i wróżbiarstwo polityczne, pozostawiam życiu odpowiedź na pytanie, czyje przewidywania były słuszne, a czynię to z całym spokojem. Spokój mój płynie z głębokiej wiary w niespożyte siły narodu polskiego oraz w wielką misję, którą naród ten realizuje. Spokój mój oparty jest ponadto na świadomości, wyrosłej z wieloletniej pracy i codziennej praktycznej obserwacji życia, która mówi, że już dziś świat cały rozumie, jak istotnym i decydującym czynnikiem równowagi i pokoju światowego jest silna Rzeczpospolita Polska i że opinja publiczna już dziś wszędzie zaczyna się przekonywać, że nawet najmniej realna próba odjęcia Polsce jednego z decydujących czynników jej siły byłaby katastrofą całego życia europejskiego. Właśnie wzrost tej świadomości w opinji całego świata jest może największym naszym dorobkiem na gruncie międzynarodowym. Jest on rezultatem coraz większego krzepnięcia i spajania się wewnętrznego sił twórczych narodu. Znikły już dziś legendy o sezonowości państwa polskiego i o możności prędkiego jego rozpadnięcia, gdyż były one nierealne. Tak samo skazane są na zagładę, jako nierealne, wszelkie próby pokojowej zmiany istniejącego stanu rzeczy. Możemy patrzyć na nie ze spokojem i poczuciem siły naszego stanowiska, opiera się ono bowiem na naszej mocy wewnętrznej oraz niezaprzeczonem prawie i sprawiedliwości".

Tenże sam jednak minister Zaleski, tak ufny w pokojowe rozwiązanie zagadnień europejskich i tak szczerze i dobitnie akcentujący zawsze pokojowość polskiej polityki, nie zawahał się w innem przemówieniu, przed dwoma laty, uderzyć jakgdyby pięścią w stół Niemcom wobec nieustan-

nych dowodów nieprzejednanej dotąd ich orjentacji antypolskiej i zakusów zaborczych ducha pruskiego na całość i egzystencję naszego państwa. I uczynił słusznie. Bo przy całym naszym tradycyjnym pacyfiźmie słowiańskim, potrzebnym nam dzisiaj więcej może, niż kiedykolwiek przedtem, przy wszelkich naszych wysiłkach porozumienia z zachodnim naszym sąsiadem, nie wolno nam również zapominać, że jedną z odwiecznych, charakterystycznych cech tego sąsiada, spotęgowaną ad absurdum, ale bynajmniej nie stworzoną dopiero przez Hohenzollernów, jest kult siły, silniejszy w duszy północnego Niemca od idealizmu i romantyzmu tak podziwianych przez nas klasyków niemieckich. Niemiec dobrym może być sąsiadem, o ile liczyć się musi z materjalną siłą swego kontrahenta. Jego natura germańska wymaga, dla gwarancji przyjaznych stosunków z kimkolwiek, widoku niekiedy opancerzonej pięści. No, gdyby — nie daj Boże — zaszła ta potrzeba, to i taką żelazną pięść możemy mu pokazać! Wszak Polska dzisiejsza, to nie rozpasana szlachta z czasów saskich, ale odrodzony naród, który rwie się do przyszłości mocarstwowej w pełni swego państwowego poczucia, zahartowanego ciężkiem doświadczeniem długiej niewoli.

Adam Romer.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ W OKRESIE POWOJENNYM.

Spółdzielczość posiadała przed wojną w Polsce szczególne znaczenie. W kraju, pozbawionym niepodległości, spełniała zadania nieporównanie rozleglejsze, niż w krajach, w których życie polityczne rozwijało się normalnie. Spółdzielczość była u nas nietylko szkołą cnót obywatelskich, źródłem utrwalania idei samopomocy, nietylko krzewiła szczytne hasła altruizmu i uczyła podporządkowywać egoistycznie pojęty interes jednostki interesom zbiorowości, ale służyła równocześnie i innym jeszcze celom.

W braku bowiem samorządu i swobód politycznych stworzyła spółdzielczość szerokie pole do wyrabiania się jednostek, uczyła je kierować przedsięwzięciami użyteczności ogólnej, stwarzając ramy organizacyjne możliwie proste, wytwarzała wśród uczestników atmosferę normalnego współżycia, w którem łagodniały antagonizmy polityczne i społeczne. Organizacje spółdzielcze uczyły podstawowych zasad gospodarczych, co do których panowała zupełna ignorancja, pobudzały do zapobiegliwości, zapoznawały ze ścisłą kalkulacją i porządną rachunkowością. Wszelkie bowiem braki i zaniedbania w tym kierunku ujawniały się bardzo szybko, grożąc danej instytucji spółdzielczej nieobliczalnemi stratami. Organizacje spółdzielcze krzewiły i utrwalały idee oszczędności, umożliwiając zużytkowanie tych oszczędności dla gospodarstwa krajowego.

Było to wielką zdobyczą w rozwoju życia gospodarczego zarówno wsi, jak i miast polskich.

Gromadzące się oszczędności pozwalały podjąć skuteczną walkę z lichwą, dostarczając rolnikowi taniego i do-

godnego kredytu, umożliwiającego podniesienie produkcji. W miastach dogodny kredyt umożliwił rzemiosłom ulepszanie i rozwijanie warsztatów.

Była spółdzielczość równocześnie wielką ostoją życia narodowego. Uwydatniało się to ze szczególną siłą w Wielkopolsce, gdzie systematycznej, celowej a nieubłaganej walce germanizmu z polskością spółdzielczość przeciwstawiała doskonale wyszkolone i karne kadry, broniące życia narodowego od zakusów eksterminacyjnych.

Wyrazem uznania dla spółdzielczości polskiej i dla zdolności organizacyjnych społeczeństwa polskiego było znane dzieło Bernharda, charakteryzujące ruch kooperatywny w Wielkopolsce, kierowany potężną ręką księdza Wawrzyniaka, jako niezwalczoną zaporę dla zamierzeń rządu pruskiego.

Równie doniosłe znaczenie posiadał ruch spółdzielczy w b. zaborze rosyjskim.

Spółdzielczość rounicza docierała do najszerszych warstw rolniczych, pobudzając je do pracy zbiorowej, krzewiąc elementarne wiadomości z dziedziny rolnictwa, stojącego na niesłychanie niskim poziomie.

Spółdzielczość spożywcza obejmowała szerokie warstwy robotnicze i drobno-mieszczańskie, budząc w nich idee solidarności społecznej i uświadomienia narodowego.

Po rewolucji 1905 i 1906 roku, dzięki zniesieniu ograniczeń, uniemożliwiających przedtem zakładanie stowarzyszeń, spółdzielczość rozwijać się zaczęła szybko na terenie b. zaboru rosyjskiego, starając się zbliżyć w swoim rodzaju do doskonale działającego już od szeregu lat ruchu spółdzielczego na terenie pozostałych dwóch zaborów.

Dalecy jesteśmy od zamiaru kreślenia szczegółowego obrazu spółdzielczości na ziemiach polskich, ograniczamy się jedynie do podania ważniejszych cyfr. Podług Krzyżanowskiego i Kumanieckiego („Statystyka Polski", rok 1915, str. 233—239), cyfry te przedstawiały się, jak następuje:

W 1912 r., a więc po 6 latach od chwili wydania prawa o stowarzyszeniach, było w b. Kongresówce: 250 spółdzielni spożywczych z 36.000 członków i 845.000 rbl. kapitałów własn., 704 spółdzielni kredytowych z 473.000 członków i 15.000.000 rbl. kapitałów własn.

Spółdzielnie te udzieliły pożyczek w sumie 63 miljonów rubli.

W tymże roku w b. Galicji: 260 kas Schultze-Delitscha z 362.000 człon., 60 milj. kor. kap. własn. i 255 milj. udzielonych pożyczek, 1.430 kas Reiffeisena z 300.000 człon., 6 milj. kor. kap. własn. i 73 milj. udzielonych pożyczek.

W b. zaborze pruskim było w 1912 r.: 60 spółdzielni roln. handl. z 8.000 człon. i 1.700.000 mk. kapitał. własnych, 200 spółdzielni kredytowych z 122.000 człon., 35 milj. kapit. własn. i 255 milj. udzielonych pożyczek.

Wybuch wojny wstrząsnął podstawami młodej stosunkowo spółdzielczości polskiej, zabrakło ludzi, na których ruch spółdzielczy się opierał. Instytucje popadły w zupełną martwotę, zanik normalnego handlu, zupełne rozbicie życia gospodarczego postawiły ruch spółdzielczy na skraju przepaści. Szczególnie dotkliwie odczuła to spółdzielczość kredytowa. Wkłady i oszczędności członków zostały całkowicie zniszczone przez inflację, podkopując ideę oszczędności, zanikały pojęcia etyki i uczciwości kupieckiej, działalność handlowa była uniemożliwiona. Państwo ujmowało w swoje ręce różne dziedziny życia gospodarczego, stosując szereg ograniczeń, wykluczających normalną działalność handlu.

Mimo te wyjątkowo ciężkie warunki spółdzielczość powoli dźwigała się z upadku, dzięki wysiłkom szeregu ludzi, poświęcających się z całem zaparciem się pracy spółdzielczej. Praca ta doznawała poparcia sfer rządowych, które rozumiały jej doniosłość.

Reformy walutowe, ustalenie i wprowadzenie złotego pozwliło wznowić działalność spółek kredytowych. Rów-

nocześnie spółdzielnie rolniczo-handlowe znalazły się w możności wznawiania swojej działalności. Rolnictwo poczynało dźwigać się ze zniszczeń wojennych, czyniąc pewne nakłady, nabywając nawozy sztuczne i narzędzia, stwarzając pewien ruch w handlu rolniczym. Ale i w tym okresie budzącego się ponownie życia doznała spółdzielczość polska silnego wstrząśnienia wskutek załamania się złotego w 1925 r.

W szczególnie ciężkiem położeniu znalazły się spółdzielnie rolniczo-handlowe. Miały one poważne zobowiązania w walutach zagranicznych, a należności od klientów były przeważnie w złotych polskich.

Ponowne zachwianie się wiary w trwałość złotego wpłynęło również fatalnie na budzącą się ideę oszczędności. Powracające powoli i lękliwie do spółdzielni kredytowych wkłady uległy znów pewnemu zatamowaniu; ale kraj, który tyle składał dowodów żywotności, mimo to wszystko szybko powrócił do normalnego stanu i organizacje spółdzielcze rozwinęły ożywioną działalność. Charakteryzują ją następujące cyfry, dotyczące spółdzielni, objętych sprawozdaniami Zjednoczenia i Unji:

Spółdzielnie	Rok	Liczba Stowarzyszeń	Liczba Członków	Fundusze własne
Rolniczo-handlowe . . .	1925	227	115.000	Zł. 6.400.000
„	1927	280	88.000	„ 10.800.000
Spożywcze . .	1925	990	645.000	„ 10.000.000
„	1928	937	565.000	„ 17.000.000
	Danych z okresu inflancji nie podajemy.			
Kredytowe . .	1925	1.980	520.000	„ 18.000.000
		Udzielono pożyczek 56.400.000		
„	1928	2.920	1.000.000	„ 62.500.000
		Udzielono pożyczek 281.000.000		

Straty, których doznały organizacje spółdzielcze po załamaniu się złotego, były tak ciężkie, że konieczną była pomoc z zewnątrz, by umożliwić im dalszą pracę.

W zrozumieniu doniosłości istnienia zdrowej spółdzielczości, rząd przyszedł z wydatną pomocą najbardziej zagrożonym w swoim bycie instytucjom. Spółdzielnie rolniczo-handlowe otrzymały za pośrednictwem Państwowego Banku Rolnego specjalny kredyt sanacyjny, który między innemi wynosił dla instytucji, obsługiwanych przez Centralną Kasę Spółek Rolniczych, 6,5 miljona złotych. Dzięki tej pomocy mogły spółdzielnie rolniczo-handlowe utrzymać się przy życiu.

Rok 1927 i 28 dał rolnictwu pomyślną konjunkturę. Ceny zbóż i innych ziemiopłodów podniosły się poważnie, w całem życiu gospodarczem nastąpiła widoczna poprawa. Wraz z nią wzrosło zapotrzebowanie rolnictwa na różne artykuły, przedewszystkiem na nawozy sztuczne, będące podstawą obrotu spółdzielni rolniczo-handlowych.

ZUŻYTO NAWOZÓW SZTUCZNYCH W TONNACH:

Rok	Nawozów fosforowych krajowych	Nawozów azotowych	Nawozów potasowych krajowych
1925	250.000	84.000	179.000
1926	250.000	116.000	207.000
1927	330.000	143.000	276.000
1928	345.000	154.000	345.000
1929	360.000	170.000	390.000

Znacznie zwiększone obroty spółdzielni rolniczo-handlowych pozwoliły im zamknąć pomyślnie swe bilanse w 1927 i 28 r.

Osiągnięte w tym okresie zyski pozwoliły na pokrycie części strat lat poprzednich. Równocześnie jednak zwiększonym obrotom towarzyszyło i zwiększone zapotrzebo-

wanie kredytu ze strony rolników, którzy nabywali potrzebne im artykuły wyłącznie prawie na kredyt wekslowy. Większość rolników była już poważnie zadłużona wskutek ciężkiej sytuacji lat poprzednich, zobowiązania mogły więc być tylko częściowo i bardzo powoli regulowane. Przy zwiększonych obrotach zadłużenie rolników w spółdzielniach rolniczo-handlowych wzrosło poważnie. W tych warunkach w drugiej połowie 1929 r. były spółdzielnie rolniczo-handlowe znacznie więcej zaangażowane kredytowo, niż w latach poprzednich; przy wzroście aktywów wzrosły też znacznie i zobowiązania.

Tymczasem nastąpił gwałtowny spadek cen na ziemiopłody, krzyżując wszelkie plany i przewidywania, stwarzając nadzwyczaj trudne położenie dla rolnictwa i niezwykle ciężką sytuację dla spółdzielni rolniczo-handlowych.

W tej niezmiernie krytycznej sytuacji ponowna pomoc państwowa stała się konieczną, by umożliwić spółdzielniom przetrwanie ciężkiego okresu i spełnienia doniosłych zadań, jakie mają przed sobą.

Wobec anarchji, panującej w handlu rolniczym, a w szczególności w handlu zbożowym, spółdzielnie rolniczo-handlowe są ogniwem niezmiernie ważnem przedewszystkiem w zakresie uzdrowienia panujących obecnie, wysoce anormalnych stosunków.

W ciężkiej sytuacji znalazła się również spółdzielczość pieniężna. Jak to zaznaczyliśmy na wstępie, wkłady stowarzyszeń spółdzielczych zostały przez wojnę całkowicie zniszczone, zubożenie zaś wsi zwiększyło wielokrotnie potrzeby kredytowe rolnictwa. Odbudowanie warsztatów pracy, zaopatrzenie się w niezbędne inwentarze i t. p., zmusiły rolnika do posiłkowania się kredytem, nie bacząc na niezwykle ciężkie tegoż warunki.

W ostatnich latach przedwojennych lichwa zniknęła prawie całkowicie z życia wiejskiego. Zapomniano o niej od szeregu lat w b. zaborze pruskim. Dzięki wytężonej akcji kas Stefczyka pokonano lichwę całkowicie prawie

w b. Galicji, a w b. zaborze rosyjskim wypadki lichwy na wsi należały już do wyjątków.

W ostatnich latach jesteśmy ponownie świadkami istnej orgji, która przybiera miejscami zatrważające rozmiary, rujnując rolnictwo i podkopując wytwórczość.

Stopa 5% miesięcznie i wyżej nie jest bynajmniej wyjątkową. Walka z tem złem jest niezmiernie trudną, wobec nadzwyczajnej szczupłości środków pieniężnych. Przy znikomych wpływach spółdzielczość nie mogła się oprzeć na własnych siłach, i znów odwoływać się musiała do pomocy państwa, które z pomocą tą przyszło za pośrednictwem Banku Rolnego.

Kredyty, udzielane przez tę instytucję spółdzielniom kredytowym, wzrastały dość szybko, dochodząc w końcu 1929 roku do 40 miljonów zł.

Akcja ta, mimo nader skromnych rozmiarów, przyczyniła się jednak do złagodzenia w niektórych okolicach zabójczych skutków lichwy i dopomogła rolnictwu do dźwignięcia się z upadku, ale i tu poprawa, jaka się uwydatniła w 1927-28 r., wstrzymaną została przez wspomniane wyżej załamanie się cen i trudności płatnicze, w które popadli rolnicy.

Trudności te były tem większe, że przy wielkiej szczupłości środków i zupełnym braku kredytu długoterminowego rolnicy zmuszeni byli opierać konieczne inwestycje na kredycie krótkoterminowym, którego regulowanie we właściwym terminie stawało się niemożliwem.

Obecne położenie spółdzielczości wymagać będzie przez czas pewien pomocy państwowej. Musi ona być ujętą w formę, któraby pozwoliła organizacjom spółdzielczym wzmocnić się tak, aby mogły jaknajrychlej iść o własnych siłach. Do tego niezbędnem jest, aby zachowały one zupełną samodzielność i całkowite poczucie odpowiedzialności, na których opierać się musi praca zbiorowa.

Nie będziemy tu zatrzymywali się nad doniosłemi zadaniami, jakie ma przed sobą spółdzielczość rolnicza, tak

w kierunku uporządkowania handlu rolniczego, wytwórczości rolniczej, szczególniej w dziedzinie mleczarstwa, jak i całej wielkiej dziedzinie gromadzenia oszczędności, składanych przez rolnictwo i umiejętnego obracania ich na wzmożenie i ulepszenie wytwórczości rolniczej. By należycie spełnić te zadania, musi spółdzielczość mieć pozostawioną sobie zupełną swobodę działania i inicjatywy, módz stosować się do wymagań życia, uwzględniając właściwości terenu, na którym działalność swą rozwija.

Gdy państwo interwenjuje w jakiejś dziedzinie życia, to zachodzi zawsze obawa, że interwencji tej towarzyszą pewne, zgóry określone wymagania i wskazania, teoretycznie może uzasadnione, ale stwarzające formy, uniemożliwiające przystosowanie akcji do różnorodnych lokalnych warunków, nie dających się podciągnąć pod jeden strychulec.

Należy jak najpilniej baczyć, aby przejściowa tylko pomoc państwwa nie krępowała spółdzielczości i nie zmuszała jej do metod pracy, któreby w przyszłości ujemnie wpłynąć musiały na dalszy jej rozwój.

Pomoc kredytowa, udzielana spółdzielniom przez państwo za pośrednictwem Banku Rolnego, ma przeważnie ściśle określone przeznaczenie. Udziela się kredytu na zasiewy, na zakup inwentarza, drzewka owocowe i t. p. Rzeczą jest zrozumiałą, że w niektórych wyjątkowych wypadkach państwo udziela pomocy kredytowej na jakiś specjalny cel, szczególnie ważny pod kątem widzenia interesu państwa, jak np. w okresie powojennym na dokonanie zasiewów, gdy wielkie przestrzenie leżały odłogiem, lub w wypadkach, gdy kredyt ma charakter pomocy dla złagodzenia skutków klęski żywiołowej i t. p.

W większości wypadków jednak rozdzielanie nader skromnych kwot, jakie rząd obrócić może na potrzeby rolnictwa, na szereg zgóry określonych celów, przedstawia wielkie niedogodności, zmusza do uciekania się do fikcji, krępuje swobodę ruchów.

Rolnik, gwałtownie potrzebujący kredytu na ogólne

potrzeby swego warsztatu, nie cofnie się przed przyjęciem zobowiązania, fikcyjnego nawet, by warsztat uchronić od upadku.

W obecnym stanie rzeczy należałoby stanowczo zaniechać krępujących formułek i pozostawić samym spółdzielniom określenie sposobu zużytkowania kredytu. O wyniku gospodarczym kredytu decyduje przedewszystkiem trafna ocena uzdolnienia jednostki do należytego produkcyjnego wykorzystania zaciągniętej pożyczki.

Jeśli dążyć musimy do stworzenia warunków, przy których spółdzielnie mogłyby iść o własnych siłach, to należy im umożliwić tworzenie własnych środków obrotowych. Poważną ku temu przeszkodą są obowiązujące obecnie przepisy, określające maksimum dozwolonych procentów. Przy niezmiernej trudności zdobycia kredytu, przy panoszącej się lichwie, należy dokonać jaknajwiększych wysiłków, by skupić w spółdzielniach kredytowych oszczędności i skromne środki, jakiemi niekiedy rozporządzają mieszkańcy.

Organizacjom centralnym, związkom, pozostawić należy określanie granic % płaconych od wkładów, jak i pobieranych od pożyczek.

Przy niezmiernie nikłych obrotach niewielkich kas spółdzielczych, należy im dać możonść osiągania skromnych zysków, tworzenia rezerw i zwiększenia własnych środków obrotowych. Różnica między stopą %, jaką zaciągający pożyczkę, płaci w kasie spółdzielczej, a jaką płacić musi za prywatną pożyczkę, jest tak wielka, że minimalne podniesienie stopy procentowej w kasach spółdzielczych nie gra roli. Natomiast nader ważnem jest, aby kasy spółdzielcze, oparte na nieograniczonej odpowiedzialności swych członków, miały rezerwy, umożliwiające im pokrycie jakichś nieoczekiwanych strat, bez pociągania członków swych do dopłat. Jest to ostateczność, podkopująca ideę spółdzielczości, której za wszelką cenę unikać należy. O tem zapomina się niekiedy i dla niezmiernie drobnych doraźnych

korzyści członków zaniedbuje się tworzenie rezerw, narażając na szwank byt instytucji spółdzielczych.

Pozostawienie spółdzielniom kredytowym swobody w tym względzie jest sprawą dużego znaczenia. Organizacjom centralnym i patronackim pozostawić należy troskę o czuwanie nad normalnem załatwianiem tych spraw.

W interesie uzdrowienia handlu rolniczego leży wzmocnienie się spółdzielni rolniczo-handlowych. Nawozy sztuczne stanowią jeden z najważniejszych artykułów w obrotach spółdzielni.

Obroty te zostały poważnie uszczuplone przez ujęcie handlu nawozami przez Państwowy Bank Rolny, a nawet i niektóre kasy pożyczkowe gminne. Wkraczanie instytucji państwowych w dziedzinę handlu rolniczego, z uszczerbkiem dla instytucji spółdzielczych, opierających byt swój na tym handlu, jest zjawiskiem niepożądanem, które jaknajrychlej ustać powinno.

Szczególnie ważnym dla rozwoju spółdzielczości kredytowej jest stosunek państwa do komunalnych kas pożyczkowo-oszczędnościowych.

Dalecy od zbytnich uogólnień, stwierdzić jednak musimy w licznych wypadkach, że komunalne instytucje kredytowe cieszą się szczególnem poparciem różnych organów państwowych. Poparcie to wyraża się niekiedy w jawnie nieprzychylnem stanowisku, względem kas spółdzielczych.

Nie chcemy bynajmniej umniejszać znaczenia i pożytku komunalnych kas pożyczkowych. Mają one ważne zadania do spełnienia, ale musimy sobie jasno powiedzieć, że nie są one i nie będą w stanie zastąpić kas spółdzielczych.

Zamiast szkodliwej walki, przybierającej niekiedy przykre formy, ważniejszem jest należyte rozgraniczenie zakresu pracy. Prócz obsługi przedsięwzięć komunalnych, powinny kasy oszczędnościowe powiatowe, miejskie i gminne zaspakajać przedewszystkiem potrzeby kredytu dłuższego, inwestycyjnego. Mają one większe dane, niż organizacje spółdzielcze, by zdobyć wkłady na dłuższe terminy,

podczas gdy spółdzielnie kredytowe operować powinny w dziale kredytu krótkoterminowego, służącego wytwórczości w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Przy obecnym kryzysie i niemożności rolnika regulowania odrazu zaciągniętych w ostatnich latach zobowiązań, zachodzi konieczność rozłożenia na lat kilka spłat krótkoterminowych pożyczek.

Musi być również dana organizacjom spółdzielczym możność udzielania pożyczek na lat kilka. Jest to jednak stan przejściowy, po którym odzyska dawne swe znaczenie kredyt 6—12 miesięczny, oparty nie na wekslach, a na skryptach dłużnych.

W miarę utrwalania się podstaw naszego życia gospodarczego spółdzielczość powracać będzie do równowagi i zdobywać będzie coraz większe znaczenie. Stanie się ona, jak i przed wojną, potężnem ogniwem w ustroju gospodarczym i w miarę wzrastającej zamożności gromadzić będzie środki, umożliwiające realizację różnych zamierzeń, dziś niewykonalnych.

Instytucje państwowe, ani samorządowe nigdy spółdzielczości zastąpić nie będą w stanie.

Jeśli państwo ponosi dziś pewne ciężary, by podtrzymać spółdzielczość, wytrąconą z równowagi, to czynić to powinno z tą świadomością, że okazana obecnie pomoc da w wyniku państwu poważne korzyści, o ile spółdzielczość w tym przejściowym a ciężkim okresie zachowa swą samodzielność, swobodę działania i nadal opierać się będzie na zastępach pracowników, oddanych idei, posiadających twórczą inicjatywę i niezależność.

Antoni Wieniawski.

PATRJARCHA TICHON I ZAŁAMANIE SIĘ PRAWOSŁAWIA W ROSJI.

Od chwili wybuchu rewolucji bolszewickiej dzieje prawosławia rosyjskiego przeszły na tory całkiem nowe. Walka bolszewików z cerkwią prawosławną, prowadzona intensywnie aż do chwili obecnej, spowodowała rozbicie i upadek prawosławia, analogiczny z upadkiem ustroju carskiego. Dzisiejsze prawosławie, to już nie organizacja, lecz rumowisko, nad którem unosi się magni nominis umbra — cień wspomnień jeszcze nie tak dawnej potęgi.

Do tak poważnego zjawiska nie możemy się odnieść powierzchownie. Musimy zajrzeć głębiej, czyli postarać się je ująć z perspektywy historycznej, aby tem samem zdać sobie sprawę z tych możliwości, jakie bliższa czy dalsza przyszłość ujawni. Chodzi tu nie tyle o proces obecny, który żywiołowo zmierza, w nieubłaganej konsekwencji, do całkowitej likwidacji prawosławia i na który nikt nie potrafi wywrzeć jakiegokolwiek wpływu, lecz o przyszłość, która i dla Polski nie może być obojętną.

O prawosławiu w Rosji cała prawie opinja polska wie tyle, ile dzienniki dostarczają w swych wiadomościach. Pod tym względem żyjemy przeszłością, wypełnioną w dodatku wiadomościami zbyt powierzchownemi. Nasycani jesteśmy codziennie komunikatami o prześladowaniu religji, względnie prawosławia w Rosji, a nikt ani słowa nie mówi o tem, że, jakkolwiek istnieje tam nawet bardzo ostre prześladowanie, to już prawosławie w Rosji samo zamiera i ginie. W rozkładowym procesie prawosławia w Ro-

sji bolszewicy odegrali tylko rolę czynnika podrzędnego, rolę brutala, nie mającego jednak ani zdolności, ani siły do walki ideologicznej, do walki o zasady; bolszewicy potrafili tylko zdobyć się na podstęp, fałsz, kłamstwo i przemoc, lecz mało kto wie, że właśnie sama cerkiew nie potrafiła przeciwstawić się złemu, a to dlatego, że już nie miała siły. Ta niemoc prawosławia nie była przypadkową. Była ona stałą chorobą tego organizmu już od czasów dawnych. Jeśli ta choroba nie była zbyt widzialną, zawdzięcza to cerkiew swojemu opiekunowi — caratowi, który swą siłą w przeciągu stuleci wspierał jej wątłą istotę, wyjałowiałą i pozbawioną ducha.

Nic też dziwnego, że skoro runął carat, musiała również runąć i cerkiew — z braku stanu posiadania moralnego.

Zdawało się wszystkim, że osoba patrjarchy Tichona będzie dostateczną gwarancją dla cerkwi, a nawet dla całego kraju, aby go wyprowadzić z anarchji. Stało się jednak inaczej. Wbrew najśmielszym przypuszczeniom, bolszewicy nietylko owładnęli całym krajem, lecz wprowadzili niesłychany zamęt i do łona samej cerkwi i co gorzej, użyli osobę patrjarchy jako narzędzia do poważnego załamania prawosławia, stanowiącego w jego nowszej historji smutny okres powolnej agonji.

W szkicu niniejszym uwidocznimy ważny moment historyczny pierwszego i ciężkiego załamania się prawosławia, spowodowanego przez samego patrjarchę. Niedoceniając sił wroga i kierując się zbytnią ambicją swej potęgi i autorytetu, patrjarcha nie potrafił utrzymać się na wysokości zadania i dał się uwikłać w podstępne sidła bolszewickie.

Poruszając zagadnienie tak wielkiej miary, wzbogacone zresztą wspomnieniami osobistego zetknięcia się mego z patrjarchą Tichonem w tym okresie krytycznym, sądzę, że ten drobny przyczynek do nowoczesnych dziejów Rosji pozwoli nam urobić sobie pewną perspektywę przyszłości.

Usunięcie patrjarchy Tichona z widowni publicznej było dla rządu sowieckiego niezbędnem z wielorakich przyczyn politycznych.

Przedewszystkiem w prawosławiu, z patrjarchą Tichonem na czele, sowiety zasadniczo upatrywały przedstawiciela wrogiego im obozu kontrrewolucyjnego, a w szczególności monarchistycznego.

Za najskuteczniejszy środek do obalenia prawosławia uważali bolszewicy usunięcie patrjarchy z widowni publicznej i szerokie poparcie ruchu antyprawosławnego, wywołanego przez nowatorów, jako czynnika, rujnującego ustrój i dotychczasową spoistość prawosławia.

Nie znaczy to bynajmniej, aby tem samem popierali bolszewicy i te idee, które za ich wiedzą szerzyli nowatorzy, czyli tak zwani „obnowleńcy", dokonując przemocą reformy prawosławia. Owszem, bolszewicy i w tym wypadku otoczyli nowatorów wielką pieczołowitością jedynie tylko po to, aby ich działalność służyła wyłącznie celom polityki sowieckiej w walce z prawosławiem i aby nowatorzy przy tej okazji nie wzmocnili w czemkolwiek swojej pozycji wyznaniowej i politycznej.

Jak dalece sięgało poparcie i czuwanie bolszewickie nad ruchem antyprawosławnym, wskazuje na to zwołanie w początkach maja 1923 r., pod protektoratem sowieckim, soboru nowatorskiego („Wtoroj Wsierossijskij Pomiestnyj Sobor Rossijskoj Prawosławnoj Cerkwi"), rzekomo mającego związek bezpośredni z pierwszym, odbytym w Moskwie w roku 1917.

Sobór zwołany został pod hasłem przeprowadzenia reformy prawosławia. Faktycznie zaś celem tego soboru było nietylko rozbicie prawosławia, lecz i publiczne potępienie patrjarchy i pozbawienie go stanowiska patrjarszego oraz wogóle wszelkiego autorytetu w oczach ludu prawosławnego.

Znaczenie więc tego soboru nowatorskiego należy rozpatrywać jedynie w świetle polityki bolszewickiej, która

stworzyła i użyła go jako przypadkowe narzędzie do rozbicia prawosławia.

Pomijając obszerniejsze wyjaśnienie okoliczności, towarzyszących powstaniu i przebiegu tego soboru, ograniczymy się tylko do stwierdzenia faktu, że idea odbycia i zwołania soboru powstała wyłącznie w związku z pilną dla bolszewików sprawą usunięcia patrjarchy Tichona z widowni świata prawosławnego.

Przewidując możliwość poważnych rozruchów w razie, gdyby władza sowiecka bezpośrednio przystąpiła do likwidowania patrjarchatu, bolszewicy zdecydowali wyręczyć się działalnością nowatorów przez odbycie soboru, którego porządek obrad został ustalony w rządzących sferach sowieckich i przewidywał nietylko osądzenie patrjarchy i potępienie jego działalności, lecz nawet pozbawienie go stanu duchownego.

Tem się więc tłómaczy owe szerokie poparcie nowatorskiego ruchu religijnego przez bolszewików, którzy wykorzystali istniejące oddawna wśród kleru prawosławnego tendencje reformatorskie celem przeniesienia ciężaru walki z patrjarchą z forum świeckiego na duchowne, gdzie łatwiej da się usprawiedliwić wyrok, jako pochodzący bezpośrednio z rzekomych źródeł kanonicznych i wogóle cierkiewnych.

Z niemniejszą starannością postąpili bolszewicy w merytorycznej sprawie przestępstw patrjarchy Tichona. Aby usunąć pozory jakiejś antypatji czy zemsty, nowatorzy cerkiewni, pod dyktandem bolszewickiem, postawili patrjarsze szereg zarzutów, stwierdzających jego winę i rzekome rozbicie jedności prawosławia. W tym celu wyliczają mu wszystkie ważniejsze przestępstwa, poczynając od rzucenia klątwy na bolszewików podczas przewrotu listopadowego. Osobliwy zaś nacisk kładą na sprzeciw patrjarchy w sprawie niewydania kosztowności cerkiewnych na rzecz głodnych i na jego stosunek z kontrrewolucjonistami w kraju i zagranicą, co się przyczyniło do przedłużenia wojny domowej i niepowodzenia w polityce zagranicznej.

Gdy już sprawa patrjarchy została „rozwiązaną“ na odbytym w początku r. 1923 soborze nowatorów, którzy potępili i pozbawili Tichona stanu duchownego, wtedy bolszewicy, uważając patrjarchę jako osobę świecką, wytoczyli mu proces karny, pozbawiając go uprzednio wolności przez zastosowanie narazie aresztu domowego w klasztorze Dońskim, gdzie zamieszkiwał.

Gdyby nie ingerencja dyplomacji zachodniej, przebieg procesu Tichona skończyłby się najprawdopodobniej rozstrzelaniem patrjarchy, jako postulatem t. zw. „rewolucyjnego sumienia proletarjackiego“.

Przemawiał za tem nietylko sam charakter procesu, lecz i agitacja bolszewicka, tembardziej, że ta przygotowywała z jednej strony grunt i podstawę w obałamuconej opinji społecznej do przyznania słuszności ewentualnemu wyrokowi, z drugiej do pogodzenia się z samą konsekwencją procesu.

Przeszkadzał w tem rozpoczęty w tymże czasie proces duchowieństwa katolickiego, który na sprawę Tichona wpłynął bodaj decydująco. Zatarg bowiem z Anglją, powstały na tle sprawy ks. arcybiskupa Cieplaka i ks. prałata Budkiewicza, był tak niepomyślny dla sowietów, że spowodował wielkie kolizje polityczne, dzięki czemu stosunki wzajemne doszły do największego naprężenia. Anglja, wystawiając szereg warunków politycznych, również i w sprawie religijnej domagała się zaprzestania prześladowań i zwolnienia patrjarchy Tichona.

Widząc niebezpieczeństwo w układzie stosunków zewnętrznych i dla zażegnania międzynarodowych zawikłań politycznych, bolszewicy poszli na wszelkie ustępstwa i zmuszeni byli zadość uczynić wymaganiom Anglji i zwolnić patrjarchę Tichona z więzienia.

Z chwilą, gdy dyplomacja angielska w osobie lorda Cursona wystąpiła z notą do bolszewików w sprawie patrjarchy Tichona, bolszewicy w odpowiedzi na notę zmie-

nili miejsce aresztu patrjarchy. Do tego czasu więzili go w monasterze Dońskim, gdzie podczas aresztu korzystał z pewnej wolności (?), np. otrzymywał prasę sowiecką!!! Z chwilą zaś pojawienia się pierwszej noty dyplomatycznej, bolszewicy umieścili patrjarchę w czerezwyczajce (GPU), gdzie został absolutnie izolowany od świata zewnętrznego.

W tym czasie prasa sowiecka, aczkolwiek in extenso podawała noty angielskie, jednak wśród mnóstwa artykułów hałaśliwych tekst tych not nie robił na czytelnikach wielkiego wrażenia. Znowuż z drugiej strony, o ile chodziło o kwestję patrjarchy, to i w tym wypadku bolszewicy potrafili oddziaływać na opinję społeczną. Tak np. w oficjalnym organie „Izwiestja", w odpowiedzi na notę angielską, umieścili bolszewicy odezwę do „braci muzułmanów", gdzie rzekomi muzułmanie oświadczyli, że po przeczytaniu noty angielskiej, wystosowanej do rządu sowieckiego, zostali bardzo zdziwieni i zaniepokojeni jej treścią dlatego, iż rząd angielski, uciskający i znęcający się nad muzułmanami i nad religją islamu, ośmiela się posądzać władzę sowiecką o prześladowanie wiary i wyznań religijnych, oraz, że jakoby ze strony władzy sowieckiej miało miejsce pociągnięcie do odpowiedzialności niektórych przedstawicieli duchowieństwa prawosławnego i oddania pod sąd patrjarchy cerkwi prawosławnej. Widząc w dążności władzy sowieckiej humanitarną akcję ratowania głodnych, „Zarząd Duchowny Muzułmanów" uznaje za najzupełniej słuszne postępowanie władzy sowieckiej przeciwko opornym i ogłasza całemu światu muzułmańskiemu, że posądzenie rządu sowieckiego przez dyplomację angielską jest kłamstwem i zarazem pogróżką rządu angielskiego przeciwko „obrońcom" masy uciśnionej. To też odezwa kończy się oświadczeniem, że 400-miljonowe muzułmaństwo całego świata winno okazać pełne poparcie dla władzy sowieckiej.

Stawiając znak zapytania co do pochodzenia powyższej odezwy, w każdym bądź razie bez żadnych zastrzeżeń można stwierdzić, że jest ona niczem więcej, jak tylko wy-

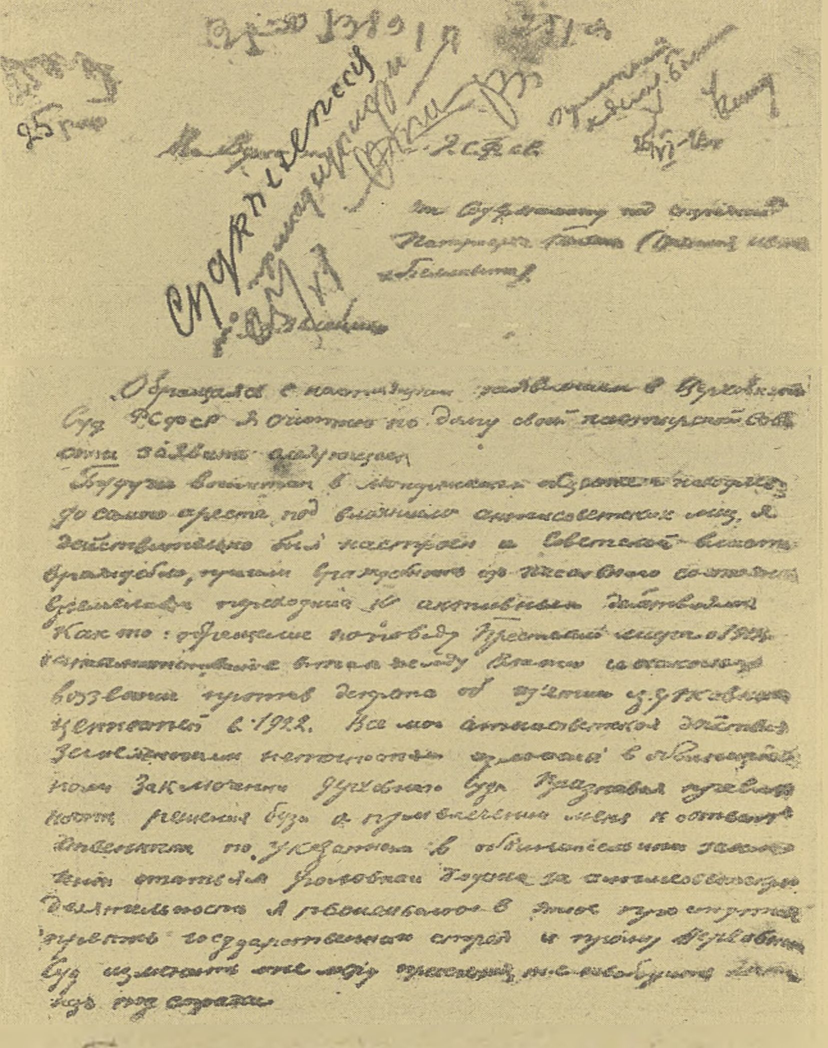


PATRJARCHA TICHON

(ostatni po stronie prawej)

stoi na tronie w otoczeniu wyższych dostojników cerkiewnych podczas celebry pontyfikalnej w dn. 1/VI — 1923 r., odbytej po wypuszczeniu go z czrezwyczajki.

(Fotogr. autor).



В Верховный Суд Р.С.Ф.С.Р.

от содержащегося под стражей Патриарха Тихона (Василия Ивановича Беллавина)

Обращаясь с настоящим заявлением в Верховный Суд РСФСР я считаю по долгу своей пастырской совести заявить следующее:

Будучи воспитан в монархическом обществе и находясь до самого ареста под влиянием антисоветских лиц, я действительно был настроен к Советской власти враждебно, причем враждебность из пассивного состояния временами переходила к активным действиям. Как то: обращение по поводу Брестского мира в 1918 г., анафематствование в том же году власти и наконец воззвание против декрета об изъятии церковных ценностей в 1922 г. Все мои антисоветские действия за немногими неточностями изложены в обвинительном заключении Верховного Суда. Признавая правильность решения Суда о привлечении меня к ответственности по указанным в обвинительном заключении статьям уголовного кодекса за антисоветскую деятельность, я раскаиваюсь в этих проступках против государственного строя и прошу Верховный Суд изменить мне меру пресечения, т.е. освободить меня из под стражи.

При этом я заявляю Верховному Суду, что я отныне Советской власти не враг. Я окончательно и решительно отмежевываюсь как от зарубежной, так и внутренней монархическо-белогвардейской контрреволюции.

16 июня 1923 г. Патриарх Тихон (Василий Беллавин)

Historyczny autograf oryginału „skruchy“ Patrjarchy Tichona przed bolszewikami, przepisany własnoręcznie i dobrowolnie przez Patrjarchę w czerezwyczajce według tekstu, przedłożonego przez bolszewików, „obiecujących wolność“. Bolszewicy byli bardzo dumni z posiadania tak niezwykłego dokumentu historycznego, który wykorzystali jako dowód przeciwko sceptykom, niewierzącym w możliwość jego istnienia. Zamieszczając autograf ten w prasie (Izwiestija 1.VII 1923, Nr. 143 (1832), bolszewicy w szeregu artykułów usiłowali, wbrew rzeczywistości, podkreślać jego doniosłość, nazywając go aktem „na czasie“ i „mądrym“. Ciekawym jest szczegół, że akt ten pisany jest nową pisownią bolszewicką, której Patrjarcha nigdy nie używał do tego czasu, jak też i później — praktykując stare zasady pisowni języka rosyjskiego.

razem misternej taktyki sowieckiej, zawsze chętnie stosującej podstępne sposoby działania.

W chwili wypuszczenia patrjarchy na wolność, co miało miejsce dnia 27 czerwca 1923 roku, w prasie oficjalnej tegoż dnia został ogłoszony komunikat pod tytułem „Uchwała Sądu Najwyższego zwolnienia Bazyljusza Bieławina (byłego patrjarchy Tichona)“.

Tam czytamy co następuje: „16 czerwca Tichon skierował do sądu najwyższego oświadczenie tej treści:

„Zwracając się niniejszem do sądu najwyższego RSFSR, z obowiązku mego sumienia pasterskiego uważam za konieczne oznajmić, co następuje:

„Będąc wychowanym w środowisku monarchistycznem i znajdując się do chwili aresztu pod wpływem osób antysowieckich, rzeczywiście byłem wrogo usposobiony do władzy sowieckiej, przyczem nieprzyjaźń ta ze stanu biernego przechodziła nieraz do wystąpień aktywnych, w postaci odezwy z powodu pokoju brzeskiego w r. 1918, anatematyzowania władzy w tymże roku i wreszcie przez wydanie odezwy przeciwko dekretowi o konfiskacie kosztowności cerkiewnych w r. 1922. Wszystkie moje występki antysowieckie, za nielicznemi nieścisłościami, są wyłożone w akcie oskarżenia sądu najwyższego. Uznając słuszność uchwały sądu o pociągnięciu mnie do odpowiedzialności, zgodnie ze wskazanymi w akcie oskarżenia artykułami kodeksu karnego, za działalność antysowiecką, wyznaję moją winę w tych przestępstwach przeciwko ustrojowi państwowemu i proszę sąd najwyższy zmienić środek zapobiegawczy, t. j. zwolnić mię z pod straży. Jednocześnie oświadczam sądowi najwyższemu, że odtąd nie jestem już wrogiem dla władzy sowieckiej i z tego powodu stanowczo odseparowuję się od działalności tak zagranicznej, jak i wewnętrznej kontrrewolucji monarchistyczno-białogwardyjskiej.

16 czerwca 1923 roku. (—) Podpis: Patrjarcha Tichon (Bazyli Bieławin)“.

W odpowiedzi na to podanie nastąpiła decyzja kolegjum sądowego dla spraw karnych przy sądzie najwyższym (prezes Karklin, członkowie Gałkin i Czeljanow) z dnia 25 czerwca 1923 roku, by uwzględnić prośbę „obywatela Bieławina“ i na mocy art. 161 i 242 kodeksu karnego znieść środek zapobiegawczy [1]).

Umieszczony w prasie dokument wywołał wśród ogółu prawosławnych podejrzenie, co do jego autentyczności, na co niebawem „Izwiestija“ odpowiedziały reprodukcją dokumentu.

Nazajutrz po zwolnieniu patrjarchy, ukazał się w prasie dźwięczny artykuł pod tytułem: „Zdemaskowanie oszczerców“, który warto tu przytoczyć in extenso.

Przyznanie się Tichona do jego działalności kontrrewolucyjnej nie jest, zdaniem autora tego artykułu, wymysłem, lecz faktem, a tem samem potwierdza się i kontakt Tichona z zagraniczną kliką obywatelsko-kapitalistyczną w sprawie świadomego dążenia patrjarchy do przywrócenia starej władzy drogą anatematyzowania władzy robotniczo-włościańskiej, drogą podtrzymywania białogwardzistów wewnętrznych i zagranicznych i drogą przeciwdziałania dekretom władzy sowieckiej.

Były patrjarcha miał służyć za narzędzie w ręku międzynarodowej prasy kapitalistycznej dla „świętego pochodu krzyżowego“ przeciwko Rosji robotniczo-właściańskiej, czyli dla wywołania kontrrewolucji... Nota Cursona i towarzyszące jej zabiegi wtrącania się do wewnętrznych spraw Rosji sowieckiej, odkryły właściwe znaczenie polityczne „szlachetnego“ oburzenia kapitalistów i ich służalców, sięgających na byt i niezależność narodu rosyjskiego pod płaszczykiem rzekomych prześladowań wolności wy-

---

[1]) Por.: „Postanowlenije wierchownawo suda od oswobożdienii Wasilija Bieławina (byw. patrjarcha Tichona). Izwiestja WCIK. Moskwa. Nr. 141 (1878) 27.VI—1923, str. 1.

znania i religji w Rosji sowieckiej. A więc, chociaż z wielkiem opóźnieniem, jednak Tichon przyznał się do winy, z chwilą, kiedy po długiej walce z władzą sowiecką przekonał się, że cała jego polityka zbankrutowała i że nietylko nie dała oczekiwanego zwycięstwa, lecz przeciwnie, doprowadziła do nieładu i rozłamu cerkiewnego.

Władza sowiecka w stosunku do patrjarchy okazała swoją wspaniałomyślność i tym aktem podkreśliła, że w jego sprawie bynajmniej nie kierowała się pobudkami zemsty, albo wogóle zamiarem jakiegokolwiek prześladowania cerkwi lub poszczególnych przedstawicieli kultu, jako takich. Jeśli zaś cała prasa burżuazyjna wystąpiła w obronie Tichona, jako niesprawiedliwie prześladowanego przez władzę sowiecką i człowieka niewinnego, to teraz sam Tichon oświadcza, że on winien, a tem samem stawia w śmieszną pozycję swoich nieproszonych obrońców. Po przyznaniu się Tichona do winy każdemu i wszystkim staje się jasnem, że wszelkie wieści o prześladowaniu religji, to p r ó ż n a b r e d n i a, a l b o b e z c z e l n e k ł a m s t w o w r o g ó w m a s p r a c u j ą c y c h (!?)[1]).

Na tem wyczerpuje się zwycięski etap walki bolszewików z patrjarchą Tichonem. Późniejsze wystąpienia bolszewickie przeciwko Tichonowi były niejako wyrównaniem braków w rzeczach podrzędnych, stanowiących jednak zaokrąglenie ich dążeń. Nawet i w tym wypadku bolszewicy nie zapomnieli o czynnikach innych, pobudzając je do akcji w kierunku, pożądanym dla siebie. Tak np. pozostając w kontakcie z obnowleńcami, w sposób najszerszy popierali ich wystąpienia antytichonowskie, zmierzające do bezpo-

---

[1]) Por.: „Razobłaczenije licemierow". Izwiestija. WCIK. Moskwa. Nr. 142 (1879) 28.VI—1923, str. 1. Wypada zaznaczyć, że poraz pierwszy użyte w tym artykule zdanie, iż „wszelakie wieści o prześladowaniach religji w sowietach, to próżna brednia albo bezczelne kłamstwo wrogów mas pracujących" — stało się ulubionym aforyzmem bolszewickim, często używanym w czasach późniejszych. W dobie obecnej znaczenie tego aforyzmu również polega na rozmaitych krętactwach bolszewickich, praktykowanych oczywiście w formach analogicznie odmiennych, zależnie od okoliczności.

średniego maltretowania patrjarchy, pozostającego na wolności, szczególnie na tle aktu jego z zapewnieniem, że obietnic, zawartych w jego „raskajanii“ czyli skrusze, nie dotrzyma i t. d. [1]).

W innym znowu wypadku przedstawiciele prasy sowieckiej celowo wydobyli od patrjarchy oświadczenie, że podczas aresztu obchodzono się z nim bardzo przyzwoicie. Bolszewikom chodziło o to, aby stworzyć znaną już formułę, że w sowietach żadnego prześladowania religji niema [2]).

Sprzeniewierzenie się Tichona prawosławiu przez jego akt ostatni pobudziło mię zbadać przyczyny tego zjawiska, wobec czego postanowiłem być osobiście u patrjarchy.

Korzystając z okazji pierwszej celebry nabożeństwa przez Tichona po opuszczeniu czerezwyczajki, w niedzielę 1-go lipca r. 1923, o godz. 10 rano, udałem się do klasztoru Dońskiego.

Już przed wejściem zastałem nieprzeliczone tłumy. Po porozumieniu się z władzą cerkiewną, wprowadzono mię za Carskie Wrota, gdzie przez cały czas nabożeństwa mogłem widzieć patrjarchę i jego otoczenie.

Masy wiernych z wielką ciekawością przyglądały się patrjarsze i na twarzy wielu widziałem łzy, ale płynące nie z radości czy entuzjazmu. Nie było tu stosunku serdeczniejszego pomiędzy patrjarchą a ludem. Z twarzy każdego można było wyczytać, że przyszedł poprostu dla sensacji, czy też dla zaspokojenia własnej ciekawości.

Jakkolwiek wśród wiernych nie szczędzono słów pogardy dla bolszewików za uwięzienie patrjarchy, to jednak nie zauważyłem, aby ktoś głębiej rozumiał charakter wszystkich tych wydarzeń. Słyszałem tylko różne uwagi okolicznościowe, a czasem słowa: „Nu sława Bohu, chot‘ jewo wypustili, tiepier nam prawosławnym niemnoho lehcze

---

[1]) Por.: Izwiestija WCIK. Nr. 142 (1879). 28.VI—1923, str. 1. „K pokajaniju b. patrjarcha Tichona“. Nr. 143 (1880). 29.VI—1923. „K pokajaniju b. patrjarcha Tichona“.

[2]) Por.: Izwiestija Nr. 143. „Biesieda s b. Patrjarchom Tichonom“.

budiet“. (Chwała Bogu, że wreszcie go wypuścili, teraz nam prawosławnym nieco lżej będzie).

Nabożeństwo odbyło się z wielką okazałością. Koncelebrowali z patrjarchą dwaj arcybiskupi i duchowieństwo zakonne z klasztoru Dońskiego. Duchowieństwa świeckiego patrjarcha nie dopuścił do asysty jedynie z obawy, aby nie narazić go na ewentualne przykrości.

Podczas nabożeństwa dokonałem zdjęcia fotograficznego, do czego patrjarcha chętnie pozował. Zfotografowany został w chwili, kiedy stał przy tronie.

Djakoni z wielkim patosem śpiewali „Mnogaja leta Patrjarchu Moskowskomu i Wsieja Rossii“. (Długie lata niech żyje Patrjarcha Moskiewski i cała Rosja).

Pod koniec nabożeństwa, zgodnie ze zwyczajem, patrjarcha przyjmował wszystkich na krótką rozmowę i dla udzielenia błogosławieństwa. Korzystając z tego, podszedłem do patrjarchy i poprosiłem o udzielenie w tych dniach wolnej chwili dla mnie celem otrzymania informacji w kwestji prawosławia. Patrjarcha zgodził się i oznajmił, że o dniu mię powiadomi [1]).

Po skończonem nabożeństwie patrjarcha wygłosił krótkie przemówienie, w którem powtórzył, aczkolwiek ogólnikowo, to, co napisał w swoim akcie, lecz o „raskajanii“ (t. j. o skrusze) nie powiedział ani słowa.

Z tego nawet powodu prasa sowiecka specjalnie podkreśliła ten moment, pisząc, że Tichon zawiódł wszelkie oczekiwanie jego wrogów, myślących, jakoby naród porzuci patrjarchę z powodu przyznania się do winy i „skruchy“,

---

[1]) Naszą obecność prasa sowiecka oświetliła w sposób następujący: „Przy ołtarzu w świątyni znajdowali się przedstawiciele niektórych misji zagranicznych oraz korespondenci zagraniczni, którzy dokonali licznych zdjęć fotograficznych przy nakładaniu szat liturgicznych przez patrjarchę Tichona i jego asysty; fotografje są przeznaczone dla ilustrowanych czasopism zagranicznych. Przecież teraz o Tichonie cały świat mówi. Młody kapłan, władający kilku językami, udzielał im wyjaśnień. Tichon obiecał udzielić audencji dla korespondentów zagranicznych. Por.: B. Patrjarch Tichon. Izwiestija Nr. 146 (1883) 3.VII—1923.

wyrażonej w jego piśmie do czerezwyczajki, jak również i oświadczenia całkowitego odseparowania się od wewnętrznych i zewnętrznych białogwardzistów [1]).

W czasie błogosławieństwa nie dopuszczał do siebie duchownych „obnowleńców“,. mówiąc do nich: „Procz, procz!“

Dnia 10 lipca otrzymałem zaproszenie od patrjarchy i o godz. 11-ej byłem w monasterze Dońskim. U wejścia do patrjarchy znalazłem sporo interesantów, wśród których przeważało duchowieństwo.

Lokal patrjarchy znajdował się nad bramą wejściową do monasteru i składał się z 6-ciu małych pokoików.

W poczekalni przyjmował interesantów do zapisu na audjencję „dieżurnyj świaszczennik“, o. Aleksander Zwieriow, mnie zaś natychmiast zameldował patrjarsze, który mnie zaraz poprosił do swych skromnych apartamentów. Patrjarcha przywitał się ze mną bardzo sympatycznie i zaraz rozpoczęliśmy rozmowę. Na tle wypadków ostatnich w Rosji zapytałem patrjarchę, co mam sądzić o akcie, który po jego wypuszczeniu bolszewicy opublikowali w prasie, podając nawet jego podobiznę. Zapytuję dlatego, że prawie wszyscy ten akt uważają za rzecz nie autentyczną?

Z pewnem zakłopotaniem odpowiada mi patrjarcha, że akt ten niestety jest autentyczny i zmuszony go był podpisać z kilku względów. „Przedewszystkiem, nie miałem żadnego wyjścia, zmuszono mię bowiem do własnoręcznego p r z e p i s a n i a i podpisania tekstu, sporządzonego przez śledczych czerezwyczajki, a następnie uważam, że to podpisanie nie posiada większego znaczenia, bowiem w danym wypadku powodowałem się przypuszczeniem, że panowanie bolszewików jest chwilowe, a po ich zniknięciu przecież nikt z ludzi rozsądnych nie będzie mógł stawiać mi żadnego zarzutu, gdyż każdy w tych okolicznościach postąpiłby w sposób podobny. Uczyniłem krok taki również i dlatego,

---

[1]) Por. tamże.

aby ratować się wolnością, która dla spraw cerkwi w dobie dzisiejszej była niezbędną, ażeby bronić jej przed wszelkiemi napaściami“ [1]).

Nie poruszając meritum aktu, powiadam patrjarsze, że, mimo wszystko, podpisany przez niego akt wyrządził tę krzywdę, że zamknął usta całemu światu chrześcijańskiemu w obronie wolności religji i sumienia w państwie sowieckiem, gdyż sam patrjarcha zupełnie wyraźnie nietylko odsunął potrzebę takiej obrony, lecz wprost potępił, określając ją jako ingerencję do wewnętrznych spraw rosyjskich. Takie zastrzeżenie utrudnia teraz możność wystąpienia zagranicy w sprawie religijnej, opinja bowiem całego świata chrześcijańskiego mogłaby zmusić bolszewików do tolerancji.

Patrjarcha jednak wyjaśnia, że przedewszystkiem nigdy nie przypuszczał, aby ktokolwiek mógł stanąć w obronie prawosławia, a następnie, że zanim pomoc nadejdzie, to minie jej potrzeba — bolszewizmu już nie będzie.

Nie chcąc wszczynać dyskusji na ten temat, przechodzę do omówienia kwestji obecnego stanu cerkwi prawosławnej i charakteru ruchu obnowlenców, t. j. nowatorów.

Odpowiedzi bezpośredniej na moje zapytanie patrjarcha nie dał, a tylko zaznaczył, że wogóle o tym obozie nie może być mowy, gdyż jest on zjawiskiem małem, które już prawie zanika. „Daże sam narod etich zbuntowawszichsia popow wygoniajet iz cerkwiej, a tiepier i oni prichodiat ko mnie s pokajanijem“. (Nawet sam lud tych popów zbuntowanych wypędza ze świątyń, a teraz oni przychodzą do mnie z prośbą o przebaczenie).

Zapytałem tedy, jaką jednak przedstawia siłę obóz nowatorski i który z jego odłamów jest najniebezpieczniejszy dla prawosławia?

Odpowiada patrjarcha, że wogóle nie przypisuje żadnego znaczenia jakiemukolwiek odłamowi i wszystkie uwa-

---

[1]) „Znajetie, czto nie było i nowo wychoda, tiem boleje ja był uwierien, czto gospodstwo bolszewikow jest‘ wriemiennoje i blizitsia uże k końcu“.

ża jako jeden ruch, który się nazywa „obnowleńczeskim dwiżenijem“ (ruchem nowatorskim).

Wtedy skierowałem rozmowę na poszczególne odłamy nowatorów i rozpocząłem od „żywej cerkwi“, zaznaczając, że ten ruch, mojem zdaniem, jest w chwili obecnej najszerszym i najwięcej programowym.

Patrjarcha odpowiada na to żartem, że mówiąc o „żywej cerkwi“, trzeba zawsze dodawać do pierwszego wyrazu „ł“. (Dobawlajtie wsiegda k żiwoj bukwu „ł“ (łżiwoj), wot eto istinnoje opriedielenije etoj cerkwi“ — (oto będzie wówczas prawdziwe określenie tej cerkwi).

W dalszej odpowiedzi patrjarcha potępia wszelki ruch „obnowlenczestwa“, bez względu na to, czy to jest „żiwaja cerkow“, czy SODAC (Sojusz Obszczestwa Drewnie Apostolskoj Cerkwi), t. j. stowarzyszenie dawnej cerkwi apostolskiej, albo też „Wozrożdenija“ (odrodzenie) i dalej dosłownie: „Wied‘ eto figury wydwinutyje pokrowitielstwom GPU“ — t. j. przecież to są figury, wysunięte pod protektoratem GPU (czerezwyczajki). Wymawiając to zdanie, patrjarcha wyrzekł je głosem przyciszonym, chowając się głębiej do swego obszernego fotelu, lękliwie oglądając się wstecz, jakby się obawiał kogoś, ukrywającego się poza oknami jego mieszkania i podsłuchującego naszą rozmowę.

Po pewnej pauzie mówił dalej, że cały ruch „obnowlenczestwa“ ma swe oparcie u władzy sowieckiej, która celowo stworzyła i popiera działalność nowatorów, a „stawlenniki GPU“ (zwolennicy GPU) okazują wszechstronne współdziałanie. Żywi jednak nadzieję, że cała ich robota w czasie najbliższym dozna krachu, gdyż widać to chociażby z tego entuzjamu, jaki powstał z powodu jego zwolnienia z czerezwyczajki, kiedy naród tłumnie zebrał się w cerkwi, „kak wy sami widieli“ (jak to samiście widzieli), „co przecież dowodzi siły prawosławia, wypróbowanego w smutnych doświadczeniach ostatnich. Zrozumieli to doskonale obnowlency i dla tego znowu powracają do nas“.

Poruszyłem następnie temat inny, mianowicie kwestję

autokefalji i pytam, w jakim stosunku do niej znajdują się cerkwie prawosławne w państwach nowych, które powstały na terytorjum b. Rosji, jak np. Finlandji, Estonji, Łotwy, Litwy; oraz, jak się tam cerkiew rządzi i czy jest którejkolwiek nadana autokefalja?

Odpowiada, że cerkwi autokefalnej nigdzie niema. Są tylko cerkwie autonomiczne, istniejące z jego zezwolenia; to też w liturgji duchownej muszą wspominać imię patrjarchy moskiewskiego i w ważniejszych sprawach cerkiewnych winni zwracać się do niego. Ponieważ zaś cerkiew autonomiczna żyje własnem życiem, przeto dotychczas nie było powodów zwracania się do mnie. „Widno, czto niet priczin obraszczenija ko mnie". „Co się tyczy autokefalji, to nadanie jej zasadniczo zależy nie odemnie, lecz od wsierosijskawo pomiestnawo sobora (soboru wszechrosyjskiego). Z drugiej jednakże strony nie widzę potrzeby nadawania autokefalji tej lub innej cerkwi na terytorjum innych republik, ponieważ tam prawosławni nie są elementem miejscowym, lecz napływowym z Rosji, pragnącym zachować jedność z Moskwą, przeto nieracjonalnem byłoby udzielanie im autekafji". („Znajetie priamo eto nieudobno sdiełat', tak kak eto tie że samyje prawosławnyje russkije ludi, kotoryje po jedinstwu ducha swiazany s nami i tiem boleje czto oni sami żełajut sochranit' jedinstwo s Moskwoj").

„A nawet nonsensem byłoby nadanie autokefalji np. dla Estonji, której terytorjum obejmuje dawniejszą jedną gubernję. Również autokefalja jest zupełnie zbyteczna i dla państwa tak wielkiego, jakiem jest Polska. Wprawdzie na ten temat już konferowali ze mną przedstawiciele rządu polskiego, jednak ja nie widziałem dostatecznych powodów do pozytywnego rozstrzygnięcia tej sprawy. Gdyby cała Polska była prawosławna, to rzecz inna, ale tam element prawosławny również nie jest miejscowy i na tyle jest nikły, że kwestja autokefalji, wydaje mi się zupełnie nieaktualną. Wiem, że niektórzy prawosławni w Polsce dobijali się w Konstantynopolu o sankcję autokefalji w Polsce, lecz

jest rzeczą wątpliwą, aby się cokolwiek dało im uskutecznić w tej sprawie.

Dalszą konferencję naszą przerywa jeden z obecnych przy rozmowie, osoba bliska dla patrjarchy i proponuje patrjarsze, aby korzystając z obecności przedstawiciela Polski, dowiedział się prawdy o stanie prawosławia w Polsce ze względu na brak autentycznych danych oraz dlatego, że ta kwestja w opinji rosyjskiej jest niewyraźną.

Taką propozycją patrjarcha był zaskoczony, gdyż natychmiast nerwowo podniósł się z fotelu i gestykulując rękami, z uśmiechem powiedział: „Da, da... ja wied‘ wsio znaju, no...“

Czyniąc zadość tej prośbie zastrzegłem się, że w tej kwestji nie możemy rozmawiać na płaszczyźnie danych bolszewickich, a w szczególności prasy sowieckiej, która, jak wiadomo, wszystko potrafi zabarwiać w kolory specjalne. Muszę jednak stwierdzić, powiadam, że stosunek Polski do prawosławia jest zupełnie lojalny. Nienaruszalność tej lojalności jest zagwarantowana przedewszystkiem Konstytucją, dzięki której wszystkie wyznania korzystają z wolności.

Patrjarcha zgadza się z tem najzupełniej, lecz zwraca uwagę na szczegóły i kwestjonuje np. ustalenie przez rząd polski ilości parafjan do 5000, jako niezbędnej do utrzymania parafji.

Wprawdzie, powiadam, jest to drobny szczegół, lecz skoro go patrjarcha poruszył, przeto niechciałbym pozostać bez odpowiedzi.

Tu odgrywa pewną rolę ten szczegół, że, jak patrjarcha wspomniał, prawosławnych w Polsce jest niewielu — garstka, która w podziale administracyjnym stanowi jednostkę jurydyczną i musi być zabezpieczoną, co do swego bytu, jak i wogóle każda inna organizacja, którą się opiekuje prawo państwowe. Nic też dziwnego, że prawo polskie określa warunki i słusznem jest, aby parafja posiadała określo-

ną liczbę parafjan i aby proboszcz parafji otrzymywał wynagrodzenie jako urzędnik stanu cywilnego.

„A właśnie — powiada Tichon — jabym wolał, aby im zupełnie nic nie płacono, niechby żyli o własnych środkach“.

Na moją uwagę, że przez to rząd polski daje dowód swej lojalności, patrjarcha odpowiada: „No da, eto wpołnie wierno i ja tolko wyskazał swoj wzglad na eto“.

W sprawie prześladowania prawosławia w Polsce, które rzekomo się przejawia w odbieraniu świątyń od prawosławnych, muszę powiedzieć, że nic nie ma ono wspólnego z prześladowaniem. Tylko nieznający historji i ze złej woli może taką akcję nazwać prześladowaniem.

Lecz w tym wypadku, kiedy mam zaszczyt rozmawiać z patrjarchą, uważam za zbyteczne udzielać komentarzy, wiedząc, że patrjarcha doskonale zna historję prawosławia w Polsce. Tu powiem krótko, że zabiera się to, co nigdy do prawosławia nie należało i wszystko powraca do prawego właściciela. Wprawdzie z tego powodu powstały pewne, a może nawet i nieprzyjemne kolizje, lecz to trzeba uważać jako konsekwencję smutnej przeszłości i jako rozrachunek dziejowy, realizowany co prawda bez żadnych ekscesów, przeciwko czemu nawet nie oponują rozsądni prawosławni w Polsce, gdyż doskonale rozumieją istotę i historję całej tej sprawy.

Jednakże w tym procesie historycznym nie było takiego wypadku i nikt nie jest w stanie wskazać chociażby na fakt, aby ruszono cokolwiek iście prawosławnego.

Patrjarcha wstaje z fotelu i gestykulując rękami powiada: „No da, eto poniatno... ja wied‘ znaju...“

Trwa pauza, a widząc zakłopotanie patrjarchy, stawiam mu jeszcze jedno pytanie, czy prawosławie ze względu na wypadki obecne rozpocznie akcję zwalczania „obnowlenczestwa“, przeprowadzenia reform cerkiewnych i szerzenia prasy religijnej?

„Na razie — odpowiada — zanim się wszystko uspokoi, nic zacząć nie mogę, tembardziej, że brakuje środków do tego, jednakże po pewnym czasie coś obmyślimy“.

Po wyczerpaniu tej kwestji pożegnałem patrjarchę, dziękującego mi za wizytę.

*

* *

A więc fakt załamania się prawosławia, poczynając od jego głowy najwyższej, patrjarchy Tichona, jest jasny i niezbity. Wątpliwą jest rzeczą, czy objaw lęku u patrjarchy da się usprawiedliwić wadami lub słabością jego charakteru. Zaprzecza temu nietylko cała jego działalność poprzednia, lecz i fakt obrania go na tak wysokie stanowisko przez Sobór, który w myśl wymagań chwili żądał kandydata o charakterze silnym, niezłomnym i nieustępliwym, umiejącego przeciwstawić się bolszewizmowi i pokierować losami kraju, zagrożonego anarchją, do czego mianowicie tylko on, a nie kto inny, został obrany.

Mimo wszelkich danych, dziwnym zbiegiem okoliczności, patrjarcha zawiódł wszystkich w momencie najkrytyczniejszym dla cerkwi.

Zamiast wytrwania w doświadczeniu, zamiast poświęcenia wszystkiego, aż do własnego życia włącznie i złamania tem właśnie bolszewików, patrjarcha obrał sobie drogę niesłychanej kompromitacji, aż do użycia wykrętu nietylko wobec bolszewików, lecz i w obliczu ludu prawosławnego. Nikt na razie nie zorjentował się w sztuczce, w podstępny sposób zorganizowanej przez bolszewików, później jednak cała cerkiew odczuła to bardzo dotkliwie i boleśnie.

Zdrada publiczna prawosławia przez patrjarchę Tichona w szczególny sposób odbiła się na sprawie jedności cerkwi, która, nie mając głowy widzialnej, szybko poczęła upadać i rozlatywać się na drobne części.

Duchowa śmierć głowy prawosławia spowodowała niebawem rysy i załamywanie się całego organizmu prawo-

sławnego, który, dzieląc się na części, wpadł w stan zaognionej walki wewnętrznej. Wygrywały w niej różne odłamy nie z powodu przekonań, lecz zawdzięczając poparciu... ze strony bolszewików. Przegrywało natomiast prawosławie stare — bo nikt go nie popierał, a własnych sił nie miało ku temu, wysiłki zaś bolszewickie w jego zwalczaniu były niezbyt pokaźne.

Gdy w tym czasie bolszewicy zorganizowali olbrzymią dyskusję publiczną na temat „Dyskusja o religji“, w której wzięli udział najwybitniejsi reprezentanci różnych odłamów cerkiewnych z Łunaczarskim na czele, jako przedstawicielem świata bolszewickiego, jeden z uczestników dyskusji, znany przewódca tołstojowców, Bułgakow, drwiąc z bolszewików i z pojawienia się odłamu t. zw. „żywej cerkwi“, począł uzasadniać, że ta cerkiew niczem się nie różni od cerkwi Tichona, czyli, jak ją nazwał, cerkwi martwej. Wywody swoje opierał na tem, że cerkwi żywej należy szukać nie w dobie obecnej, lecz w wiekach ubiegłych... w czasach Iwanów Groźnych, kiedy patrjarchowie i biskupi prawosławni z całą bezwzględnością i surowością karcili nawet samowładców rosyjskich, nie obawiając się żadnych represji i szykan, aż do poświęcenia swego życia włącznie.

„Taka właśnie cerkiew była żywą — powiada Bułgakow — gdyż dbała o wcielenie w życie zasad ewengelicznych i na tej drodze nie uznawała żadnych kompromisów. Dla tej cerkwi tytuł „żywej“ był całkowicie zbyteczny, gdyż czuła, że działa i żyje. Jednakże taka cerkiew żywa z biegiem czasu znikła, a dzisiaj jej miejsce zajęły różne odłamy martwe, usiłujące przybierać szyldy cerkwi patrjarszej, cerkwi żywej, apostolskiej i t. p. Gdyby dzisiejsze cerkwie naprawdę były żywe, w takim razie, na wzór cerkwi dawnej, musiałyby w osobach swych przedstawicieli zażądać od obecnych satrapów rosyjskich zaprzestania strasznych mordów, jak to zrobiła stara cerkiew podczas grasowania opryczników za czasów Iwana Groźnego, który kazał ścinać łby tysiącom obywateli na płachcie, ustawionej

na historycznym placu Łubiańskim, tuż obok którego obecnie prowadzimy tę dyskusję“ (sala muzeum Politechnicznego).

„Dzisiaj — mówi Bułgakow — kiedy na tym samym placu, nie na płachcie, lecz w słynnej czerezwyczajce, Łubianka 2, satrapi sowieccy mordują nie tysiące, jak Iwan Groźny, lecz setki tysięcy ludzi, dlaczego milczy Cerkiew?..“

„Dlaczego cerkiew „żywa“ lub patrjarsza nie ma odwagi zaprotestować w imię zasad chrześcijańskich, a przynajmniej humanitarnych? Przecież do świętych obowiązków cerkwi należy upominać, a w razie oporu ukarać z całą bezwzględnością, gdyż chodzi o obronę zasad Boskich, a nie ludzkich. Ponieważ do takich czynów nie jest zdolna żadna z dzisiejszych cerkwi, bądź „żywa“ czy „patrjarsza“, bądź wszelka inna prawosławna, to dowodzi, że wszystkie one są martwe i jako takie muszą zginąć na zawsze w roznieconym przez bolszewików ogniu rewolucyjnym“.

Głębokie i trafne spostrzeżenia Bułgakowa nasuwają pytanie, co mianowicie ma zastąpić prawosławie?..

Bolszewizm go nie zastąpi, tembardziej, że Trocki w swem dziełku p. t. „Kwestje bytu“ przyznaje, że bolszewizm złamał religję, a w szczególności prawosławie, wypełniając to miejsce pustką — „wmiesto religii my sozdali pustoje miesto“ (na miejsce religji my stworzyliśmy miejsce próżne). Pustka tego rodzaju istnieć nie może.

Na razie jej miejsce wypełnia ateizm. Z chwilą zaniku propagandy ateistycznej, znowu odżyje, a nawet rozkwitnie religja.

Powstaje nowe pytanie, jakaż ma być ta religja przyszłości i kto będzie jej Apostołem?

Antoni Starodworski [1])

---

[1]) Pseudonim wybitnego pisarza i działacza, zastosowany tu ze względów zrozumiałych.

ANOMALJE SAMORZĄDOWE.

Budżety samorządowe rosną z nadzwyczajną szybkością.

Tak w roku budżetowym 1927/28 dochody samorządów miejskiego i powiatowego były preliminowane: zwyczajne — w wysokości 552.922.000 zł., a nadzwyczajne — w wysokości 187.728.000 zł., razem dochody stanowiły — 740.650.000 zł.

W roku zaś następnym 1928/29 dochody zwyczajne preliminowano już w kwocie 695 mil. 289 tysięcy, nadzwyczajne — w kwocie 503 mil. 975 tysięcy, co razem stanowiło 1 miljard 199 miljonów 265 tysięcy złotych [1]).

W latach następnych, z których nie posiadamy jeszcze ostatecznych zestawień, sądząc ze wzrostu tylko budżetów miejskich, można wywnioskować dalszy znaczny wzrost budżetów samorządowych.

Na potwierdzenie tendencji zwyżkowej budżetów miejskich przytoczę wysokość budżetów odministracyjnych (z wyłączeniem przedsiębiorstw miejskich) miasta Warszawy i m. Łodzi.

Jeżeli chodzi o Warszawę, to jej budżety administracyjne wzrastały w zawrotnem tempie, a mianowicie:

W r. 1924 — 35 miljonów, w r. 1925 — 51 milj.,
w r. 1926 — 65 milj., w r. 1927/28 — 95 milj.,
w r. 1928/29 — 103 milj., w r. 1929/30 — 121 milj.,
a w r. 1930/31 — 123 miljony złotych.

Budżety administracyjne drugiego największego miasta polskiego, a mianowicie m. Łodzi, w okresie ostatniego trzechlecia wzrosły z 26,5 milj. do 36,25 milj. złotych.

---

[1]) „Samorząd", zeszyt Nr. 8 z r. 1930.

W tem samem tempie wzrastały budżety przedsiębiorstw miejskich.

Obciążenia, zwłaszcza mieszkańców miast, z tytułu danin i opłat komunalnych wzrastają z nadmierną szybkością i przyczyniają się w znacznej mierze do ruiny warsztatów pracy oraz do redukcji akcji remontowej własności nieruchomej miejskiej, powodując zwiększenie rzesz bezrobocizych w miastach. Wzrost obciążenia na jednego mieszkańca z tytułu tylko zwyczajnych wydatków np. w Warszawie przedstawia się wprost rozpaczliwie. Tak w r. 1927/28 obciążenie to wynosi — 81,5 zł., w 1928/29 — 105,4 zł., a w r. 1929/30 już 120 zł.

Mniej więcej w tem samem tempie wzrasta obciążenie ludności w innych miastach.

By osiągnąć tak wysokie na nasze stosunki dochody, zarówno samorząd powiatowy, jak i miejski, starają się nacisnąć śrubę podatkową do ostatecznych granic, przyczem, wobec oparcia w znacznej mierze budżetów komunalnych na dodatkach do podatków państwowych, samorządy starają się przemycić, wbrew istniejącym przepisom prawnym, ukryte podatki w opłatach za korzystanie z urządzeń i przedsiębiorstw miejskich użyteczności publicznej (np. w opłatach za wodę, kanały i t. d.) oraz usiłują zmusić właścicieli nieruchomości do ponoszenia bezprawnie uchwalanych, specjalnych opłat za czyszczenie ulic oraz za budowę chodników i bruków, które to koszty winny być ponoszone z ogólnych funduszów gminnych.

Zachęcane przez władze nadzorcze gminy rozbudowywały przedsiębiorstwa etatystyczne, jak cegielnie, piekarnie, mleczarnie miejskie, zakłady zaopatrywania i tym podobne instytucje, które, odbierając chleb warstwom rzemieślniczym i kupieckim miast naszych, przynosiły gminom przeważnie deficyty. Na pokrycie tych deficytów zarządy komunalne starają się wynaleźć nowe, choćby nielegalne, źródła dochodowe.

W ten sposób nielegalnie obciążono w ciągu kilku lat

ludność miejską i wiejską opłatami za leczenie ubogich oraz nakładano na właścicieli nieruchomości miast, wydzielonych z powiatów, specjalne opłaty i dopłaty drogowe.

Władze nadzorcze nad samorządem tolerowały te rażące przekroczenia i zatwierdzały uchwały Rad Miejskich i Sejmików Powiatowych, składających się przeważnie z elementów radykalno-socjalistycznych, realizujących na terenie samorządu swe wywrotowe hasła i programy.

Zrozpaczona ludność, łupiona podatkami, dodatkami, opłatami zwykłemi i specjalnemi oraz dopłatami, wymierzanemi często dodatkowo i wstecz, wnosiła bezskutecznie rekursy i płaciła lichwiarskie kary za zwłokę.

Dopiero w ostatnich czasach doczekali się petenci kilku wyroków Najwyższego Trybunału Administracyjnego, zawieszających i uznających za nielegalne dodatkowe wymierzanie podatków wstecz, pobieranie opłat kuracyjnych, oraz wymierzanie opłat drogowych od ludności miast, wydzielonych z powiatu.

Dziesiątki rekursów nie są jeszcze załatwiona i czekają swej kolejki w tymże Trybunale.

Jedną z najbardziej rażących anomalji w dziedzinie finansów komunalnych jest polityka magistratów, rad miejskich i ich władz nadzorczych, w dziedzinie nakładania dodatku komunalnego do podatku państwowego od nieruchomości.

Ustawa o tymczasowem uregulowaniu finansów komunalnych, rozgraniczając źródła dochodu państwa i samorządów, zakreśla naogół najwyższe granice obciążenia podatników na rzecz związków samorządowych. Tylko podatek komunalny, względnie dodatek komunalny do państw. podatku od nieruchomości miejskich, nie ma określonej ustawowo granicy obciążenia.

W ten sposób wysokość stawki tego podatku pozostawiona jest uznaniu z jednej strony — samorządów miejskich, a z drugiej — władz nadzorczych, które powołane

są do zatwierdzenia uchwały samorządowej w tym przedmiocie.

Wprawdzie Min. Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z Min. Skarbu regulowało wysokość tej stawki drogą okólników ministerjalnych w granicach od 25 do 50% podatku państwowego od nieruchomości, lecz w bardzo licznych wypadkach czyniło odstępstwa od swych własnych rozporządzeń i zaleceń, zezwalając poszczególnym gminom stosować znacznie wyższe stawki podatkowe na pokrycie kosztów nowych inwestycji.

Tak np. w stosunku do m. Częstochowy, Lublina, Piotrkowa i Radomia zatwierdzony jest dodatek komunalny do państwowego podatku od nieruchomości w wysokości 100%, a w mieście Łodzi nawet 125%!

Państwowy podatek od nieruchomości wynosi obecnie 7,7% od dochodu brutto; w ten sposób własność nieruchoma tych miast płaci dwukrotny, a Łódź nawet przeszło dwukrotny podatek.

Wobec niskiego ustawowego komornego i olbrzymich wydatków na remont, konserwację i administrację domów, podatki państwowy i komunalny, obliczane od dochodu brutto, pochłaniają niemal całkowity dochód netto, zwłaszcza w domach o drobnych lokalach.

Zmusza to właścicieli do niemal zupełnego zaniechania konserwacji i remontu domów.

Wyżej wymienione i tym podobne praktyki wycieńczyły materjalnie płatników i spowodowały coraz mniejszą ich wypłacalność, co pociągnęło za sobą duże luki w budżetach samorządowych. Nadmierna zaś ekspansja inwestycji samorządowych, przeważnie natury etatystycznej, zwłaszcza wobec wstrzymania kredytów z kasy państwowej, wywołała w bardzo wielu miastach stan, który bez przesady można nazwać bankructwem finansowem.

W bardzo wielu miastach weksle, wystawione przez ich zarządy, oddane zostały do protestu i nie mają pokrycia,

inne zaś miasta, nawet największe, walczą z poważnemi trudnościami materjalnemi.

Takie to wyniki dała nieroztropna, nie licząca się ze środkami, nacechowana etatyzmem gospodarka miejska!

Nie lepszy jest stan finansowy związków samorządu powiatowego i wojewódzkiego.

Jako może nie ostatnią, lecz bardzo jaskrawą anomalję na terenie życia samorządowego w Polsce należy wymienić ponowne zwycięstwo prądów etastystycznych w poglądach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na zadania samorządu stołecznego, co się wyraziło w niedawnem ustosunkowaniu się Ministerstwa do uchwały Rady Miejskiej m. st. Warszawy, przewidującej częściową likwidację Miejskich Zakładów Zaopatrywania Warszawy.

Mianowicie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych odmówiło zatwierdzenia uchwał Rady Miejskiej, dotyczących likwidacji działu mięsa i jatek oraz działu detalicznych i półhurtowych sklepów miejskich. Zaleciło również prowadzenie przez miasto mleczarni miejskiej [1]).

To zarządzenie uważam za niczem nie usprawiedliwione i sprzeczne z ostatnimi okólnikami Ministerstwa, zalecającemi, z powodu kryzysu gospodarczego, daleko idące oszczędności w gospodarce miejskiej.

M. Z. Z. W. powstały podczas wojny dla celów repartycji produktów żywnościowych, wydawanych ludności za kartkami i wówczas były one celowe i potrzebne.

Natomiast przy nadmiarze produktów żywnościowych w obecnych, normalnych czasach ogólnego pokoju, utrzymywanie M. Z. Z. W., gdyby one były nawet bezdeficytowe, byłoby rzadko spotykaną anomalją; wobec zaś ich stale wzrastającej deficytowości utrzymywanie tych Zakładów jest rzeczą, która nie może być tolerowaną w żadnym

---

[1]) Jakąż wobec takich faktów mogą mieć wartość mowy różnych ministrów, występujące przeciw gospodarce etatystycznej?! (Przyp. Red.).

wypadku. Tembardziej, że M. Z. Z. W. nie są wcale regulatorem cen, a przyczyniają się tylko do szkodliwego rozrostu administracji samorządowej.

Jeżeli chodzi o dział mięsa i jatek, to jest to dział, który przyczynia się tylko do spotęgowania pośrednictwa w handlu mięsem i jest działem od samego początku deficytowym. Nie odgrywa on żadnej roli na rynku mięsnym i w jednym tylko 1928/29 r. do działu tego miasto musiało dopłacić 195.553 zł.

To samo można powiedzieć o sklepach miejskich. Ani ceny produktów, sprzedawanych w tych sklepach, ani też rodzaj tych produktów, niczem nie usprawiedliwiają konieczności prowadzeniu detalu przez miasto. Sklepy te są ogromnie deficytowe. Im więcej odbiegamy od okresu wojny i inflancji, tem więcej wzrasta deficyt sklepów miejskich, tak, że już w r. 1927/28 deficyt ten wyraził się kwotą 531.941 zł.

Następne lata nie są i nie będą lepsze.

Jak sobie Ministerstwo wyobraża, kto będzie ponosił koszty deficytów działów, których utrzymanie zaleca Ministerstwo miastu p a r f o r c e?

Poza deficytowością M. Z. Z. W., sprawę ich istnienia należy rozważyć również pod kątem widzenia ich celowości.

Pod tym względem zarówno większość R. M. jak i najszersze sfery rzemieślnicze, kupieckie, przemysłowe i inne sfery naszego miasta wypowiedziały się kategorycznie przeciwko istnieniu Miejsk. Zakładów Zaopatrywania Warszawy, a zwłaszcza przeciwko istnieniu działów mięsa i sklepów miejskich.

Jakie względy zaważyły na decyzji Ministerstwa Spraw Wewn., dokładnie nie wiemy, lecz muszę na tem miejscu stwierdzić, ż e n i e b y ł y t o w z g l ę d y r z e c z o w e.

Przewidziany czas i proces likwidacji tych działów

był bardzo łagodny, nie mógł on więc wywołać żadnych strat dla miasta.

W razie potrzeby (t. j. wojny lub innych okoliczności) zmontowanie takiego aparatu, jak M. Z. Z. W., nie przedstawiałoby żadnych trudności. Niema więc potrzeby dopłacać ze źródeł podatkowych do imprezy zbytecznej i bardzo kosztownej.

Jednem słowem, decyzja Ministerstwa nie ma żadnego rzeczowego uzasadnienia i według powszechnej opinji winna być przez to Ministerstwo poddana rewizji.

Przechodząc do konkluzji, należy zaznaczyć, że tylko obniżenie budżetów samorządowych, drogą z jednej strony zahamowania rozrostu administracji i jej usprawnienia, a z drugiej strony — drogą ograniczenia akcji inwestycyjnej samorządów do takich granic, na jakie pozwalają środki materjalne, będące do dyspozycji, może uzdrowić stosunki samorządowe i zapobiec dalszemu kryzysowi finansowemu samorządu.

Pozatem, celem podniesienia autorytetu władz samorządowych i nadzorczych, należałoby zaprzestać uchwał i zarządzeń, które wykraczają poza ramy uprawnień tych władz i nie są podyktowane bezpośredniemi zadaniami samorządu.

Wreszcie pilną jest konieczność wyraźnego uregulowania w drodze ustawodawczej wysokości ciężarów, które mają być ponoszone przez ludność na rzecz samorządu, oraz zryczałtowania tych ciężarów, ponieważ wielka liczba nakazów płatniczych z tytułu danin komunalnych, spadających na ludność wiejską i miejską, nie pozwala płatnikom zorjentować się w ich legalności i budzi w nich zrozumiałe rozgoryczenie.

Ludwik Rząśnicki

WALĄCY SIĘ GMACH.

Jeżeli pośród cywilizowanych społeczeństw obserwujemy dzisiaj nawrót ku Kościołowi Katolickiemu, jeżeli jesteśmy codziennymi niemal świadkami licznych a głośnych nawróceń, bądź to bezwyznaniowców, bądź jawnych ateuszy, bądź protestantów, czy kalwinów, to w pewnej mierze ruch ten zaliczyć jesteśmy zmuszeni nietylko na karb głębszego z ich strony zastanowienia się i przejrzenia prawdy, lecz także i pewnego rodzaju oportunistycznego chronienia się do bezpiecznego portu!

Nie chcę tu bynajmniej jakichkolwiek podnosić wątpliwości co do szczerości tych nawróceń, nie chcę umniejszać ich piękna i głębi przekonań, ale widzę w nich jakby podświadome szukanie ratunku nietylko dla duszy, żyjącej w mrokach błędów, ale i dla ciała, widzącego dokoła siebie walące się lub rysujące mury gmachu cywilizacji.

Że ratunek cywilizacji polegać może wyłącznie w ugruntowaniu, rozszerzaniu i panowaniu katolicyzmu, jest dzisiaj prawdą, równą aksjomatom i dowodzić jej trzeba chyba tylko... azjatom! Europejczycy, choćby nawet pochodzili z „pół-azji“, jak Berdjajew (bo można być azjatą, a urodzić się w Anglji — co starałem się dowieść w mojej pracy p. t. „Eurazja“), europejczycy myślący, nawet nie katolicy, widzą dziś jedyny ratunek dla zachwianej kultury i cywilizacji tylko w Watykanie! Nie należy też chyba i dowodzić faktu załamania się całej naszej cywilizacji, gdyż najbardziej nawet optymistycznie nastrojony, ale niezależny badacz nie może temu zaprzeczyć. Tutaj wyjątek stanowić mogą tylko doktrynerzy z faktu i uczucia, których losem jest wpadanie w przepaście, goniąc za mirażami. Niestety, ta kategorja ludzi, wciąż jeszcze żyje na swobodzie

i pociąga za sobą tłumy, bądź ciemne, bądź półciemne, czyli t. zw. inteligentne; pociąga je za sobą w pogoni za fata-morganą i... do dna przepaści!

Co do cywilizacji, to jeśli jeszcze trwają spory i dyskusje, to tylko w celu wyjaśnienia faktu, czy owo zachwianie się naszej kultury jest chwilowym wynikiem wielkiej wojny, czy też ostateczną ruiną? Dzisiaj staje przed nami „zagadnienie cywilizacji", tak, jak w ciągu XIX-go wieku przodowało zagadnienie spraw społecznych czyli socjalnych, jak w wieku XVIII-ym górowało doktrynerstwo pseudo-filozofów postępu i „oświaty".

Pod uderzeniem gromów wielkiej wojny cywilizacja nasza zarysowała się do samych fundamentów, bo od poczęcia swego nosiła w sobie podstawowy błąd: zbyt była człowieczą i tylko na człowieku opartą! Wyszła z czystego indywidualizmu, by dojść do integralnego materjalizmu.

Cywilizację tę stworzył rozum dla ciała, dla wygód jego i komfortu; ciało zatapiało się w swym własnym tworze, w tej właśnie „wygodnej" cywilizacji i zapomniało o duszy, o posłannictwie swem i celu ostatecznym.

Początkowo powoli, krok za krokiem, potem szybciej i coraz szybciej, w miarę jak robiły postępy coraz to potężniejsze zdobycze techniki, punkt ciężkości naszej cywilizacji przesuwał się z dziedziny duchowej do materjalnej, a przez to samo punkt równowagi stałej zmienił się na niestały. Gmach rósł niepomiernie szybko i rozszerzał się u szczytu, tworząc jakoby podstawę odwróconej piramidy.

Dawno już, bo od XVIII-go wieku, który też należałoby nazwać pierwszym wiekiem upadku cywilizacji, cała nasza kultura „zaczęła się gubić sama w sobie", jak to w swych Mémoires d'outre tombe zaznacza Chateaubriand. Od dłuższego też czasu umysły światlejsze, głębiej w sedno sprawy patrzące, ostrzegały przed „zapatrzeniem się" w t. zw. „postęp", ale potok życia szedł obok nich, ogłuszany humbugiem różnych wynalazków, teorji, a raczej hipotez naukowych i coraz to bardziej skrajnych demokratycznych

prądów społecznych. Bo ostatecznie cóż ludzkość była w stanie stworzyć?.. Zorganizowała materję, rzec można, wspaniale. Posiedliśmy genjusz techniki w stopniu nigdy dotąd nieznanym, nie przeczuwanym nawet w poprzednich epokach... Raczej źle się wyraziłem! Genjusz ten był przeczuwanym i gorączkowo a skrycie poszukiwanym wśród guseł i ohydnych obrzędów czarnej magji! Przeczuwanym był w czasach, kiedy to ludzkość bliżej była ducha, gdy ludzie rozumieli, czem jest duch i zdawali sobie sprawę, iż, aby ujarzmić materję, wystarczy poddać się pod rozkazy tego ducha, który nią tu na ziemi kierować się zdaje:.. „Książęcia tego świata"!

Oddaliwszy się od Boga, wyłamawszy się z pod opieki Kościoła, zapomniawszy o jedynym celu naszego istnienia, zrobiliśmy mniejwięcej to samo, co starali się czynić ówcześni czarnoksiężnicy [1]) i... zdobyliśmy panowanie nad materją za cenę utraty wszystkich naprawdę realnych dóbr. Boć poza tem panowaniem cóż mamy dziś więcej? Nic! prócz chaosu, swarów, nędzy, ciemnoty i bagna zepsucia!

Słusznie ostrzega hr. Gonzague de Reynold mówiąc, że „dążymy do barbarzyństwa z całą szybkością naszych ekspresów, aut i aeroplanów"! Z całą naszą genjalną techniką dążymy do barbarzyństwa. A pamiętać trzeba, iż barbarzyńca-technik, to najstraszniejsza kategorja ludzkiej dziczy!

Barbarzyńcą takim staje się każdy człowiek, który zapomina, iż materja istnieje tylko w tym celu, by stanowić naczynie dla ducha, że świat nasz istnieje tylko po to, by stanowić odbicie świata duchowego. Tu spoczywa śmiercionośny błąd materjalistów, zaprzeczających lub odsuwających na drugi plan ducha, tu jest źródło, z którego gangrena rozkładu społecznego rozchodzić się musi na ludzkość, hołdującą już dziś bezwiednie tym czołowym dla XIX-go

---

[1]) Wszak latamy w powietrzu, a w laboratorjach osiągamy przemianę pierwiastków przez radjum i t. p. — co przecież było celem alchemików!! (Przyp. Red.).

wieku kierunkom, jakimi był pozytywizm i materjalizm! Społeczeństwa, wychowane w tym duchu, muszą się rozkładać, gdyż duch materjalizmu czy pozytywizmu jest typowym duchem śmierci: sączy się zeń jad trupi zagłady społecznej!

Historja nazwie kiedyś po imieniu tych wszystkich „krzewicieli oświaty“ bezwyznaniowo-materjalistycznej, którymi chlubił się wiek XIX-ty, którymi dziś jeszcze śmią się chlubić rozmaici półinteligenci i postawi ich pod swoim pręgierzem wraz z największymi złoczyńcami ludzkości!..

Tyle o materjaliźmie naszej cywilizacji; teraz zaś przejdźmy do błędu indywidualizmu.

Do czegóż prowadzi nas indywidualizm?

Do rozpylania pojęć, do rozproszkowania myśli!

Chateaubriand w cytowanem wyżej dziele powiada: „Najście pojęć następuje po najściu barbarzyńców“... a myśl tę należy uzupełnić, dodając, iż owo „najście pojęć“ przygotowywuje znów nowy zalew dziczy!

Bo indywidualizm powstaje z subjektywizmu i prowadzi bezwzględnie do materjalizmu i całe nasze dzisiejsze życie intelektualne wyraźnie to wykazuje. Jeżeli nie weźmiemy pod uwagę odrodzenia tomizmu, gdyż jest to właśnie powrót do Kościoła, to cóż nam dają nasi filozofowie?... Dają nam w spuściźnie po Kartezjuszu: intuicję, która różniąc się całkowicie od osobnika posiadającego ją, jest zawsze niemożliwą do przekazania innym, a przytem najczęściej zupełnie fantazyjną; dają nam pragmatyzm, dla którego prawda i dobro są niczem innem, jak wygodą chwili; dają nam wreszcie neo-humanizm oxfordzki, cofający czas całkowicie do sofistów! Jak niegdyś Protagoras, typowy półinteligent, przeważył swymi wpływami nad Platonem i Arystotelesem — tak tutaj Kant wprowadza filozofję nowoczesną do ślepej uliczki, gdzie ginie wśród mroków do tego stopnia, iż nawet niemieccy filozofowie zaczynają się obawiać o przyszłość tej nauki nauk. Jansen powiada: „Rozprószenie, gruzy i zwaliska, stan chaotyczny, patolo-

giczne bezkrólewie, anarchja, takim jest stan dzisiejszej filozofji niemieckiej".

Paulsen skarży się: „Nie posiadamy już żadnych trwałych podstaw. Nie możemy dać naszej młodzieży uniwersyteckiej zasadniczych pojęć i prawd, tyczących się tego wszystkiego, co obejmuje sprawy ogólne i najwyższe"!..

Opitz jeszcze wzmacnila te gorzkie żale Paulsena i woła, że: „dzisiaj króluje w naukach filozoficznych największe pomieszanie pojęć i najokropniejszy nieład, jaki sobie można wyobrazić"... Zaś Frischeisen-Kohler nazywa ten stan tragedją inteligencji.

Rzeczywiście, słowo tragedja nie jest zbyt mocnem, bo filozofja nowożytna posiada właśnie tragiczne cechy, które Marcuse tak określa: „Niestała i niespokojna; poszukująca z pewnością, że nigdy nie znajdzie; wątpiąca z przekonaniem, iż nigdy nie ukoi; tworząca tylko dla najbliższej przyszłości, nigdy dla wieczności; jałowa przez nadmiar rozmyślań i skrupułów; szczęśliwa tylko w chwilach, gdy się sama zapomni; widząca przy każdem „tak" nieodstępne „nie"; bez wiary, ale żądna wiary; jej żywot na tym padole jest piekłem". Otóż kto, jak nie subjektywizm, stworzył to piekło? Subjektywizm, czyli ten system filozoficzny, ta psychoza, prowadząca niechybnie do indywidualizmu, czyli dążenie zwrócenia wszystkiego do jednostki, uważanej za jedność społeczną. Absolutyzm swojego „ja" nad światem!

Przecież ten rodzaj absolutyzmu, według świetnego wyrażenia Pascala, prowadzi do „absolutyzmu zwierzęcia w ludzkiem ciele". Ten absolutyzm wiedzie stopniowo, lecz niezawodnie, do ostatecznego zburzenia gmachu ludzkości, do tyranji żądz i samowoli instynktów nad rozumem i wolą. Słusznie tu G. de Reynold powiada: „Człowiek jest człowiekiem, góruje nad zwierzęciem i wznosi się ku Bogu tylko przez swój rozum, tego króla w złocistej koronie i przez swoją wolę, tę regentkę o stalowej zbroicy"!

Z chwilą, gdy tworzymy z indywidualnej jednostki centrum świata i swój własny cel, natychmiast izolujemy ją

całkowicie; gdy tylko nadamy jednostce wyjątkowe prawo życia swojem życiem, usuwamy ją przez to samo z pod wszelkiego prawa, porządku, hierarchji, władzy i pozostawiamy jej tylko dwie właściwości. Pierwszą jest ślepa wiara w to, co ta ludzka jednostka nazywa „swoją naturą“, a więc nietyle rozum i wola, ile uczucia i instynkta. Tej „natury“, tego własnego poczucia, nie zgodzi się nigdy taki człowiek opuścić, nawet (i tembardziej), jeśli jest ono zepsute, zaciemnione lub zboczone; nikt i nigdy nie będzie w stanie wytłumaczyć mu, że się myli, bo tę „swoją naturę“ uważa on za najwyższą swą władzę i ostateczny autorytet, rozstrzygający w najważniejszych dziedzinach życia. Według tego własnego samopoczucia człowiek taki, zależnie od indywidualnej jego fantazji, zawsze będzie tworzył lub rozkładał i burzył społeczeństwo, moralność, historję, estetykę lub metafizykę. Stąd owo „najście pojęć“, ta kurzawa opinji indywidualnych a sprzecznych, ta anarchja systemów. Stąd też wynika i bezsilność takiego „inteligenta“, gdy pragnie on oddziaływać na tłumy.

Bo właśnie bezsilność jest drugą właściwością nowożytnej jednostki, właściwością, która na gruzach wszystkich innych narzuca się imperatywnie jednostce-inteligentowi!

„Postawmy naprzeciwko siebie — powiada G. de Reynold — tego przeciętnego człowieka, tę naszą publiczność, tłum inteligentów, oraz różnorodne dzisiejsze systematy myślowe, które ścierają się na arenie życiowej i zaprzeczają sobie wzajemnie, które mają powodzenie dnia, a wpadają w zapomnienie nazajutrz: cóż z tego wywnioskuje przeciętny zdrowy rozsądek, snobizm publiczności i dziecinne reakcje tłumu? Oto, że prawda jest baśnią, że hasła przewodnie nic nie znaczą i że człowiek winien kierować się sam, zależnie od stanu swego egoizmu i swoich instynktów“. Wszystkie te nowożytne przeczulenia rozumu, nasza superkultura, nadmiar analizy i krytyki, jednem słowem cały nasz indywidualizm umysłowy, doprowadziły społeczeństwo do

tej, jak ją w słusznem oburzeniu a trywialnie nazywał Carlyle: „filozofji wieprzy“, filozofji, według której świat dzieli się na dwie części: to, co jest jadalnego dla wieprzy i to co nie jest dla nich jadalne! Nie należy się więc oburzać na nasze dzisiejsze obyczaje, na moralność rodzin, manję rozwodów, kąpanie się w pornografji, sensacyjne piśmiennictwo, „literaturę“ Boy‘ów, zmysłowość całokształtu życia. Nie należy się dziwić i oburzać na rozkład polityczny i demagogję społeczną i na tę czysto pogańską demokrację, która ra z dniem każdym coraz to bardziej zbliża się do apokaliptycznej „matki wszeteczeństwa i obrzydliwości ziemi“! Są to bowiem naturalne zupełnie wyniki trupiego rozkładu ciała cywilizacji społecznej!

Któż temu winien? Kto stworzył ten stan?

Mistrzowie obłudni — fałszywi prorocy!

Nie sięgając już zbyt daleko, bo należałoby zacząć od reformacji, stawiać możemy i powinniśmy pd pręgierz uczciwości i prawdy tych zbrodniarzy i obłudników, którym ciemne tłuszcze stawiały i stawiają jeszcze pomniki, których wciąż jeszcze sławią wyznawcy „filozofji wieprzy“: Voltaira, Rousseau, Diderota i plejadę mniej głośnych akolitów, mistrzów fałszu, siewców ciemności, a dalej „społeczników“ z połowy XIX-go wieku z Marksem na czele; a równolegle „uczonych“ z Darwinem u szczytu, filozofów „ślepego zaułka“, od Emanuela Kanta do Fryderyka Nitsche‘go i „apostołów“ wschodu, obracających się w orbicie Tołstoja. Imię ich legjon!

Zbrodniarzy lub obłudników — głosić to należy wyraźnie, bo poza temi kategorjami ludzi mogą ich jeszcze bronić tylko snoby lub... naiwni! Z pierwszymi niema się co liczyć, bo to niegodne myślącego człowieka, drugich też musimy pominąć, bo „naiwość“ jest nieuleczalną chorobą!

Za „filozofją wieprzy“ krok w krok postępuje polityka tychże domowych stworzeń: polityka interesu własnego na najbliższą metę i ponad wszystko! Ani wielkość i potęga ojczyzny, ni honor narodu, ni przyszłość jego i chwała,

lecz tylko interes własny, osobisty, sięgający najdalej do wymiarów „partji“, stanowiącej dla jednostki owo koryto, przy którem utrzymać się trzeba!

I znów przykładów podawać nie warto, wystarczy okiem rzucić dokoła, wystarczy przysłuchać się dysputom panów polityków. Zjawisko to powszechne, ogólne, nietylko dla naszej zaściankowej, ale i dla najnowszej światowej polityki. I tu znów Anglja Lloyd-George‘ów i Mac-Donaldów prym trzyma, tak, jak przoduje od chwili reformacji we wszystkich kataklistycznych upadkach ducha ludzkości!

Wiem, iż w środowiskach pewnych naszych polityków wskazanie na błędy i zbrodnie polityki angielskiej jest uważane za rzecz conajmniej wysoce nieprzyzwoitą, tak, jak wśród kół naszych „katolikujących“ demokratów przypomnienie, iż Clemenceau był płatnym agentem „Neue Freie Presse“, czołowym masonem i wrogiem Kościoła, jest uważane za czyn „niepatrjotyczny“. Wiem o tem tembardziej, że gdy dwa lata temu poruszyłem analogiczne tematy w swojej „Eurazji“, to spotkało mnie „obrażone milczenie“ całej naszej demokracji wszelkich barw i odcieni. Uderzenie w miejsce bolące jest zawsze nieprzyjemnem. Dziś jednak już nietylko o demokracji się odzywam, mówię wyraźnie o zachowaniu się całej naszej cywilizacji i całego prawdziwego intelektualizmu ludzkości, bo widzi mi się, że dla ratunku ostatnia bije godzina!

A kara jest tuż! Spoczywa ona w tej przepaści, która coraz to wyraźniej rozdziela intelektualistów od mas i tłumów, w tym braku wszelkiego zrozumienia, jaki cechuje dzisiejszy „plebs“ w stosunku do prac intelektualistów, do ich pojęć, programów, pożyteczności społecznej. I mówiąc „dzisiejszy plebs“, biorę go właśnie jako bardzo demokratyczne pojęcie, bo nie według cenzusów naukowych, nie według pozycji społecznej, lecz stosownie do wysokości poziomu ducha i pojemności intelektualnej. W ten sposób oddzielony plebs jest dziwnie powszechnym! Od nożowców

i ulicznego motłochu do redaktorów najpoczytniejszych nieraz dzienników i profesorów uniwersytetu — włącznie!..

Kara jest tuż, bo spoczywa w słabości intelektualistów, w ich niewoli względem polityki i finanserji, w ostatecznej poniewierce i poniżeniu. Bo pod jarzmem egoizmu, który rzuca jedne klasy przeciwko drugim, intelektualiści mogą łączyć się, jak chcą, ale nigdy nie będą stanowić siły, dopóki rządzi światem „równowaga demokratyczna" mas, gdzie ilość zawsze przeważa jakość i gdzie równość polega na zniwelowaniu cnoty z występkiem!

Jeźli zdobędą swój kawałek chleba, to tylko wtedy, gdy poświęcą mu jedyną swoją rację bytu: niezależność! — gdy poświęcą dla prawa życia wśród dzisiejszych społeczeństw to wszystko, co niegdyś stanowiło ich szlachectwo: niezależność i szacunek dla swego powołania, a staną się „zawodowymi" robotnikami, najniższymi z pośród wszystkich innych!

To wcale nie jest pesymistyczna fantazja lub zjawa gorączkowa powojennej psychologji! Dość nam trzeźwo spojrzeć na Sowiety! Tam mamy obraz końca naszej cywilizacji, do tego celu dążymy krok za krokiem! Boć bolszewizm intelektualny, to nie krwawa rewolucja, nie czerezwyczajki, wyspy Sołowieckie, głód i zaraza! To są tylko dodatki, ramy, tło obrazu; bolszewizm intelektualny oglądać można dzisiaj wszędzie, przegląda z architektury pokraczności blokowych, z bezsensu i próżniactwa obrazów wystaw dzisiejszych, z pośród kart najnowszej literatury, sztuki, poezji, z obyczajów i schamienia t. zw. warstw kulturalnych, z nędzy, hulającej po barach i nocnych spelunkach, z rozprzężenia młodzieży i dzieci. Bolszewizm intelektualny — powiedzmy „biały bolszewizm", dla oddzielenia go od przykrych dla naszej małoduszności obrazów krwi i ognia — przegląda dzisiaj z prawodawstw „postępowych", z niezaradności biurokracji wszelkich odcieni, z przesileń gospodarczych; bolszewizm ten czai się i rozmnaża

wśród rzesz, częstokroć zawodowo bezrobotnych, wśród tłumów bezdomnych, wśród zagłady moralnej dzieci ulicy!

I cywilizacja nasza idzie doń krok za krokiem, jak ptak, zapatrzony w oczy żmiji. A gdy wreszcie runie ta cała nasza kultura, której podstawy własnemi podkopywujemy rękami, wówczas dopiero będziemy mogli zaśpiewać nieco sparafrazowaną strofkę:

„O cześć wam, panowie demokraci“!..

Intelektualizm dusi się dzisiaj pod gniotącym go ciężarem neo-despotyzmu, nieporównanie groźniejszego od wszelkich cenzur, inkwizycji czy despotyzmów tyranów osobowych, dusi się pod ciężarem despotyzmu interesów materjalnych i nieodpowiedzialności mas, despotyzmu liczby bez mózgu!

Czyż z tego wynika, iż mamy ostatecznie zwątpić o przyszłości ludzkości? Bynajmniej!

Człowiek króluje nad przyrodą, gdyż posiada rozum. Rozum nasz ukazuje zło, ścisła zaś i surowa djagnoza jest pierwszym krokiem dla przeprowadzenia kuracji!

Rozum ludzki wie i zdaje sobie sprawę z tego, iż musi dla ratunku świata, oddać się na służbę najwyższej dziedzinie ducha, jego dziedzinie naturalnej, nadprzyrodzoności! Ale kierunek nadprzyrodzony musi być jednolitym, musi jeden przed sobą widzieć cel, w jedne ujętym być musi ramy systemu, aby znowu nie zginąć we mgle hipotecznych fantasmagorji, nie wprowadzić rozumu po tęczowych ścieżkach ułudy do pustyni zaprzeczeń. Zorganizowany nadprzyrodzony kierunek daje tylko religja i rozum ludzki już sobie jasnó zdaje sprawę, iż uratować cywilizację może tylko religja, zaś jedyną prostolinijną w swym systemie i od założenia nietkniętą religją jest właśnie Katolicyzm. I dlatego to świat dzisiejszy zwraca swe oczy ku Stolicy Piotrowej, jedynej niewzruszonej epoki, której bramy piekielne nie przemogą.

Józef Tyszkiewicz

PRAWORZĄDNOŚĆ I AUTORYTET.

Znajdujemy się w okresie zaciętej walki pomiędzy zwaśnionemi stronnictwami na temat przestrzegania praworządności i autorytetu władzy. Wszystkie zwalczające się strony oczywiście swojej tylko interpretacji tych pojęć przypisują wyłączną słuszność i dlatego pretendują do monopolu właściwego pojmowania obu terminów także w swojej praktyce politycznej. Nie wchodząc zupełnie w ocenę aktualnego na tem tle konfliktu, uważamy za wielce pożądane poświęcić tym terminom kilka uwag zasadniczych.

Według „Kodeksu Społecznego", będącego autorytatywną wykładnią katolickich zasad życia, prawo jest przepisem rozumu, dyktowanym dla dobra ogółu przez prawomocną władzę. Z chwilą, gdy prawo przestaje być zgodne z rozumem, traci zupełnie swą rację bytu i przestaje obowiązywać. „Prawo, ogłoszone przez właściwą władzę, domniema się być zgodne z rozumem". Zgadza się to ze zdaniem p. Lapie, autora „La justice par l'état", że praworządność jest tylko „tłumaczeniem na język moralny prawa powszechnego i koniecznego rozumu". „Bojaźń lub roztropność", mówi Kodeks „wpływać mogą na ludzi, którzy wtedy, dla uniknięcia gorszego zła społecznego, ulegać mogą prawom nie obowiązującym, lecz o ileby takie prawa nakazywały pewne czyny lub zabraniały spełniania pewnych obowiązków, zgodnych z prawem naturalnem lub nakazem prawa Bożego, wówczas każdy obywatel winien słuchać Boga, a nie ludzi". Państwo zaś jest „podległe temuż prawu moralności i tymże zasadom sprawiedliwości, jakim podlega jednostka ludzka". Prawomocność władzy według rzeczonego Kodeksu „nie jest opatrznościowo związana z jakąkolwiek formą rządu... każdy więc człowiek winien ule-

gać tej formie rządu, jaką dany kraj przyjął i nie występować w niczem poza formy legalne, by taki rząd zmienić lub obalić". „Władza... wynika z samej natury, a przez to samo pochodzi od Boga... sprzeciwianie się władzy jest sprzeciwianiem się porządkowi, ustanowionemu przez Boga „qui resistit potestati, Dei ordinationi resistit" (Św. Paweł do Rzymian XIII). „Jednostka ludzka posiada prawa wyższe i starsze od wszelkich praw rzeczowych, a są niemi prawa naturalne osób i rodzin, wypływające wprost z natury ludzkiej, rozumnej i wolnej". — Kodeks praw ma więc stawić wyraźne granice i regulować „życie praw naturalnych jednostek".

Św. Augustyn w swojej sławnej rozprawie „De civitate Dei" zaznacza, że nie ma sprawiedliwości poza praworządnością, wypływającą z zasad Chrystusowych. Dlatego też prof. Władysław Leopold Jaworski w swoim „Projekcie konstytucji" stwierdza, że „n i c nie może ograniczyć Prezydenta w wykonywaniu jego władzy wedle zasad moralności Chrystusowej". Znakomity uczony krakowski odrzuca wobec tego ustawy, starające się narzucić obywatelom pewne teorje, niezgodne np. z przekonaniami katolickiemi, jak wprowadzenie do konstytucji tezy o pochodzeniu władzy od ludu. Uważa on praktycznie wszelkie ustawowe „uzasadnienie celu i pochodzenia państwa" za zgoła zbyteczne.

Takiego zdania był już Platon, który we wszystkich swoich rozważaniach brał dobro za zasadę wyjścia. Wybitny uczony niemiecki, Leo Scheston, w swojej „Potestas clavium" stwierdza, że „ani ludzie, ani aniołowie przemienić nie mogą dobrego czynu w zły. Dobro jest suwerennem, nie uznaje żadnego pana nad sobą". Nawet Plotin mówi o — jakbyśmy to dzisiaj określili — „autonomji moralności". „Ustawa", jak dowodzi prof. Jaworski, „zawierać może tylko normy prawne. Nie podaje źródła, z którego wypłynęła... Bez owego źródła ustawa wogóle nie może się zrodzić, bez owego faktu rodzi się jako dziecko nieżywe". „Pre-

zydent Rzeczypospolitej, który wykonywa swą władzę według zasad moralności Chrystusowej, nie podpisze ustawy, którąby miała na celu zniszczenie jakiejś klasy społecznej, jakiejś narodowości, którąby nakładała pęta wolności duchowej człowieka". Nie ma zaś rady na to, że to się nie spodoba tym, którzy negują moralność absolutną i wszelkie normy wyprowadzają z „volonté générale"! To też pojęcie praworządności chrześcijańskiej zgadza się zupełnie z zasadą „salus rei publicae suprema lex esto", pod warunkiem oczywiście pojmowania terminu salus zgodnie z przykazaniami moralności absolutnej. Najdobitniej sformułował ową zasadę genjalny myśliciel francuski M. Barrès, głosząc, że p r a w a n i e w o l n o ł a m a ć u s t a w ą („On ne peut pas supprimer le droit par la loi"). Słusznie przecież stwierdza prof. Jaworski, że „z chwilą, gdy ustawodawca nie szuka źródła w religji, zmuszony jest szukać gdzieindziej absolutu, z któregoby mógł wywieść swoje postanowienia i na których mógłby je oprzeć. Szukano go więc w naturze, rozumie, narodzie, nauce", a więc tylko w tworach praźródła praw. Cały szereg teorji, uważanych za dogmaty, pochodzi z rewolucji francuskiej i innych przewrotów, przedstawia więc wyłącznie doktryny, nikogo nie obowiązujące i sprzeczne częstokroć z samą istotą prawa, wypływającą dla wszystkich, stojących na gruncie religijnym, z absolutu. To też prawa przyrody i prawa rozumu, przyjęte jako objawienie absolutu, czyli woli Opatrzności, są dla nas prawami Bożemi, wyższemi, stojącemi moralnie ponad konstytucją i wszelką ustawą pisaną. Wszelka suwerenność narodu jest pojęciem wtórnem, nie mogącem pretendować do zmiany naturalnego ustroju prawnego, do przeinaczenia praw odwiecznych, do zakwestjonowania przykazań objawionych, do osłabienia znaczenia norm, które głosi jako obowiązkowe Kościół na podstawie mandatu ewangelicznego. D l a t e g o t e ż o b o w i ą z k i e m w s z y s t k i c h, w y z n a j ą c y c h z a s a d y r e l i g i j n e, j e s t ż ą d a n i e p r a w o r z ą d n o ś c i n i e w z n a c z e-

niu przestrzegania przedewszystkiem wszelkich ludzkich ustaw pisanych, bez względu na ich zgodność lub niezgodność z prawem przyrodzonem, lecz w znaczeniu zharmonizowania przepisów konstytucyjnych i ustawowych z moralnością absolutną i jej nadprzyrodzonemi przykazaniami. To też na kongresie warszawskim „Międzynarodowego Związku Badań Społecznych“ ks. Hohenlohe, dominikanin, wystąpił z płomiennem przemówieniem, nawołującem polityków katolickich do utorowania prawu przyrodzonemu powrotu do ustrojów i ustawodawstw państwowych.

Skoro uznajemy istnienie praw i autorytetów, stojących ponad suwerenną władzą państwową, nie możemy utożsamiać praworządności z przestrzeganiem ścisłem prawa formalnego, opartego o ustawy, obowiązujące li tylko na zasadzie uchwalonych lub zadekretowanych przez konstytucyjną instancję aktów zbiorowej czy indywidualnej woli ludzkiej, tembardziej, gdy dana ustawa przeczy wyraźnie prawu przyrodzonemu, rozumowi, przykazaniu Bożemu lub nauce religji. Wynika to samo przez się z uznania absolutnej moralności jako źródła prawa i sprawiedliwości. Natomiast musimy domagać się właśnie od rządu przestrzegania praworządności i poszanowania dla autorytetu tak, jak tego żąda prof. Jaworski dla Prezydenta, mianowicie wyłącznie wedle moralności absolutnej, czyli nawet ewentualnie niezależnie od formalnie obowiązującego prawa!

Oczywiście należy być nader ostrożnym w formułowaniu i stosowaniu tej tezy. Nie mówiąc już o potępieniu wszelkiego czynnego oporu przeciwko legalnej władzy, jako takiej, zgodnie z wyłożoną powyżej doktryną, nie możnaby się zgodzić z przeciwstawianiem władzy, niezgodnej w swoich poczynaniach z prawem przyrodzonem, biernego oporu, np. na wzór akcji Gandhiego w Indjach; wszelki taki ruch bowiem musi z natury rzeczy doprowadzić do rewolucji

i anarchji, których nie wolno tolerować bezwzględnie, jako stałego czynnika w łonie społeczeństwa. To też, jak głosi Kodeks Społeczny, „jedynie nieznośna tyranja lub jawne gwałcenie zasadniczych praw obywatelskich, po wyczerpaniu wszelkich środków, prowadzących do pojednania lub legalnej zmiany, usprawiedliwić może bunt". Tembardziej wymagać trzeba od osób, dzierżących władzę, by dbali „przedewszystkiem o ochronę i zabezpieczenie praw jednostek i grup społecznych, nad któremi (ta władza) jest ustanowioną. Naruszenie bowiem tych praw powoduje bardzo głęboki i fatalny oddźwięk na dobrze ogółu, nad którem władza ma pieczę, gdy odwrotnie, poszanowanie praw jednostki sprzyja ogólnemu rozwojowi dobrobytu. Konieczna jest więc taka władza, która ma możność uprzedzić nadużycia, zmusić do posłuchu opornych i ukarać winnych". Państwo, jak stwierdza Kodeks Społeczny, „powinno się starać w niczem nie przeszkadzać inicjatywie prywatnej, nie utrudniać dobrowolnej działalności jednostek i grup. Gdy okazuje się niewystarczającą, winno jest państwo ją pobudzać, koordynować, wspomagać i dopełniać, a dopiero w ostateczności zastępować". Znaczy to, że rząd, mając pełne prawo do żądania bezwzględnego posłuszeństwa, jest praworządnym wtedy, gdy kieruje się moralnością absolutną, tak przy ustanawianiu i przestrzeganiu ustrojowego porządku prawnego, jak i przy decydowaniu gospodarczych, politycznych i społecznych potrzeb społeczeństwa. Tylko absolut (wiara) i obowiązujące jego przykazania mogą być dla ideologji zachowawczej czynnikiem nadrzędnym, superpaństwowym; *odrzucić należy natomiast z całą stanowczością tendencje do uczynienia z państwa czy narodu pojęcia transcendentalnego, stojącego ponad społeczeństwem, zastępującego „absolut"*, a przez to czyniącego faktycznie osoby, władzę dzierżące, niezależnemi od jakiejkolwiek władzy zewnętrznej, poza własnem ich sumieniem i indywidualnem

pojmowaniem salutis rei publicae. Z drugiej jednak strony nie może nam, ludziom wierzącym, wystarczyć kontrola parlamentarna praworządności rządu; wręcz przeciwnie, parlament, kierując się wyłącznie „prawem“, przez siebie uchwalonem, nie zawsze, jak wiadomo, a nawet często niezgodnem z prawem przyrodzonem, z rozumem, z przykazaniami wiary, nietylko nie może być pewnym stróżem praworządności, lecz częstokroć bywa tej właśnie praworządności najwyższym, bo „suwerennym“ gwałcicielem. Są przecież parlamenty, które nawet uchwalonej przez siebie konstytucji nie przestrzegają i wszelkim projektem wprowadzenia trybunału konstytucyjnego lub rady stanu gardzą, jako rzekomymi zamachami na wyłączność ich uprawnień „prawodawczych“. Zamiast działać umoralniająco na społeczeństwo, „władza“, stosując takie „prawo“, działać musi destrukcyjnie. Cóż dopiero, kiedy sędzia, stróż powagi prawa, zmuszonym jest niekiedy do wyrokowania — wbrew własnemu sumieniu. To też, stojąc kategorycznie na stanowisku odpowiedzialności rządów, musimy się zgodzić z wnioskiem prof. Jaworskiego i domagać dla głowy państwa takich uprawnień konstytucyjnych, któreby podkreślały przedewszystkiem jego odpowiedzialność przed Autorytetem Najwyższym i jego obowiązek niedopuszczenia do łamania prawa przyrodzonego przez ustawę ludzką. W tym też kierunku jedynie należałoby badać możliwości ewentualnej kontroli autorytatywnej.

Pamiętać należy m. in., że Kościół nigdy nie przyznawał przysiędze możności łamania obowiązków przyrodzonych. Dlatego też ustawy „zaborcze“, wymagające przysięgi na wierność monarsze, nie mogły moralnie zwolnić obywateli (żołnierzy, urzędników) od naturalnych obowiązków względem własnej rodziny, narodu, ojczyzny i t. d. Nie znaczy to jednak, by wolno było dla swego widzimisię pomiatać świadomie przysięgą!

Z tego też wychodząc założenia, tem ostrzej trzeba potępić wszelkie nadużycia władzy, tak ze strony parlamen-

tów, wydających niezgodne z prawem i dlatego moralnie nieobowiązujące ustawy względnie uchwały (np. naruszające własność prywatną, krzywdzące jednych, a faworyzujące drugich, krępujące inicjatywę prywatną, sprzeciwiające się nakazom wiary w dziedzinie małżeństwa, szkolnictwa i t. d. *), jak i ze strony rządów czy władz, czyniących z władzy cel sam w sobie, naginających sprawiedliwość do potrzeb własnych, dopuszczających się czynów karygodnych, czy też wogóle działających, jakgdyby prawo ich, jako jego podmiotu, nie obowiązywało i hołdujących zasadzie, że cel uświęca środki. Parlamenty, nie wydające swoich członków na żądanie sądów i władze, wpływające na śledztwo sądowe według swojego widzimisię, popełniają jednakowe bezprawie, przyczem charakter prawodawczy, czy też wykonawczy danej władzy w niczem nie zmniejsza jej obowiązku do szanowania prawa i sprawiedliwości; przeciwnie, odpowiedzialność ich jest w istocie większa, aniżeli poszczególnych jednostek. One to właśnie winny przedewszystkiem pamiętać o starej zasadzie: „Nemo sit judex in causa sua".

Wyprowadzenie norm prawa i sprawiedliwości z najwyższego autorytetu (absolutu), a więc oparcie pojęcia praworządności o niewzruszone, wieczne podstawy, zmusza nas również do kategorycznego sformułowania postulatu wprowadzenie do ustrojów państwowych, programów politycznych i światopoglądów, właściwego poszanowania dla pewnych autorytetów, bezwzględnie, czy też względnie nienaruszalnych. Nie chcemy dłużej się rozwodzić nad tem zagadnieniem, jako wkraczającem w dziedzinę rozpraw konstytucyjnych, zaznaczamy jedynie, że tak, jak nie możemy przyznawać demokracji prawa do zmiany praw odwiecznych i kanonów gospodarczych, co byłoby (względnie jest)

---

*) „Figaro", zwalczając nowo uchwaloną ustawę o ubezpieczeniach społecznych we Francji, nazywa ją „la loi contre le droit", jako naruszającą własność prywatną i równouprawnienie warstw społecznych, zagwarantowane w „Deklaracji praw człowieka i obywatela", będącej podstawą konstytucji francuskiej.

równoznacznem z chęcią gwałcenia przyrody, tak potępić musimy wszelkie jej usiłowania do przyznania masie, zbiorowisku, zgromadzeniu (chociażby zwanemu parlamentem), względnie ich emanacjom, autorytetu, wyższego od autorytetów istotnie „nadrzędnych“, opartych o objawienia absolutu, czy też nawet od autorytetów indywidualnych, naukowych czy fachowych, przez kompetentne czynniki rozumu powszechnie uznanych. Tak, jak śmieszne są rozprawy parlamentu angielskiego nad zagadnieniami teologji i włoskiego pro lub contra nauczaniu filozofji, tak samo oburzające i niemoralne są fakty przechodzenia do porządku dziennego nad miarodajną opinją powag naukowych w sprawach, wymagających głębszej, fachowej znajomości, albo też powierzania odpowiedzialnych funkcji osobom — że tak nazwiemy — postronnym, z pominięciem, z jakichkolwiek względów, czynników kompetentnych. Wszystko to, co przywykliśmy nazywać kluczem partyjnym lub nepotyzmem politycznym, jak również ciągłą zmienność aparatu administracyjnego, należy bezwzględnie potępić z punktu widzenia sprawiedliwości absolutnej i misji władzy w państwie, tak wykonawczej, jak i ustawodawczej.

To też trudno o prawdziwą „sanację moralną“ w Polsce, zanim nie będą z gruntu przeorane poglądy tak rządzących, jak i rządzonych, na samą istotę pojęć praworządności i autorytetu. Doskonałość jest zresztą przywilejem Bożym, ludzie powinni do niej dążyć z wszelkich sił, jest też niewątpliwie naszym obowiązkiem, jako obywateli państwa, uczynić wszystko dla zapanowania w niem moralności absolutnej; raju na ziemi jednak, pomimo najlepszych usiłowań, nie zaprowadzimy. Życie jest i pozostanie walką, życie państwowe też jest i pozostanie walką — nie klas, którą nam narzucają marksiści, lecz materji i ducha. Walczmy więc nadal w imię ducha — idąc prostą drogą naprzód — ku wyższemu celowi ludzkości, nie potykając się o przeszkody zmiennych konjunktur i przemijających, jałowych sporów! Bezprawie mści się zawsze. Marszałek Piłsudski,

uzasadniając swój zamach stanu, oświadczył, że „za dużo było nieprawości w Polsce". Historja zaś nas uczy, że nadmiar nieprawości zawsze powodował wstrząsy i gwałtowne reakcje, od dołu czy od góry, przechodzące częstokroć w zupełną negację autorytetów, w chaos i anarchję, do wzajemnej rzezi bratobójczej i terroru włącznie.

Praworządność i Autorytet są dlatego najistotniejszym warunkiem stałości i prawidłowości życia państwowego, muszą one przeto w powszechnem być poważaniu i nie mogą być nadużywane dla egoistycznych celów poszczególnych jednostek czy grup społecznych. Niestety, społeczeństwa często tak daleko wpadają w bezdroża ustrojowe i ustawodawcze, że — wzorem starogreckich komedji — tylko deus ex machina (dyktator lub przewrót) naprawić zdoła zło i wprowadzić z powrotem nawę państwową na drogę prawa, mniej lub więcej dobrze pojętego. O ile zaś praworządność przez wstrząsy podobne musi volens nolens być na szwank narażona, o tyle właśnie w podobnych momentach pojawienie się powszechnie uznanego autorytetu może zapewnić praworządność prawdziwszą od tej, jaką zapewniają pozbawione autorytetu konstytucje i nierealne ustawy, nad któremi życie przechodzi prędzej czy później do porządku dziennego. A przecież próżnia ustrojowa, wynikająca z zaniku autorytetu prawa pisanego, musi doprowadzić do anarchji, do fatalnej zasady przedrozbiorowej: „nierządem Polska stoi".

To też politycy katoliccy i konserwatywni, więcej, niż ktokolwiek inny, pamiętać muszą, że w imię właśnie obrony samych najistotniejszych podstaw praworządności, nie wolno narażać w walce partyjnej na szwank istniejących autorytetów. Nikt, poza najwyższemi władzami kościelnemi, niema prawa rzucić na szalę wypadków, rozgrywających się na arenie publicznej, autorytetu Kościoła, do którego wyłącznego przedstawicielstwa żadna z partji politycznych nie może pretendować. Nikt nie powinien najwyższych autorytetów konstytucyjnych w państwie

angażować w walce partyjno - politycznej, wyborczej czy parlamentarnej, jednych obywateli państwa przeciwko drugim (za wyjątkiem walki z elementami czy ruchami jawnie przeciwpaństwowymi, względnie destrukcyjnymi z punktu widzenia patrjotyzmu, moralności i racji stanu). Nikt również nie powinien obniżać lub zwalczać, w ferworze i roznamiętnieniu polemiki politycznej i antagonizmów partyjnych, tych autorytetów personalnych, które, aczkolwiek tym lub owym pod względem orjentacji czy nastawienia politycznego niemiłe, ze względu jednak na swoją wiedzę naukową lub fachową, czy też na swoje zasługi dla dobra państwa, powszechnie uznane, należą do owej najwyższej elity, częstokroć legendą otoczonej, której zawsze i wszędzie bywa raczej za mało, jak za dużo i która powinna pozostać nienaruszoną, nimbem powszechnego poważania (pomimo wszelkiej objektywnej krytyki) otoczoną „rezerwą“ narodowej racji stanu, tak często narażonej na brak niezbędnych autorytetów personalnych w chwilach krytycznych i przełomowych.

Wzorem właściwego ustosunkowania się do autorytetu zasługi i rozumu są niewątpliwie Niemcy, bez różnicy zapatrywań partyjnych (za wyjątkiem najskrajniejszych tylko demagogów), względem marszałka Hindenburga. Przykład zrozumienia nienaruszalności autorytetu dla uniknięcia zachwiania podstaw praworządności dają nam również liberałowie hiszpańscy z pod znaku hr. Romanonesa, którzy, aczkolwiek byli w skrajnej opozycji do rządów dyktatorskich generała Primo de Rivera, zawsze jednak unikali najsumienniej i najstaranniej wszystkiego, co mogłoby narażać na szwank autorytet korony, jako symbolu majestatu państwa, pomimo osobistych pretensji do króla Alfonsa, wówczas opiekuna dyktatury. Obecnie zaś, w imię tejże praworządności, bronią autorytetu królewskiego przeciwko popularnym żądaniom zemsty za doznane krzywdy ze strony kierujących się emocjonalnymi względami obozów opozycyjnych. Słusznie też pojmowali swój obowiązek ci z polityków polskich,

którzy, czy to w okresie powstań narodowych, czy w ciągu ostatniej wojny, pomimo całkowitej solidarności serca z ideą zbrojnego, powstańczego porywu przeciwko bezprawnej władzy zaborców, niemniej starali się zrobić niemożliwe prawie, byleby zapewnić przekazanie, o ile możności bez niebezpiecznych zawsze wstrząsów rewolucyjnych, autorytetu władzy z rąk zaborców w ręce władzy narodowej, by uniknąć przez to grożącego załamania się w wirze przewrotu elementarnych podstaw praworządności. Tem większym jest oczywiście obowiązkiem osób, dany autorytet reprezentujących, względnie władzę dzierżących, by nie dopuścić do zachwiania owego autorytetu z własnej winy. Im wyższy autorytet, im większa władza, tem cięższą oczywiście jest odpowiedzialność. Nie znaczy to oczywiście, by najwyższy nawet autorytet personalny mógł — wzorem państw wschodnich — zastępować prawo swoją wolą.

Historja, ów najlepszy, bo na doświadczeniu tylu tysięcy lat oparty podręcznik wiedzy politycznej, zawsze da nam odpowiedź na najprzeróżniejsze wątpliwości i zawsze obfituje we wzory, jak należy, względnie jak nie należy postępować, tudzież, jakie trzeba naśladować wzory i jakich należy unikać błędów. Szkoda, że politycy i mężowie stanu tak rzadko do owej krynicy, nigdy nie wyczerpanej, zaglądają, względnie tak łatwo wszystko tłumaczą na opak. Wszak wszystko prawie już było, jak mówił ongiś stary Ben Akiba. Dyktatura, zamach stanu, rewolucja, przewrót, demokracja, wszystkie te pojęcia i ich dzieje są już stare i utarte, jak świat światem. Przestróg i wskazówek więc nie brak na wszelkie możliwe warunki i okoliczności. Wszak różne już doktryny, z zarozumiałości ludzkiej zrodzone, targnęły się wielokrotnie na Boskie podstawy ładu społecznego, czego zwłaszcza nowsze czasy wielu wymownych dostarczają przykładów. A jednak autorytet „moralności absolutnej" i odwiecznych praw przyrody pozostał zawsze niezachwiany i w ostatecznym rezultacie zwycięski.

Dajmy więc „co cesarza jest, cesarzowi, a co boskiego,

Bogu"! Szczere, sumienne zastosowanie tej zasady, rozwiąże zawsze wszelakie wątpliwości i komplikacje ustrojowe i wskaże bezspornie prawdziwą drogę praworządności, nie zaciemnionej ani skarykaturowanej różnemi wybujałościami ustaw pisanych lub politycznych koncepcji, modnych dziś, a potępianych jutro.

A. R.

O ŚWICIE.

KRAKOWSKIE WSPOMNIENIA LISTOPADOWE.

Pamiętam jak dziś, bo takich momentów nigdy się nie zapomina, jak któregoś dnia, z początkiem października 1918, jeden z moich kolegów ministerjalnych w Wiedniu wpadł do restauracji, w której urzędnicy Polacy spotykali się co dzień przy obiedzie, potrząsając gazetą w ręku, z okrzykiem:

— Front niemiecko-bułgarski pod Salonikami przełamany! Początek końca!

— Tak, to już naprawdę początek końca! — powtórzyli zgodnie zebrani z jakiemś nieokreślonem, ale niemniej elektryzującem uczuciem.

Nieokreślonem—bo czyż przełamanie jakiegoś drugorzędnego frontu nad morzem Egejskiem przez dessant francuski mogło w naszych ówczesnych pojęciach, zasklepionych celowo przez prasę mocarstw centralnych przed wszystkiem, co się na świecie działo, wpłynąć istotnie na losy wojny, a zwłaszcza na losy Polaków? Pozornie nic, a jednak każdy z nas, z jakąś błyskawiczną asocjacją idei, pochwycił odrazu związek logiczny między tem, co zaszło niespodziewanie pod Salonikami, a tem, co w konsekwencji musi prędzej czy później nastąpić w Polsce.

Upłynęło dalszych dni kilkanaście pozornej ciszy i mechanicznego odrabiania urzędowych kawałków. Czuliśmy, że się coś na świecie dzieje, że coś się „psuje w państwie duńskiem" — ale co, gdzie i jak, tego w więzieniu austrjackiej cenzury nikt z nas dokładnie nie wiedział. Pracowaliśmy w ministerstwie robót publicznych, łamiąc sobie głowy z dnia na dzień nad coraz bardziej zagadkowem zadaniem zaopatrzenia monarchji w węgiel z kopalń, gdzie zabrakło

robotników i zmniejszała się z dniem każdym w groźny sposób produkcja. Aż tu pewnego poranku w jednostajny tyk-tak mechanizmu biurowego wpada jak grom wiadomość: państwa centralne zgodziły się na czternaście punktów Wilsona!

W ten sposób formułują wobec nas zakończenie wojny światowej i kapitulację świata niemieckiego nasi przełożeni, osiwiali w służbie hofraci i szefowie sekcji, przesuwając się cicho po korytarzach, ze spuszczoną głową, przygarbieni nagle jakby paru dziesiątkami lat, powłócząc ledwie nogami. Widok dla urzędników z Galicji niezwykły! Czują ci wyhodowani od pokoleń w rutynie machiny państwowej dygnitarze rozpad starodawnego przeżytku monarchji austro-węgierskiej — otwartą przed sobą przepaść, nicość, w której zapada się nagle ich karjera, egzystencja i racja bytu. Czują to wszystko bodajże lepiej od nas Polaków, zdezorjentowanych i zahipnotyzowanych od chwili wybuchu wojny chaosem sprzecznych uczuć, dążeń, orjentacji, proklamacji i łamańców polityki po obu stronach frontu.

Wypadki postępują teraz szybko, pozostawiając daleko w tyle wszelkie nasze kombinacje i przewidywania, wszelki zmysł orjentacji. Czytamy na murach stolicy proklamacje cesarskie, starodawnym stylem ujęte odezwy „Do moich ludów", spóźniony owoc fatalnych swą nieudolnością doradców. Stopniowo wszystko się rozprzęga.

— Co to znaczy? — woła z oburzeniem jeden z moich kolegów. — Oni tam w Galicji nie chcą już słuchać naszych zarządzeń!

— Dyrekcja kolei w Krakowie wypowiedziała posłuszeństwo! Korespondencja nasza ginie, nikt na nią nie odpowiada!

Motłoch wiedeński przypuszcza szturm do gmachu ministerstwa wojny. Oficerowie ukazują się na mieście w narodowo-austrjackich kokardkach czerwono-białych, zasła-

niając niemi cyfrę cesarską na czapce. Rozruch na ulicach— zaczyna się rewolucja.

Pędzę do ministerstwa dla Galicji. Tam może dowiem się szczegółów, bo z kraju brak wiadomości od kilku dni. Zastaję znajomego wyższego urzędnika w rozpaczy. Biega po gabinecie jak nieprzytomny, zbywając półgębkiem wszelkie pytania, chwytając się co chwila za głowę.

— Wie Pan? Polska powstaje! Na nic mój piękny referat, właśnie ukończony, nad którym namordowałem się przez trzy miesiące!

I potrząsa przedemną grubym plikiem papierów.

A więc — na pociąg i do Krakowa, póki czas, to jest dopóki ruch osobowy nie zostanie przerwany, co grozi z dniem każdym. Bitwa o miejsca, nawet w pierwszej klasie, na dworcu północnym. Mam niby specjalne pozwolenie do wejścia przejściem uprzywilejowanem na peron dla „wcześniejszego zajęcia miejsca" w pociągu. Ale tam już wszechpotężna zawsze i wszędzie mniejszość wszechnarodowa wypełniła jeszcze wcześniej wszystkie wagony, nawet — bez specjalnego pozwolenia. A więc walka o wejście do wagonu i o teoretyczne miejsce w przedziale, z której wychodzę zwycięsko (jako dawny oficer frontowy), ale ze stratą jednego pakunku, co się na froncie też nieraz przytrafiało.

Ruszamy. Zjawia się kontrola i wnet cała mniejszość wszechnarodowa się ulatnia—w wagonie czyni się nagle błogosławiona pustka. Wyciągam się i zasypiam, nie zdając sobie dokładnie sprawy, że nazajutrz monarchja austro-węgierska zniknie z map Europy.

Jest dzisiaj wielu, bardzo wielu, którzy twierdzą zarozumiale, że wszystko dawno przewidzieli, że zwłaszcza wszystkie perypetje wojny światowej, wzajemny pogrom trzech zaborców i powstanie całkowicie niepodległej Polski nie stanowiły dla nich żadnej niespodzianki. Co więcej, dają do zrozumienia, że to niby oni tem wszystkiem kierowali, poruszając całym walczącem światem i losami przy-

szłej Polski jakby na szachownicy. My jednak, którzy walczyliśmy od początku wojny na froncie, a później pracowaliśmy w różnych dziedzinach wewnętrznej pracy urzędowej lub prywatnej, a nie mieliśmy okazji „odgrywania roli“ na ciekawej arenie międzynarodowej — daleko, bardzo daleko od huku dział i terenu barbarzyńskiego zniszczenia — my, powtarzam, wyznajemy w pokorze ducha, że nie przypisywaliśmy sobie tego daru jasnowidzenia i wszechmocy. Wiedzieliśmy, że o Polskę idzie, że jej losy po wojnie zmienić się muszą, ale jak i kiedy, o tem nikt z nas, skromnych żołnierzy czy pracowników, nie miał jasnego pojęcia. Ta jedna tylko obawa, jasna i zrozumiała, nurtowała w nas ustawicznie: aby Rosja lub Niemcy, zarówno Polsce wrogie, nie zawładnęły nią w ostatecznym wyniku w taki czy inny sposób, oraz aby Polska, gdyby nawet jakimś cudem całkowitą niezależność uzyskała, nie znalazła się nagle bez rządu, wojska i pieniędzy, zdana na łaskę pierwszych lepszych demagogów krajowych lub zagranicznych.

A obawy te rosły u nas w miarę utrwalania się okupacji niemieckiej w Kongresówce i zwycięstwa rewolucji bolszewickiej w Rosji. Rosły też w miarę rozkładu legjonów i utraty nadziei, że koniec wojny, jakikolwiek on będzie, zastanie choćby kilkadziesiąt tysięcy wojska polskiego pod bronią, dla wywalczenia samą swą obecnością dobrych warunków pokojowych i uchronienia młodego tworu państwowego od zbytnich wstrząsów i przewrotów w pierwszych chwilach odzyskania niepodległości. Dlatego byliśmy za t. zw. austro-polskiem rozwiązaniem sprawy, t. j. oparciem o najsłabsze, wielojęzyczne państwo zaborcze i życzliwą nam dynastję, młodego organizmu państwowego, któryby jednak ze swymi dwudziestu miljonami rdzennie polskiej ludności musiał niemal niepodległe zająć w niem stanowisko, chroniąc się zarazem przed przewidywaną wszechwładzą własnej rozwichrzonej demagogji i bezrozumnego radykalizmu.

W tem znaczeniu byliśmy więc austrofilami i tem tłu-

maczą się owe pozornie śmieszne obawy wiedeńskich Polaków wobec nagłego przerwania wszelkiej łączności między stolicą monarchji a Galicją. Kto sądzi, że naprawdę wszystko lepiej przewidział, co się stanie w ciągu najbliższego dziesięciolecia, niech pierwszy rzuci na nas kamień!

Rankiem 1-go listopada budzę się na dworcu w Krakowie. Wychodzę na miasto. A w Krakowie — maj, mimo późnej jesieni. Słońce zalało ulice jakimś wiosennym blaskiem, umaiły się domy i gmachy publiczne jedliną i biało-amarantowemi szarfami, a wszystko, co żyje, wyległo na Rynek. Znikły różnice stanów, znikła na moment dostojna powaga różnych miejscowych autorytetów i zmieszała się radośnie z tłumem.

Ciągniemy, flanując w upojeniu, przed odwachem pod starą wieżą ratuszową, przybranym odświętnie w zieleń i barwy narodowe, podziwiając sprężyście defilujący posterunek w czapkach legjonowych. Policja też przybrała się w maciejówki z orzełkiem. Owdzie stoi oparta o mur tablica, na której pośpieszną ręką wymalowano niezgrabnemi literami dekret Rady Regencyjnej o powstaniu niepodległej Polski ze wszystkich trzech dzielnic. A wśród rozkołysanych tryumfalnym nastrojem tłumów uwijają się chłopaki, sprzedając oznaki narodowe i pokrzykując dźwięcznym głosem:

— Orzełki, polskie orzełki!

Wszystko, co żyje, kupuje, przypinając je sobie na piersiach. Jakaś prawdziwie podniosła, upajająca atmosfera podnieca falujące tłumy, atmosfera historycznego patrjotyzmu, możliwa w całej swej pełni tylko w Krakowie, w ramach Kościoła Marjackiego, Sukiennic, Wawelu i innych potężnych pamiątek świetnej przeszłości.

Nie brak i momentów zabawnych. Oto kroczy przedemną znany dobrze wszystkim krakowskim oficerom, wracającym z frontu, czeski generał, przyczepiony tu stale do jakiejś kancelarji etapowej, który znaczną część swego ważnego urzędowania pełnił na linji A — B, zatrzymując

frontowych wojaków, gdy tylko jakąś drobną nieprzepisowość dojrzał w ich mundurze i podobno nawet obcinając zbyt wysokie kołnierze nożyczkami, które w tym celu nosił przy sobie. Dziś w cywilnem ubraniu, ze skromną miną, bierze udział w patrjotycznem corso i nie mogę już nawet ręczyć, że nie miał orzełka polskiego na klapie paltota!

O dniu niezapomniany! Obym nie musiał powtórzyć kiedyś za poetą: Ja tylko jedną taką... jesień miałem w życiu!

Ale wnet czar mija, ustępując miejsca rzeczvwistości. 7biera się wielka narada miejscowych honoracjorów, zalążek Komisji Likwidacyjnej. Przewodniczy Tertil, narodowy demokrata. Zabiera głos Ignacy Daszyński:

— Nadeszła — woła — godzina rewolucji narodowej. Lud bierze rządy w rękę, a w razie sprzeciwu zapowiadam, że głowy będą lecieć z karków, jak kominy z dachów!

Poczem przedstawiciele „rewolucji ludowo-narodowej“ zwracają się obecnych na naradzie dwóch przedstawicieli konserwatystów:

— A panowie — oświadczają krótko — nie mają tu już nic do powiedzenia!

Konserwatyści opuszczają zebranie.

Wnet potem inna narada, mniej liczna, ale znamienna, u Michała Bobrzyńskiego. Schodzi się tam kilku poważnych przedstawicieli stronnictwa konserwatywnego. Nadeszła właśnie depesza z Warszawy. Niemcy zaczynają ustępować. Utworzył się rząd Świerzyńskiego, czysto endecki i wysyła do Krakowa delegatów. Jakie zająć stanowisko wobec tego pierwszego rządu polskiego, którego polityka będzie oczywiście w każdym calu wroga konserwatystom i djametralnie sprzeczna z ich zapatrywaniem na niezbędne potrzeby powstającego państwa?

— Nie wierzymy — twierdzą mówcy — aby endecja mogła sobie wogóle dać radę w tym chaosie. Ale trudno, niepodobna nam, konserwatystom, stawać w opozycji prze-

ciw pierwszemu rządowi niepodległej Polski. Oświadczamy się za nim dla samej zasady!

(Warto zanotować ten znamienny epizod dla wiadomości tych, którzy posądzają nas dzisiaj, że opowiadamy się za Piłsudskim dla karjery czy oportunizmu).

Wieczorem wychodzę na miasto. Sytuacja zmieniona. Na ulicach w śródmieściu jakaś niesamowita pustka i cisza. Latarnie palą się zrzadka, przyćmionem światłem. Na odwachu ta sama garstka żołnierzy, dotąd jeszcze nie zluzowanych, jedyna ponoć obrona miasta przed — rewolucją ludowo-narodową. Ale za to daleko dokoła, z odległych przedmieść, rozlega się raz wraz echo strzałów, wymierzanych nie wiadomo przez kogo i przeciw komu.

Wrażenie budzącego się wulkanu.

W parę dni potem znowu krótka chwila podniosła. Staje na dziedzińcu wawelskim szereg oficerów rezerwy do przysięgi. Przed frontem gromadzi się prezydjum Komisji likwidacyjnej. Wśród niego nowy komendant krakowskiego korpusu, generał Roja, w mundurze bez oznak. Zajeżdża auto. Wysiada przybyły z Warszawy szef sztabu Rozwadowski. Krótka przemowa do oficerów, potem przysięga. W katedrze celebruje mszę uroczystą biskup Sapieha. Śpiewamy z uniesieniem poraz pierwszy zmieniony refren:

— Ojczyźnie wolnej pobłogosław Panie!

Ale tymczasem nadchodzą wieści z kraju i zagranicy.

Wracają podobno „endecy-moskalofile“, którzy pod okupacją rosyjską w Galicji Wschodniej zbyt głośno i gorliwie oświadczyli się za odbudową autonomji ziem warszawskiej, krakowskiej i poznańskiej pod berłem zwycięskiego wówczas cara, zgadzając się milcząco na „rdzenną rosyjskość“ wszelkich innych ziem polskich, nie wyłączając Galicji po Dunajec. Bo przecież nawet gdzieś pod Krynicą jest parę wsi, zamieszkałych przez „rdzennego chłopa rosyjskiego“ i dlatego słuszna, aby cały kraj po linję Dunajca był złączony na wieki z moskiewską macierzą!

Za popieranie takiej polityki zachłannego caratu musieli oczywiście uciekać do Rosji po przełomie pod Gorlicami. A teraz wracają podobno robić porządek z przeciwnikami politycznymi, w pierwszym rzędzie oczywiście ze zwolennikami legjonów — „przy pomocy armji Hallera“(!?).

Wieść niesie, że Stanisław Grabski, który szczególnie się odznaczył na czele filorosyjskiego ruchu we Lwowie, dysząc teraz, jak Szaweł, nienawiścią przeciw aktywistom, wiezie ze sobą gotowe listy proskrypcyjne. Będą więc leciały głowy konserwatystów i legjonistów, jak kominy z dachów...

W Małopolsce grzmi na burzę. Chłopi ruszają już tu i ówdzie przeciw dworom za hasłem rewolucji ludowo-narodowej. We Lwowie wybucha powstanie ukraińskie, wspomagane przez pułki rusko-austrjackie, rozlokowane tam perfidnie przez zmartwychwstałego w czasie wojny metternichowskiego ducha w naczelnej komendzie armji. Ostatni to, typowy podarunek dla Polaków ze strony sołdateski austrjackiej, która po półwiekowym reżimie konstytucyjnym w monarchji dorwała się na kilka lat do władzy, aby w krótkim czasie zaprzepaścić egzystencję i rację bytu austro-słowiańsko-węgierskiej marchji wschodniej, założonej ongiś przez Babenbergów.

Coraz większy bezład i anarchja w kraju. Żadnej władzy, ani programu, ani egzekutywy. Delegat rządu warszawskiego, ks. Witold Czartoryski, odjeżdża z kwitkiem do Warszawy. Kraków rewolucyjny „nie chce go słuchać“. Żadnego bezpieczeństwa, żadnej ochrony porządku, żadnego wojska, oprócz kilkunastu żołnierzy w maciejówkach na odwachu.

Nadchodzą wieści o proletarjackiej republice lubelskiej. A więc naśladownictwo Sowietów! W Zagłębiu niektóre miasta i linje kolejowe opanowali komuniści, tworząc uzbrojone gwardje z mętów społecznych z czerwonymi opaskami na ramieniu. W Warszawie, przed tworzeniem wojska,

ma podobno powstać „rewolucyjna“ milicja ludowa. Każdy wie, co to znaczy!

Grozi więc w Krakowie anarchja. Rozsądniejsze jednostki porozumiewają się. Niepodobna istnieć dłużej bez jakiejś władzy, bez jakieś ochrony ładu, mienia i bezpieczeństwa obywateli. Gdyby był choćby jeden karny bataljon wojska! Sama jego obecność wystarczy. Ach, gdyby były legjony!...

Tak, gdyby były! Ale olbrzymia większość społeczeństwa nie chciała słyszeć w czasie wojny o polskim żołnierzu, nie chciała widoku polskich sztandarów na polach walk, w których wzięły udział niemal wszystkie narody świata. Nie chciała zwłaszcza widoku polskiego żołnierza na polskiej ziemi i patrzała obojętnie na jego likwidację.

A teraz skąd go wziąć? Rewolucja się zbliża. Panowie, na gwałt żołnierza, królestwo za żołnierza!

— Ależ — poddaje ktoś — jest Wehrmacht w Warszawie, wyćwiczony po prusku, karny, świetnie się prezentuje. Sam go niedawno podziwiałem.

— Brawo, jest Wehrmacht!

— No, ale to przecież formacja Beselerowska...

— Głupstwo! Niech choć jeden bataljon wmaszeruje na Rynek przy dźwięku trąbki! Nastanie spokój momentalnie, będzie można odetchnąć i pomyśleć o jakiejś organizacji stosunków!

Upoważniają więc pewną poważną osobistość do wystosowania listu do szefa sztabu w Warszawie. List zaraz gotowy, wyjeżdża sztafeta. A w parę dni potem przybywa do Krakowa bataljon doskonale „moderowanej“ piechoty, jakiej oczy krakowskie, przyzwyczajone do widoku zdemoralizowanych landszturmistów z ostatków wojny, dawno już nie widziały.

I nastał spokój. Groźby umilkły, wieści ucichły, rozpoczęła się praca.

Tak wyglądały naprawdę narodziny niepodległości w Krakowie.

„Stańczyk“

„LE MARXISME — VOILA L'ENNEMI!"

Na odbytem niedawno w Angers kongresie „Alliance démocratique", najbardziej prawicowego — obok grupy Martin'a (Union républicaine et démocratique) — ugrupowania w dzisiejszej izbie francuskiej, którego członkiem jest również premjer Tardieu, uznano za podstawowe i zasadnicze hasło tego ugrupowania: „Le marxisme, voila l'ennemi!"

Zastrzegając się przeciwko szablonowemu podziałowi społeczeństwa na „białych i czerwonych", demokraci francuscy wypowiedzieli się za koniecznością silnego ugrupowania „środkowego", umiarkowanego, które, nie mogąc być posądzanem o tendencje monarchistyczne czy reakcyjne, podjęłoby zasadniczą walkę w obronie kanonów gospodarczych, czyli ekonomicznych praw przyrody, przeciwko destrukcyjnej teorji Marxa, dezorganizującej prawidłowość struktury gospodarczej i wydajność sił produkcyjnych kraju, podważającej własność prywatną i rentowność indywidualnego warsztatu pracy i starającej się narzucić Francji z powrotem ową komunę, która już dwukrotnie doprowadziła państwo nad skraj przepaści. Równocześnie kongres zwrócił się z ostrzeżeniem pod adresem radykałów, podtrzymujących socjalistów dla celów partyjnych przeciwko obrońcom praworządności gospodarczej, wychodzącem z założenia, niewątpliwie słusznego, że w walce objektywnego światopoglądu gospodarczego z marksowskim kolektywizmem, tak tym z pod znaku Amsterdamu, jak i tym z pod znaku Moskwy, nie może być kompromisów i półśrodków, że więc obrońcy praworządności gospodarczej muszą zwalczać bezwzględnie nietylko marksistów jako ta-

kich, lecz również wszelkich etatystów, socjalizujących i oportunistów, słowem, tych wszystkich, którzy nie uznają hasła: „Le marxisme, voilà l'ennemi!“ — a przez to samo torują świadomie lub mimowoli drogę przewrotowi społecznemu.

Rząd, który cieszy się poparciem tego ugrupowania, przeprowadzić już zdołał jeden z głównych postulatów gospodarczych, mianowicie redukcję podatków, wierząc, że tylko w ten sposób Francja powróci do dawnej swojej potęgi finansowej, opartej o kapitalizację drogą odkładania drobnych oszczędności obywateli. Oszczędność jednak możliwa jest tylko wtedy, gdy z minimum egzystencji coś do oszczędzenia pozostaje.

Prasa francuska podaje ciekawe szczegóły o nowem stronnictwie rolniczem, które w ubiegłym tygodniu odbyło swój pierwszy wielki kongres w Arais-Sur-Aube. Stronnictwo powstało wskutek powszechnego niezadowolenia z obecnego parlamentaryzmu oraz wskutek upośledzenia rolnictwa na korzyść robotników i inteligencji miejskiej w myśl t. zw. „polityki konsumenta“. W programie przewidziano między innemi: „Rolnictwo, które dotychczas było prześladowane i poświęcane, protestuje przeciw korupcji parlamentarnej, przeciw polityce klasowej, oraz przeciwko rujnującemu kraj żądaniu „taniego chleba“.

W związku z kongresem „zielonego stronnictwa“ — Prezes Rady, p. F. Agricola (nazwisko doskonale dobrane), udzielił wywiadu przedstawicielom prasy i oświadczył:

„Stronnictwo rolniczo-agrarne jest partją antykolektywistyczną, partją ładu“. Front jego skierowany jest przeciwko marksistom, pozostaje neutralnym w sporze pomiędzy katolicyzmem a laicyzmem. Już przy ostatnich wyborach uzupełniających nowe stronnictwo miało powodzenie.

(Walka z kolektywizmem, bez zajęcia równocześnie zdecydowanego frontu przeciw laicyzmowi, jest nonsensem,

laicyzm bowiem, negując nadprzyrodzone podstawy prawa, a czyniąc zeń „contrat social“, a więc umowę społeczną, zmienną każdej chwili, wytrąca obrońcom praworządności gospodarczej najsilniejszy atut z ręki. Niemniej jest to już stanowczy nawrót we właściwym kierunku).

Zestawiając te wiadomości z notowanymi ostatnio coraz częściej objawami odrodzenia religijnego we Francji, szczególnie wśród młodzieży akademickiej, której udział w życiu katolicko-społecznem staje się masowy i która w roku obecnym w przeszło 150 miejscowościach i kolonjach studenckich uczestniczyła we wspólnej Komunji Św. wielkanocnej na zasadzie zaproszenia, podpisanego przez 75.000 akademików, tudzież z założeniem i coraz żywszym rozwojem organizacji „Centre catholique“, jednoczącej katolików różnych odcieni politycznych dla wspólnej akcji wewnętrznej i zewnętrznej, gdzie tylko interesy Kościła wchodzą w rachubę (np. akcja porozumiewawcza z katolikami niemieckimi, imponujący Kongres Eucharystyczny w Kartaginie z udziałem 100.000 uczestników i t. d.), stwierdzić można bardzo stanowczy nawrót na prawo w „ojczyźnie rewolucji“. Nawrót ten staje się tem więcej obiecującym, że dzięki zrozumieniu istotnego interesu sfer gospodarczych przez znanego finansistę i przemysłowca Francis Coty, Francja posiada dzisiaj dwa duże, popularne i szeroko rozchodzące się dzienniki ludowe, pierwszorzędnie redagowane, propagujące konsekwentnie i bezwzględnie, niezależnie od jakiejkolwiek partji czy jakiejkolwiek konjunktury, zasady praworządności gospodarczej i zwalczające bez żadnej żenady „nabyte prawa ludu“, nonsensy demokracji parlamentarnej i absurdy sejmowładztwa i partyjnictwa, oraz piętnujące wszelkie socjalizujące ustawodawstwo społeczne, jako „la loi contre le droit“. Przy takiem organizowaniu zachowawczych sił społecznych we Francji zaczynają one przedstawiać potęgę, z którą nawet pięcioprzymiotnikowa „wola ludu“ liczyć się coraz bardziej musi.

Ten nawrót pod hasłem „le marxisme voilà l'ennemi“ ogarnia również i Niemcy, stając się silniejszym i popularniejszym bodźcem opinji publicznej od walk partyjnych na tle orjentacji polityki zagranicznej (za odwetem względnie za pokojem). I śmiemy twierdzić, że obalenie rządu centrolewicowego niezwłocznie po ratyfikacji układów haskich („likwidacji następstw wojny“ pomiędzy Niemcami a b. aljantami) nie było i nie jest bynajmniej dowodem zbliżenia się niemieckich ugrupowań umiarkowanych do nacjonalizmu odwetowego p. Hugenberga, lecz wynikiem odczuwanej przez nie potrzeby nawrotu polityki gospodarczej i społecznej na prawo, na odwieczną ścieżkę przykazanych przez przyrodę kanonów gospodarczych, które jedynie umożliwiają prawidłowy budżet i racjonalną gospodarkę państwową. Wszak rolnictwo niemieckie skutkiem niskich cen, drożyzny robocizny i ciężarów publicznych znajdowało się już na skraju bankructwa. To też, w przeciwieństwie do rządów socjalistycznych (np. obecnie angielskiego), nowy rząd niemiecki nie szuka środków na pokrycie rozdętego etatytyzmem budżetu i „zwalczanie“ bezrobocia w niszczcielskich dla substancji majątku narodowego podatkach majątkowych, dochodowych i gruntowych, lecz właśnie w zapowiedzi redukcji podatków, w łatwo znośnych podatkach pośrednich, w usiłowaniach zapewnienia opłacalności produkcji prywatnej, zwłaszcza rolniczej, bez względu na demagogję „taniego chleba“ (polityka celna!) i podniesienia siły kupczej ludności, tudzież dawania przedsiębiorstwom prywatnym możności zatrudniania większej ilości robotników, zamiast uniemożliwiania im tego przez nadmierne obciążenia świadczeniami społecznemi.

Jest to więc zdrowy, racjonalny program, skrajnie sprzeczny z marksowskiem doktrynerstwem. Wszak doświadczenie tak dotkliwie już dowodzi niezmiernej wyszości możliwości rozwojowych prywatnego warsztatu pracy, którego właściciel, całem swojem jestestwem z nim związany, jest jego duszą, nad bezdusznem

przedsiębiorstwem państwowem, w wyjątkowych tylko warunkach kierowanem przez idealistę, utożsamiającym interes państwa ze swoim własnym — że właśnie na tym punkcie nietylko, poza socjalistami, nikt w Niemczech nie uznaje możliwości kompromisu z kolektywizmem, lecz i sami socjaliści niemieccy zmuszeni byli i są do częstych kompromisów z realizmem życiowym i z racją stanu. Najlepszym tego dowodem był wniesiony jeszcze przez socjalistycznego premjera Müllera projekt redukcji podatkowych dla ulżenia doli prywatnych gospodarstw i umożliwienia kapitalizacji, o czem zresztą wspomnieliśmy już w naszej poprzedniej kronice.

Najbardziej znamiennym zaś faktem jest niewątpliwie stanowcze wypowiedzenie walki etatyzmowi, tej integralnej podwalinie systemu Marxa, przez Mussoliniego. Wszak najbardziej ujemną, w naszem zrozumieniu, cechą faszyzmu był przerost ingerencji państwa, skrępowanie inicjatywy i przedsiębiorczości prywatnej przez przymus państwowy, oraz wybitnie etatystyczne tendencje w organizacji prywatnej produkcji rolniczej i przemysłowej. Obecnie Mussolini, na zjeździe wielkiej rady korporacyjnej, naczelnego organu włoskiego ustroju korporacyjnego, będącego integralną częścią faszyzmu i organizującego związki zawodowe według koncepcji pionowej (wspólnie pracodawców i pracobiorców), zamiast dotychczasowego podziału klasowego, wynikającego z socjalistycznej koncepcji walki klas, wypowiedział się za zasadą rentowności prywatnego warsztatu pracy, jako podstawą polityki gospodarczej, za wzmocnieniem prawa własności i gospodarki indywidualnej, za koniecznością dostosowania całego ustroju fiskalnego i podatkowego (państwowego i samorządowego) do potrzeb i możliwości podatników, w celu ułatwienia procesu kapitalizacji, jako głównego warunku dobrobytu państwa; dalej za podniesieniem stopy życiowej obywatela przez intensyfikację produkcji i popieranie tworzenia kapitałów obrotowych i inwestycyjnych, mogących państwu zapewnić normalne

i prawidłowe funkcjonowanie aparatu dochodowego, obywatelom zaś ciągłe wzmaganie się popytu na pracę i tempa bogacenia się wszystkich warstw społecznych. Przeciwstawiając zaś taki program marksizmowi i socjalizmowi, Mussolini niewątpliwie uczynił z faszyzmu prawdziwe i równocześnie najsilniejsze narzędzie do walki z marksizmem, która, jak widzimy, w trzech największych mocarstwach kontynentalnych przybiera pożądany kierunek.

Palska natomiast, gdzie tyle się mówi o odrodzeniu moralnem przez religję z jednej strony, a o „amerykanizacji" pracy społeczno-gospodarczej z drugiej, Polska, która najbardziej cierpi pod skutkami bezmyślnego stosowania fatalnych doktryn marksowskich, pod płaszczem demokratycznego radykalizmu, wciąż jeszcze zdobyć się nie może na powołanie do życia czy to odpowiedniego ustroju państwowego, czy to szerszego frontu społecznego, zdolnego do energicznej walki z największym wrgiem dobrobytu ludowego i zdrowego rozwoju państwa — mechanizującym i proletaryzującym wszystko socjalizmem.

W ostatnim czasie wyszła z Komitetu ekonomicznego Rady Ministrów bardzo znamienna pod względem formalnym, prawdziwie przełomowa enuncjacja. Przynosi ona uchwałę, zapowiadającą stanowczą zmianę dotychczasowej polityki etatystycznej urzędowego „frontu gospodarczego" w kierunku odetatyzowania gospodarstwa krajowego, przedewszystkiem przez intensywną komercjalizację przedsiębiorstw państwowych oraz — co jeszcze ważniejsze — zahamowanie ich niebezpiecznej konkurencji dla wytwórczości prywatnej.

Nie wchodzimy w motywa, konstatujemy tylko fakt. Etatyzm, przyciśnięty do muru naporem „przyrodzonych praw gospodarczych", widzi się zmuszonym wreszcie ustąpić. Idei marksowskiej zostaje oficjalnie nałożony hamulec.

Tak, oficjalnie! Ale czy i w rzeczywistości? Czy rząd, a zwłaszcza ministerja ekonomiczne, reprezentowane

w Komitecie, będą istotnie w stanie zrealizować zapowiedzi, zawarte w swej uchwale?

Problem niezmiernie trudny. Chcąc dotrzymać słowa, musiałyby wysokie dykasterje naszej administracji zmienić całkowicie swą — nietylko organizację i praktykę, ale i psychikę. Sprawa szczególnie trudna wobec zbyt głęboko u nas zakorzenionej w szerokich masach ideologji socjalistycznej z jednej strony, a zbyt wielkiej, niemęskiej ustępliwości, jaką wobec niej objawiają pewne, nawet umiarkowane sfery naukowe z drugiej strony, głosząc na prawo i lewo, że ewolucja stosunków musi(?) iść po linji „kontroli państwowej nad produkcją" — czyli, mówiąc poprostu, po linji doktryny socjalistycznej!!

Czy w takich warunkach zdoła najlepsza wola rządu (o ile wogóle będzie trwałą!) zrealizować swe dobre chęci?

Wszak już niejeden z ministrów gospodarczych ogłaszał się oficjalnie — z trybuny sejmowej lub w wywiadach prasowych — zdecydowanym przeciwnikiem etatyzmu, a jednak dotąd — wszystko idzie jeszcze po staremu!
